

RZEKI Z BETONU
Po Puszczy czas na Wisłę?
PiS chce wodnych autostrad

ZNÓW SIĘ ŻŁE KOJARZYM
Obraz Polski w USA
trzeba budować od nowa

KAPŁANI STADIONÓW
Modlitwa za piłkarzy:
czy Bóg kibicuje naszym

CO MIAU NA MYŚLI
Najnowsze odkrycia
w psychologii kota

Kraków 1 lipca 2018 nr 27 (3599)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Obywatel Keret

Skąd wiesz, że jesteś
po dobrej stronie?





S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Aby byli jedno*

Po raz pierwszy o ŚWIATOWEJ RADZIE KOŚCIOŁÓW usłyszałem od siostry Stanisławy już w 1948 r., to jest w roku jej powstania. Siostra Stanisława nosiła habit i okrycie głowy nieco w stylu naszych zakonnic, lecz była diakonesą z ewangelickiego ośrodka Tabita w Chylicach (dziś: Konstancin-Jeziorna). Była dość leciwa i zupełnie pozbawiona urody (na co, widując ją czasem na ulicy, zwróciłem uwagę). Została w mojej pamięci jako anioł, przepiękny anioł dobroci. Jakiś czas przychodziła robić zastrzyki mojej mamie i wtedy zdobyła nasze serca. Byliśmy szczęśliwi, kiedy mogła chwilę zostać, wypić herbatę i z nami rozmawiać.

Od niej właśnie po raz pierwszy usłyszałem o ekumenizmie, choć nie jestem pewny, czy samo to słowo padło. Opowiadała o powstaniu Światowej Rady Kościołów, której celem jest braterskie spotkanie wszystkich wierzących w Chrystusa Zbawiciela, nie po to żeby tworzyć nowy Kościół, ale by się wspierać w dawaniu świadectwa wiary i dążeniu do jedności chrześcijan. Mówiła z entuzjazmem, który nam się udzielał. Na koniec ze smutkiem stwierdziła, że Kościół katolicki do tej inicjatywy się nie przyłączył. Nie mogłem tego zrozumieć. Nasz Kościół? Nie przyłączył się? Dlaczego?

To było 70 lat temu. Dziś Kościół katolicki jest (od 1965 r.) pełnoprawnym członkiem działającej w łonie ŚRK Komisji „Wiara i Ustrój”. Istnieje wspólna grupa robocza złożona z teologów Kościołów członkowskich ŚRK i Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan, przedstawiciele Kościoła katolickiego uczestniczą jako obserwatorzy w pracach Rady. Jej siedzibę w Genewie odwiedzili Paweł VI (1969) i Jan Paweł II (1982), a dziś, na 70-lecie, udał się tam papież Franciszek. Pojechał specjalnie na to spotkanie – co się podkreśla, bo poprzed-



nicy odwiedzali siedzibę Rady przy okazji odwiedzin organizacji międzynarodowych w Genewie czy papieskiej wizyty w Szwajcarii.

Wielu ludzi na ruch ekumeniczny i perspektywę zjednoczenia chrześcijan patrzy sceptycznie. Przeshkody wydają się nie do pokonania: różnice doktrynalne, organizacyjne, dyscyplina kościelna, władza itd.

Jan Paweł II już jako krakowski metropolita, a potem jako biskup Rzymu głęboko się angażował w sprawę zjednoczenia chrześcijan. Pytany, kiedy i jak to nastąpi, odpowiadał, że nie wiemy i wiedzieć nie musimy. Mówił, że wola Chrystusa „aby byli jedno” zobowiązuje do postępowania tą drogą, a realizację i kształt zjednoczenia chrześcijan należy zostawić Bogu.

Od mojego spotkania z siostrą Stanisławą, diakonesą z Chylic, upłynęło zaledwie 70 lat, a ileż w tym czasie się stało. Sobór Watykański II otworzył Kościół katolicki na dialog ekumeniczny i odtąd wciąż się dzieje coś, co wtedy było nie do pomyslenia. Wspólne modlitwy, wzajemne odwiedziny, debaty w duchu szacunku czy wspólne działania dziś już są czymś normalnym.

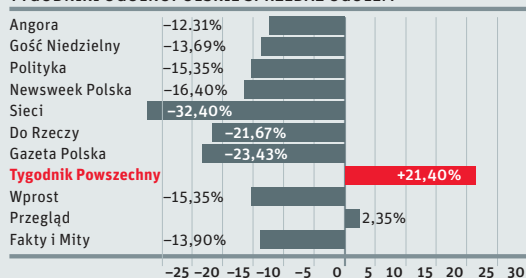
Franciszek wyruszył w ubiegłym tygodniu w podróż do Genewy na Światową Radę Kościołów (pisze o tym Piotr Sikora w dziale Wiara). Określił ją jako „podróż ku jedności, z pragnieniem jedności”. Powiedział też, że jeżeli ekumenizm jest „przedsięwzięciem skazanym na straty, to na straty ewangeliczne”. Papież zdaje się bardziej wierzyć w ekumenizm oddolny, oparty na wspólnej pracy w duchu Ewangelii prowadzonej „tak, jakbyśmy już byli zjednoczeni”, niż na subtelnym dialogu teologów.

© P

TP

Same dobre wiadomości!

Wzrosty/spadki kwiecień 2018/kwiecień 2017
TYGODNIKI OGÓLNOPOLSKIE SPRZEDAŻ OGÓŁEM



DANE ZKDP, WIRTUALNE MEDIA, 22 CZERWCA 2018

O 21,4% WZROSŁA SPRZEDAŻ „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” w kwietniu 2018 r. w porównaniu z tym samym miesiącem przed rokiem.

Dziękujemy Czytelniczkom i Czytelnikom za zaufanie, jakim nas Państwo obdarzają. Serdecznie witamy nowe osoby czytające „Tygodnik Powszechny”. Rozgośćcie się!

■ SERWIS MUNDIALOWY

Nasz specjalny serwis internetowy poświęcony mundialowi stał się szybko jednym z najchętniej odwiedzanych na stronie www.TygodnikPowszechny.pl. Nic dziwnego: komentarze i analizy Michała Okońskiego, rozmowa Wojciecha Jagielskiego czy analizy Anny Łabuszewskiej zakulisowych wydarzeń w Rosji w czasie mistrzostw składają się na barwny i wielowymiarowy obraz tej imprezy.

Zapraszamy do lektury regularnie aktualizowanego serwisu „Mundial 2018” pod adresem powszech.net/mundial2018

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Polska od suszy do suszy
MAREK RABIJ

6–11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Marzenia o trzeciej sile
RAFAŁ ZYCHAŁ: *SLD – chwilowy błysk czy nowe życie?*

26 Ma być ból
MICHAŁ KSIĄŻEK – *rok po walce z wycinką Puszczy Białowieskiej*

28 Samorządy w kleszczach partii
RAFAŁ MATYJA

■ ■ WIARA

32 Wielobarwne chrześcijaństwo
PIOTR SIKORA

36 Wszyscy święci brata Roberta
DOROTA BIDZIŃSKA

39 Duch na stadionie
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA *o idei „duchowego adoptowania” piłkarzy*

■ ■ OPINIE

42 Pejzaż po katastrofie
JOANNA NIŻYŃSKA: *Tworzyliśmy w USA coraz lepszy obraz Polski. Po nowelizacji ustawy o IPN nasza praca legła w gruzach.*

■ ■ ŚWIAT

46 Czy Merkel przetrwa
GRZEGORZ SZYMANOWSKI

49 „Muła Radio” zamilkł. Tym razem na zawsze
WOJCIECH JAGIELSKI

52 Dzieci w internowaniu
JAN SMOLEŃSKI: *Historia z rozdzielaniem rodzin migrantów a kłopoty administracji Trumpa*



STANISŁAW ROZPĘDZIK

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

14 Kształt wody
MAREK RABIJ

Coraz więcej wskazuje na to, że pod rządami Prawa i Sprawiedliwości gospodarka wodna w Polsce przekroczy ekologiczny Rubikon.

17 Spływajmy

ROZMOWA Z ARTUREM MAGNUSZEWSKIM, HYDROLOGIEM:

W Europie nikt nie myśli o tym, by rzekę zmieniać w uregulowaną drogę wodną. Często słyszę, jakimi to szczęściami jesteśmy w Polsce, że mamy dzikie rzeki.

■ ■ FELIETONY ■ ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
41 SZYMON HOŁOWNIA
59 ANDRZEJ STASIUK
84 JAN KLATA **85 PAWEŁ BRAVO**
90 STANISŁAW MANCIEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: ETGAR KERET

Fotografia: RENATA DĄBROWSKA DLA „TP”
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

54 Burza nad Dasziszą
PAWEŁ PIENIAŻEK Z SYRII

56 Inspiracja z nasionka
PATRYCJA BUKALSKA
o Chelsea Flower Show – prestiżowej wystawie ogrodniczej

■ ■ HISTORIA

62 Czerwone maki na Polach Pikardii
SZYMON ŁUCYK

■ ■ NAUKA

66 Świat oczami kota
MATEUSZ HOHOL
KINGA WOŁOSZYN-HOHOŁ

69 Żegnaj, Koko
ŁUKASZ KWIATEK: *Zmarła najsłynniejsza gorylica świata*

■ ■ KULTURA

70 Niesłuszne historie
ROZMOWA Z ETGAREM KERETEM, PISARZEM

74 Filozof i zakonnik
JAN TOKARSKI: *Historia pewnej korespondencji*

78 Tragedie drobnoustrojów
DARIUSZ KOSIŃSKI
o nowym spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego

80 Fototerapia
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Ava”

81 Warto zobaczyć w TV

84 Powroty z niepamięci
LEKTOR *o książce „Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny”*

■ ■ ZMYŚŁY / WAKACJE

86 W Yellowstone jak pod Kutnem
ROZMOWA Z TOMASZEM SKRZYDŁOWSKIM, LEŚNIKIEM I EDUKATOREM

TYGODNIK POWSZECHNY ■ ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabin, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiwak, Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotodyscyj: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



OD SUSZY DO SUSZY

Kłopoty z wodą, zwłaszcza o tej porze roku, dotychczas kojarzyły się nam w Polsce z powodzią. Czas przyzwyczajać się do sytuacji odwrotnej.

MAREK RABIJ

WŁODAWA – 29 DNI BEZ DESZCZU. MIKOŁAJKI, ŁĘBA I KOŁOBRZEG – 25 dni. Białystok i Chojnice od 18 dni bez kropli wody z chmur. Za nami rekordowo suchy czerwiec. W dodatku po maju, który był – jak pokazują najnowsze pomiary – najcieplejszy w Polsce od 55 lat.

„Klimatyczny bilans wodny w czerwcu jest jak do tej pory gorszy niż w najbardziej suchych latach 2006 i 2015” – przyznał kilka dni temu premier Mateusz Morawiecki.

Straty w uprawach warzyw, owoców i zbóż sięgają już 20 proc., a mogą być jeszcze wyższe. Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach szacuje, że susza zagraża 64,7 proc. powierzchni upraw zbóż jarych, połowie plan-

tacji ozimin i krzewów owocowych i 17,3 proc. powierzchni plantacji drzew owocowych. Łącznie to już 4 z 14 mln hektarów polskich upraw. Najgorzej sytuacja wygląda na Podlasiu. Tam, jak podaje puławski ośrodek, susza dotknęła już 85 proc. powierzchni upraw.

Na razie problem widzą tylko rolnicy, którym rząd obiecał już wypłatę odszkodowań. Pogoda w mieście raduje słońcem, dzieci cieszą się na wakacje bez deszczu, ale tegoroczne lato będzie jednak mieć wysoką cenę w sklepach i na targowiskach. Według dyrektora Instytutu Polskiego Pieczywa, Grzegorza Nowakowskiego, ceny chleba już wkrótce mogą być wyższe nawet o 7-8 proc. niż przed rokiem. Powodów podwyżki jest wprawdzie kilka, ale są

*Pierwszów
w gminie
Wisznia Mała,
24 maja 2018 r.*

→ wśród nich także wyższe ceny zbóż. Susza to mniejsze zbiory.

Fatalny zbieg pogodowych okoliczności – można by rzec o silnym wyżu, który w ostatnich tygodniach rozsiadł się nad Europą, trzymając od niej z daleka wilgotne nize znad Atlantyku. Nie, proszę państwa. Zaczniemy się przyzwyczajać.

Polska wysycha. Rabunkowa melioracja w czasach PRL (przypomnijmy sobie chociażby Taplary z „Konopielki” Edwarda Redlińskiego) miała zapobiegać powodziom i dać krajowi więcej gruntów ornych. W wielu miejscach przeprowadzono ją jednak w niewłaściwy sposób, z na-

ciskiem na odprowadzanie wody, i w efekcie spowodowała obniżenie poziomów wód gruntowych. Osuszone bagna, choćby jak te w okolicach Wizny, zmieniły się w łąki, które nadają się do wypasu bydła, ale wody nie utrzymują.

Dziś w skali całego kraju nakładają się na to jeszcze zmiany klimatyczne, które sprawiają, że zimy są coraz cieplejsze i mniej śnieżne, a lata – upalne. Akumulacja zimowych opadów przez grunt jest zatem coraz mniejsza, a to, co pada latem, szybciej paruje do atmosfery (więcej mówi o tym hydrolog dr hab. Artur Magnuszewski w Temacie Tygodnika).

61 mld m³ – na tyle szacuje się obecnie zasoby wody pitnej w Polsce. Mniej więc tyle samo ma jej dziś Egipt. Gwałtownie cofa się linia brzegowa jezior Pojezierza Gnieźnieńskiego. Kilka mniejszych zbiorników i kilkadziesiąt niewielkich stawów już wyschło. Jezioro Zdwojskie na Pojezierzu Gostyńsko-Włocławskim podtrzymuje przy życiu rurociąg, który zasila je w wodę z pobliskiego kanału do brzykowskiego.

Dlatego podczas urlopu nad polską rzeką czy jeziorem przyjrzyjcie się im Państwo dokładnie. Jeszcze nie jest za późno.

© MAREK RABIN

IGA KAZIMIERCZYK, PREZESKA FUNDACJI PRZESTRZEŃ DLA EDUKACJI:

Podstawy programowe: obywatel mówi „sprawdzam!”

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Po wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego resort edukacji musi ujawnić autorów podstaw programowych dla podstawówek. Co to znaczy?

IGA KAZIMIERCZYK: To znaczy, że poznamy wszystkie, a nie tylko – jak dotąd – wybrane nazwiska autorów dokumentów, za których stworzenie MEN zapłaciło ponad 800 tys. złotych i które według nas zostały przygotowane w pośpiechu, co odbiło się na ich jakości. To dokumenty kluczowe: służą nie tylko do tworzenia podręczników, ale też jako kryteria egzaminacyjne.

Dlaczego ta wiedza jest ważna?

Rodzice, nauczyciele, obywatele mają prawo wiedzieć, kto zaprojektował nam system edukacyjny. Chcemy mieć pewność, że robią to osoby mające odpowiednią wiedzę, kompetencje, doświadczenie. MEN uważa, że reforma to sukces, więc tym bardziej warto byłoby się autorami tego sukcesu pochwalić...

I jeszcze jeden powód, dla którego ta wiedza jest ważna: chcemy wiedzieć, jak te nazwiska mają się do nazwisk autorów podręczników. Gdyby się powtarzały, mieliśmy do czynienia z sytuacją

nietransparentną i nieuczciwą. Autorzy prawa nie mogą przecież tego prawa automatycznie wciełać w życie, pobierając za te dwie role wynagrodzenia z dwóch różnych, zależnych od siebie źródeł.

Przestrzeń dla Edukacji domaga się ujawnienia tych nazwisk od dawna. Ten wyrok to zwycięstwo obywateli?

I tak, i nie. Bo do takiej sytuacji w ogóle nie powinno dojść. Bierzemy do ręki artykuł prasowy i widzimy nazwisko autora, otwieramy podręcznik szkolny, gdzie na początku wpisana jest osoba, która go napisała. To samo powinno być oczywiste w przypadku tak ważnego dokumentu. W Polsce tak nie jest. Być może wyrok NSA zmieni tę sytuację.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



IGA KAZIMIERCZYK jest nauczycielką i pedagogiem, prezeską fundacji Przestrzeń dla Edukacji.

Dobre media znowu w cenie

POLACY SĄ W EUROPEJSKIEJ CZOŁÓWCE społeczeństw skłonnych płacić za treści dziennikarskie w sieci – wynika z raportu Reuters Institute for the Study of Journalism, największych na świecie badań mediów cyfrowych. Robi to 16% Polaków. Wynik ten plasuje nas na 11. miejscu na świecie, gdzie średnia wynosi 14%. „Ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że jakość [dziennikarstwa] kosztuje” – komentują autorzy raportu.

Przełom? Eksperci piszą o „wiszącej w powietrzu zmianie”. Nie chodzi o radość z zysków: jak czytamy, większość mediów wciąż jest pod kreską, z czego zdaje sobie sprawę tylko 10% badanych – i to oni są bardziej skłonni płacić. Stawką jest tu jakość debaty publicznej, a więc i demokracji. Internet wystawił klasyczne media na próbę: kojarzył się z darmością, panował więc przesąd, że „Polak za treści płacić nie będzie”. Wiele mediów, żeby utrzymać darmowe treści z reklam, rozpoczęło wyścig o klikalność nakręcaną materiałami masowymi, mierzonymi, a bywało, że i łamiącymi standardy. A potem przyszły *social media*, gdzie źródło informacji w ogóle przestało się liczyć. I obudziliśmy się w świecie fake newsów, propagandy i populistów u władzy.

Dziś już 58% odbiorców jest świadomych zagrożenia fake newsami, spada też zaufanie do informacji z Facebooka. Za to dziennikarstwo zdaje się być znów doceniane. Odbiorcy widzą sens w utrzymywaniu go.

Choć – jak czytamy – zaufanie do mediów wciąż jest w większości krajów bardzo niskie (w Polsce wynosi 48%, spadło od zeszłego roku o 5 pkt. proc.), co wiąże się z polaryzacją i poczuciem politycznego wpływu na media, to pogłoski o śmierci prasy okazały się przesadzone. I to jest *good news* dla demokracji.

Teraz temu gestowi zaufania ze strony odbiorców muszą sprostać media.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

LICZBA TYGODNIA

16%

tytu Polaków w ubiegłym roku zapłaciło za treści medialne w sieci.

To najwyższy w Europie wynik poza Skandynawią.

W SKRÓCIE

CO TA ŻONA. Lech Wałęsa, w obecności m.in. Grzegorza Schetyny, Katarzyny Lubnauer i Andrzeja Rzeplińskiego, ponownie założył Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. „Ze swojej strony zrobię wszystko, oddaję się sprawie, ale pamiętajcie, że mam 75 lat – życie sfatygowane, rozebrano mi »Solidarność«... nawet na żonę nie mogę liczyć, bo usamodzielniała się dość daleko” – poskarżył się przy okazji były prezydent.

CO TEN PREZYDENT. Dość daleko usamodzielniał się także o. Tadeusz Rydzyk, który na antenie Radia Maryja, w rozmowie z Antonim Macierewiczem, zapytał: „Co ten prezydent? Ja głosowałem na pana prezydenta i nie wiem, czy będę głosował. Te wszystkie weta”. Redemptorysta skrytykował też PiS (za kunktorstwo w sprawie zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej i TVP (prezentuje „filmy gejowskie”).

CO TEN OJCIEC. Samodzielności sprzyja niewątpliwie niezależność finansowa. Resort kultury ogłosił właśnie, że fundacja Lux Veritatis o. Rydzyka poprowadzi w Toruniu muzeum dziejów chrześcijaństwa w Polsce, z jednej strony skupiające się na naukach Jana Pawła II, a z drugiej rozpowszechniające relacje o ratowaniu Żydów przez Polaków podczas II wojny światowej. Nowa instytucja znajdzie się na gruntach należących niegdyś do Skarbu Państwa, a budżet państwa w ciągu trzech najbliższych lat dołoży do niej 70 mln zł.

CO TA POGODA. Silny wiatr poprzedzający burzę wywołał w całej Polsce zamiecie pyłowe. Usuwająca skutki nawałnic straż pożarna interweniowała ponad 4 tys. razy.

CO TEN TUSK. W trakcie zamieci pyłowej interesującej wypowiedzi na temat rozmów rządu z przedstawicielami Komisji Europejskiej, dotyczących stanu praworządności w Polsce, udzieliła posłanka PiS Joanna Lichocka. Jej zdaniem do kompromisu z UE dojść bardzo trudno, „ponieważ są tam »czynniki szatani«, nawiązując do »Chorału« Kornela Ujejskiego, którzy dbają o to, żeby do tego porozumienia nie doszło. Są to oczywiście politycy PO i jest tą osobą również w mojej ocenie Donald Tusk”.



ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER

PO PORĄŻKACH Z SENEGALEM I KOLUMBIĄ piłkarska reprezentacja Polski straciła szansę na awans do fazy pucharowej mundialu – ostatni mecz na turnieju, z Japonią, rozegra o tzw. honor. Media – w większości jeszcze kilka dni temu wróżące drużynie oszałamiający sukces na mistrzostwach – teraz nie zostawiają na niej suchej nitki i wzywają do dymisji trenera Adama Nawałki. O kolejnej polskiej klęsce i atmosferze polowania na czarownice pisał w pomeczowym komentarzu na stronie „TP” Michał Okoński (czytaj: powszech.net/kolumbia), polecamy także specjalny mundialowy serwis „TP”: powszech.net/mundial2018

© MO

Bundestag dostał kosza od PiS



ANDRZEJ STANKIEWICZ

CHOROBA PREZESA SPRAWIŁA, ŻE W SZEREGACH PiS panuje dezorientacja, jak należy walczyć z Niemcami. Na wszelki wypadek postanowiono więc ich zignorować.

We wtorek Mateusz Morawiecki spotkał się w Berlinie z Angelą Merkel. Wedle premiera rozmawiali praktycznie o „wszystkich kluczowych tematach”. Szkopuł w tym, że nie rozmawiali o najważniejszym. O tym, co Merkel ogłosiła jeszcze tego samego dnia po spotkaniu z prezydentem Francji, czyli o planach wspólnego budżetu strefy euro.

To pomysł zwalczany od lat przez wszystkie polskie rządy, bo oznacza podział Unii na dwie prędkości. Polski obóz władzy był zdumiony tą deklaracją. Nie ma się zatem co dziwić, że dwoje wicemarszałków Sejmu z PiS, Beata Mazurek i Ryszard Terlecki – działający od dłuższego czasu w tandemie – wycofało się nagle ze środowowego wyjazdu na spotkanie przyzwoitów Sejmu i Bundestagu. W tej sytuacji pozbawiony partyjnej asysty marszałek Sej-

mu Marek Kuchciński odwołał parlamentarny szczyt zaledwie kilkanaście godzin przed wyjazdem.

Tandem mętnie tłumaczył, że wyjazd nie jest możliwy ze względu na ważne wydarzenia polityczne. Problem w tym, że tego dnia nie było żadnych ważnych politycznie wydarzeń.

Czy zatem odwołanie szczytu było wolą wracającego ze szpitala prezesa Kaczyńskiego, znanego miłośnika Niemiec? Bardziej prawdopodobne, że Mazurek i Terlecki nie dostali dyrektyw z Nowogrodzkiej, tylko woleli odwołać wyjazd, żeby nie narazić się Kaczyńskiemu. Prezes już raz wściekał się na premier Szydło za to, że w czerwcu 2016 r. zabrała pół rządu na konsultacje z Niemcami. Inna rzecz, że sam niedługo potem w tajemnicy przed nią spotkał się z Angelą Merkel.

W takiej właśnie atmosferze wykuwa się polityka wobec kluczowego sąsiada Polski. ©

ANDRZEJ STANKIEWICZ jest dziennikarzem Onet.pl.

Turcja: umocniona władza Erdoğan



KRZYSZTOF STRACHOTA

PRZEŁOMOWE WYBORY W TURCJI PRZE-
szły zaskakująco gładko. Wedle wstęp-
nych wyników prezydentem pozostanie
Recep Tayyip Erdoğan (dostał 53 proc. gło-
sów), a większość w parlamencie – wybo-
ry prezydenckie i parlamentarne odbyły
się równocześnie – zdobyła koalicja prezy-
denckiej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju
(AKP; 43 proc.) i Partii Ruchu Narodowego
(MHP; 11 proc.).

W wyborach prezydenckich główny
kandydat opozycji Muharrem İnce zdo-
był 31 proc., w parlamentarnych najwięk-
sza siła opozycji, kemalistowska Repu-
blikańska Partia Ludowa (CHP), dostała
23 proc. Do parlamentu wchodzi też pro-
kurdyjska Demokratyczna Partia Ludów
(HDP; 12 proc.) i zapewne nowa konser-
watywno-nacjonalistyczna Partia Do-
bra (IP; 10 proc.). Kampania, prowadzona
w warunkach stanu wyjątkowego i domi-
nacji AKP, nie była sprawiedliwa, ale sam
wynik – nie jest kwestionowany.

Tym samym został zrobiony kolej-
ny milowy krok ku umocnieniu władzy

Erdoğana: dysponuje on znacząco wzmo-
cniionymi kompetencjami jako prezydent,
ma silne zaplecze w parlamencie i legity-
mację społeczną. Nie ma dziś w Turcji żad-
nej instytucji i siły politycznej, które mo-
głyby zablokować jego decyzje. Władzom
pozostaje teraz, bagatela, zapobiec narasta-
jącemu kryzysowi gospodarczemu, rozbić
kurdyjską PKK w Iraku (a w konsekwen-
cji dobić HDP i przejąć jej mandaty w wy-
borach samorządowych w marcu 2019 r.).

Na pierwszy rzut oka powinno być
spokojniej, również w relacjach z Euro-
pą: jasne jest, że nie ma alternatywy dla
Erdoğana; z drugiej strony Turcja potrze-
buje pieniędzy z Zachodu. Ale nad krajem
zawisł miecz Damoklesa: niemal wszystko
zależy od jednego człowieka, wszystkie in-
stytucje w państwie są przebudowywane
lub demontowane, legitymacja wynikają-
ca z autentycznego uwielbienia ludu (jego
„większej połowy”) jest tyleż mocna, co
podatna na wstrząsy. Wykrojona na miarę
Erdoğana (i tylko jego) Turcja nie pozost-
awia sobie miejsca na najmniejszy błąd. ©

Migracje: tydzień w pigułce

■ **STREFA SCHENGEN ZAGROŻONA?** Tak
uważa włoski premier Giuseppe Conte,
który wraz z liderami 15 innych
państw UE wziął udział w miniszczy-
cie migracyjnym w Brukseli (premie-
ra Morawieckiego, który uznał go za
spotkanie „klubu przyjaciół relokacji
uchodźców”, nie było). Włosi zapro-
ponowali utworzenie ośrodków recepcyj-
nych dla azylantów (także poza Euro-
pą). Kanclerz Angela Merkel ponownie
ostrzegła przed brakiem europejskich
rozwiązań dotyczących migracji.



HERMINE POSCHMANN / MISSION
LIFELINE / AFP / EAST NEWS

■ **NIECHCIANY STATEK.** Po raz drugi
w ciągu ostatnich dni Włochy i Mal-
ta przerzucają się odpowiedzialno-
ścią za przyjęcie okrętu z migrantami.
W chwili zamykania tego wydania
„TP” statek „Lifeline” (na zdjęciu), nale-
żący do organizacji pozarządowej Mis-
sion Lifeline, już 4 dzień oczekiwał na
zgodę na zawinięcie do portu. Na pokła-
dzie znajdowały się 234 osoby.

■ **ZNÓW PADŁ SMUTNY REKORD.** ONZ
podała, że na świecie jest ok. 68,5 mln
uchodźców, ponad 2 mln więcej niż rok
temu. Kilka europejskich gazet opubli-
kowało w sieci listę 34 361 osób, które
w ciągu ostatnich 25 lat zginęły z po-
wodu „polityki zamkniętych granic”
w Europie. Otwiera ją Kimpua Nsimba,
24-letni Kongijczyk, który w 1993 r. po-
wiesił się w ośrodku zatrzymań w Ang-
lii.

■ **RUCH „OSTATNICH PRAW”.** Za gigan-
tyczne wyzwanie dla prawników i psy-
chologów uznają przyszłe migracje au-
torzy tzw. Deklaracji z Mytileny, którzy
wzywają do budowy ogólnosięwiatowe-
go systemu pomocy dla rodzin zaginion-
ych i zmarłych migrantów. Sygna-
tariusze dokumentu określają takie
wsparcie mianem „last rights” – „ostat-
nie prawa”.



TWITTER

Bunt w najkrótszą noc

TO WIADOMOŚĆ TYGODNIA na Dalekiej Pół-
nocy: w Iqaluit, stolicy arktycznego tery-
torium Nunavut (Kanada), zbuntowali
się aresztanci. W najkrótszą noc w roku
26 osadzonych zabarykadowało się w słu-
żących za zakład karny kontenerach (na
zdjęciu). Lokalny dziennik „Nunatsiaq
News” informował o zniszczeniach (kilka
plastikowych foteli, które wyrzucili przez
okna), cytując przy okazji wątpliwości
czytelników („co to za więzienie, z które-
go można wyrzucać meble na zewnątrz?”).

Ponieważ w Nunavut ludzi jest w ogó-
le mało (ok. 7 tys.), niewielu jest też strażni-
ków. Obecni na miejscu uznali, że naj-
lepiej w ogóle nie interweniować i poczekać,
aż osadzonym – tu cytat z jednego z nich
– „opadnie adrenalina”.

Adrenalina rzeczywiście opadła, nikt nie
odniósł ran, ale wnętrza kontenerów nie
nadają się już na więzienie – na czas remon-
tu aresztanci mają zostać przetransporto-
wani samolotami do cel na południu Ka-
nady. I właśnie ta wiadomość najbardziej
poruszyła czytelników „Nunatsiaq News”.
Niektórzy uznali, że więźniom chodziło
właśnie o to, aby przenieść ich do bardziej
komfortowych aresztów na południu; inni
wytypowali już w pobliżu Iqaluit niewiel-
ką wyspę i proponują stworzenie tam cam-
pingu karnego, do którego latem można by
zsyłać zatrzymanych przez policję. Wszys-
tko to brzmi lekko i zabawnie, ale w tle jest
większy problem: odizolowane miejsc-
owości na Dalekiej Północy, gdzie w najbliż-
szych latach aktywność człowieka wzro-
śnie (rozwijają się tu transport morski
i przemysł wydobywczy), mają coraz więk-
szy kłopot z infrastrukturą. © © ŻYM

Węgry kontra „obcy”

MARCIN ŻYŁA



WŚWIATOWY DZIEŃ UCHODźcy (20 czerwca) węgierski parlament przegłosował pakiet nowych przepisów dotyczących imigrantów, które czynią pomoc wielu z nich nielegalną. Według nowego prawa za samo rozpowszechnianie informacji na temat sposobów legalizacji pobytu dla migrantów o tzw. nieudokumentowanym statusie może grozić rok więzienia.

Posłowie zaakceptowali też zmiany w konstytucji, które zabraniają na terenie Węgier „osiedlania obcych populacji” – to ruch, który ma zapobiec w przyszłości jakimkolwiek planom przyjmowania uchodźców w ramach porozumień unijnych. Dla Viktora Orbána, który w minionym tygodniu gościł w Budapeszcie premierów państw Grupy Wyszehradzkiej i kanclerza Austrii Sebastiana Kurza (także zwolennika twardej polityki wobec imigrantów), jest to kolejny krok w stronę budowy na Węgrzech, jak sam to określa, „demokracji illiberalnej”.

Zmiany określa się mianem „pakietu Stop Soros” – Orbán od dawna oskarża tego amerykańskiego finansistę węgierskiego pochodzenia (którego fundacja Open Society wspomaga finansowo wiele organizacji pozarządowych w Europie Środkowej) o mieszanie się w wewnętrzne sprawy Węgier i „popieranie muzułmańskich migrantów”. Nowe przepisy – które wbrew prawu międzynarodowemu odmawiają prawa do azylu obywatelom państw uznanych przez Węgry za bezpieczne – skrytykowała już ONZ. Z kolei Parlament Europejski miał w ostatni poniedziałek zdecydować o uruchomieniu wobec Węgier procedury w sprawie naruszenia zasady rządów prawa; zdaniem wielu deputowanych nowe prawo dotyczące migrantów narusza m.in. podstawowe prawa człowieka. © P



EVGENY FELDMAN / AP / EAST NEWS

OLEG SENCOW jest w coraz gorszym stanie. Ukraiński reżyser, aresztowany przez Rosjan w 2014 r. na Krymie i skazany na 20 lat za „terroryzm” (tj. kwestionowanie przynależności Krymu do Rosji), prowadzi od połowy maja strajk głodowy, domagając się wolności dla wszystkich ukraińskich i tatarskich więźniów politycznych w rosyjskich więzieniach. Władze więzienne podają mu dożylnie płyny i witaminy. Po 40 dniach głodówki stracił 20 kg. Rzecznik prezydenta Putina powiedział w minionym tygodniu, że Sencow musi sam prosić o ułaskawienie. Reżyser odparł (przez swego adwokata), że nigdy nie poprosi Putina o łaskę. © WP

Mołdawia: pożegnanie z Zachodem?

SĄD W KISZYNIOWIE UNIEWAŻNIŁ wybory mera mołdawskiej stolicy, które wygrał lider proeuropejskiej opozycji Andrei Năstase [patrz „TP” nr 25]. Nie ma wątpliwości, że decyzja ma charakter czysto polityczny. Na tak jawne naruszenie zasad demokracji nie pozwoliła sobie dotąd żadna z ekip władających tym krajem. W ten sposób oligarcha Vlad Plahotniuc i jego obóz rządzący, wciąż deklarując proeuropejski kurs, przestają odgrywać spektakl, którego celem było pozorowanie demokratyczności ich rządów. To wyzwanie dla UE, która dotąd wspierała Plahotniuca. Kontynuacja przez Unię tej polityki do reszty zniszczy wiarygodność Brukseli w oczach Mołdawian i innych społeczeństw regionu. Prawdopodobne, że decyzja sądu jest też zapowiedzią zmiany w polityce oligarchy po jesiennych wyborach parlamentarnych. Koalicja z siłami proeuropejskiej opozycji nie będzie możliwa, więc dla zachowania władzy może on wejść w jawny sojusz z prorosyjską Partią Socjalistów. © PIOTR OLEKSY

Filipiny: Księża bez broni

KS. RICHMOND NILO przygotowywał 10 czerwca mszę w Zaragozie na Filipinach, kiedy do kaplicy weszło dwóch mężczyzn. Oddali 10 strzałów. Cztery dni wcześniej ks. Rey Urmeneta ledwo przeżył: strzelano do jego samochodu. W kwietniu zginął ks. Mark Ventura, duszpasterz marginesu, w grudniu 2017 r. zamachowcy zmasakrowali dziewięcioma kulami ciało ks. Marcelita Paeza, obrońcy więźniów politycznych. Wśród księży pojawiła się inicjatywa, by nosić przy sobie broń. Biskupi postawili weto. „Częścią naszej posługi jest stawianie czoła niebezpieczeństwu” – powiedział szef episkopatu abp Romulo Valles. Bp Pablo Virgilio David przestrzegł seminarzystów: „Jeśli te śmierci was przerażają, zapomnijcie o kapłaństwie, ono nie jest dla tchórzy”.

Prezydent Rodrigo Duterte prowadzi krwawą wojnę z handlem narkotykami. W obronę praw człowieka mocno zaangażował się Kościół. Biskupi obwiniają Dutertego o zachęcanie do morderstw poprzez brutalny język, jakim wypowiada się o księżach. © MACIEJ MÜLLER

Zmiany w Kościele krakowskim

ARTUR SPORNIAK



JUŻ SAMA STATYSTYKA ROBI WRAŻENIE: pracę zmieniło 163 księży, czyli 14 proc. diecezjalnego duchowieństwa. Krakowscy księża nie pamiętają tak dużych zmian. Przydziały do parafii otrzymało 20 neoprezbiterów, a miejsca pracy zmieniło aż 80 wikariuszy. 43 nominacje związane są z urzędem proboszcza, który zgodnie z kodeksem prawa kanonicznego „cieszy się stałością” – biskup nie może bez powodu usuwać proboszcza z urzędu (zwykle robi to na jego prośbę). W tym roku 11 proboszczów zmieniło parafie. Z powodu wieku emerytalnego (osiągnięcia 70. roku życia) z urzędu ustąpiło 11 proboszczów. Jeden otrzymał urlop zdrowotny, a jeden uzyskał pozwolenie na przeniesienie się do archidiecezji łódzkiej. Z kolei 15 wikarych awansowało na proboszczów.

Najważniejsze zmiany dotyczą kierowniczych stanowisk instytucji diecezjalnych. Dotychczasowy ekonom diecezjalny ks. Wojciech Olszowski (ur. 1968 r.) został proboszczem w Wieliczce, zaś dyrektor krakowskiego Caritas ks. Bogdan Kordula (1965 r.) proboszczem w Skawinie. Na ich miejsce mianowani zostali ks. Paweł Rybski (1974 r.) i ks. Andrzej Kamiński (1962 r.). Pytani przez nas krakowscy księża mówią, że największe zakłócenie spowodowała zmiana na stanowisku kustosa Sanktuarium św. Jana Pawła II w Łagiewnikach – ks. Jana Kabzińskiego (1950 r.) zastąpił ks. Mateusz Hosaja (ur. 1979), który rok temu został wicerektorem krakowskiego seminarium. Ks. Kabziński od początku pomagał kard. Stanisławowi Dziwiszowi realizować ideę Sanktuarium św. Jana Pawła II, a do emerytury zostało mu zaledwie dwa lata.

Tymi nominacjami metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski dokończył rozpoczętą rok temu wymianę kadry w najważniejszych instytucjach diecezjalnych. ©P

W SKRÓCIE

ADOPCJA W AKCIE CHRZTU.

Episkopat zatwierdził nowe zasady sporządzenia aktu chrztu, uwzględniające problemy prawne powodowane adopcją. Dokument określa, jakie informacje mają być w akcie chrztu jawne, jakie tajne, co nie powinno znaleźć się w odpisie, a co należy w tajemnicy przestać np. do parafii, gdzie osoba adoptowana będzie zawierać ślub.

KONKURENCJA DLA TV TRWAM.

Jesienią ruszy w Polsce nowa katolicka telewizja – polska edycja Eternal Word Television Network (Telewizyjnej Sieci Wiekuistego Słowa). Sieć powstała



EWTN

37 lat temu w Irondale w stanie Alabama w USA, a jej założycielką – klauzurową klaryską s. Angelica Rizzo (na zdjęciu) – nie miała żadnego wsparcia finansowego. Do dziś telewizja – obecna w ponad 150 krajach – utrzymuje się z darowizn. „Budżet jest wymysłem diabła, a my żyjemy z wiary” – mawiała charyzmatyczna zakonnica. „Specyfiką EWTN w skali globalnej jest apolityczność” – zapowiada dyrektor generalny EWTN Polska ks. Piotr Wiśniewski.

NOWA NAZWA DYKASTERII.

Sekretariat ds. Komunikacji na życzenie papieża będzie się nazywał Dykasteria ds. Komunikacji – poinformowało watykańskie Biuro Prasowe. Instytucji podlega Biuro Prasowe, dawna Papieska Rada ds. Środków Społecznego Przekazu, Służby Internetowe, Radio Watykańskie, Watykański Ośrodek Telewizyjny, Watykańska Księgarnia Wydawnicza, Służby Fotograficzne oraz dziennik „L'Osservatore Romano”. Niedawno w rozmowie z Agencją Reutersa papież ujawnił, że stanowisko szefa Sekretariatu proponował kobiecie, która jednak odmówiła ze względu na inne zobowiązania.



TOWARZYSTWO DUCHA ŚWIĘTEGO

Odradza się zakon duchaków

„OSIEM LAT TEMU WSTĘPOWALIŚMY DO WSPÓLNOTY, której właściwie jeszcze nie było” – powiedział 18 czerwca po prymicach w Krakowie ks. Tadeusz Biela (na zdjęciu w czerwonym habicie), jeden z czterech kapłanów odnowionego zakonu duchaków. W 2009 r. pomysłodawca odnowy, o. Wiesław Wiśniewski, uzyskał dekrety metropolity gdańskiego abp. Sławoja L. Głódzia dla Towarzystwa Ducha Świętego. W 2012 r. powstało seminarium w Dąbrowie pod Krakowem. Obecnie wspólnota liczy 12 zakonników.

Zakon Świętego Ducha powstał w drugiej poł. XII w. we Francji. Już w XIII w. prowadził w Europie 300 szpitali. W XIII w. krakowski biskup Prandota oddał im kościół św. Krzyża oraz zabudowania szpitalne. Duchacy obchodzili uliczki miast i wsie w poszukiwaniu ubogich i chorych. Byli prekursorami Okien Życia: przed bramą szpitala można było w dyskretności zostawić dziecko. Wojny religijne XVI i XVII w. doprowadziły do upadku zakonu; ostatecznie w 1783 r. męską gałąź skasowano. Pod koniec XIX w. rada miejska zdecydowała – wbrew protestom m.in. Jana Matejki, który zrzekł się honorowego obywatelstwa miasta – o wyburzeniu większości zabudowań klasztornych pod gmach teatru (dzisiaj: im. Słowackiego).

©P MACIEJ MÜLLER

Biskupi przyjrzą się młodym

MŁODZIEŻ SPRAWIA SOCJOLOGOM KŁOPOT. Jeden z nich wprost pisze: „Badania nad młodzieżą zwykle prowadziły do wniosków, które szybko kwestionowała praktyka społeczna”. Tymczasem papież Franciszek uznał, że po synodach poświęconych rodzinie naturalną rzeczą będzie synod rozważający problemy młodzieży. Właśnie opublikowany został dokument roboczy, nad którym po wakacjach będą obradować w Watykanie biskupi (z Polski abp Stanisław Gądecki, abp Grzegorz Ryś i bp Marek Solarczyk). Nawet jeśli w październiku nie uda się sformułować odkrywczych wniosków, biskupi będą mogli przejrzeć się w surowym zwierciadle. Przywilejem młodości jest bowiem wyczerpanie na wszelkie uniki. I taki jest dokument roboczy – np. mówi, że młodzież nie rozumie nauczania Kościoła na temat seksu, a młode osoby LGBT pytają, dlaczego nie mogą być blisko Kościoła. ©P ARTUR SPORNIAK

Ptasia „Bogurodzica”

CHOĆ ZJAWISKA KULTUROWE pojawiają się nie tylko u ludzi, to jednak tylko my zbudowaliśmy cywilizację, kumulując te wynalazki i tradycje, które sprzyjały naszemu rozkwitowi. Niektórzy tłumaczą ten fenomen m.in. tym, że mechanizmy przekazu kulturowego u innych gatunków nie są na tyle precyzyjne, by pozwalały budować trwałe, stabilne tradycje zachowań.

O tym, że czasem jednak pozwalają, przekonują Robert Lachlan i współpracownicy, po przeanalizowaniu pieśni ponad 600 osobników z sześciu populacji szarobrewki bagiennej (*Melospiza georgiana*, na zdj.), niewielkiego ptaszka z Ameryki Północnej, o którym wiadomo, że tworzy swój repertuar sylab występujących w śpiewanej melodii w pierwszych ty-



godniach życia. Badacze stworzyli model matematyczny, za pomocą którego odkryli, że każdy osobnik z dużą precyzją przyswaja najpopularniejsze sylaby usłyszane w otoczeniu (to przykład tzw. konformizmu) – co eliminuje rzadko pojawiające się nowe warianty melodii. W efekcie – twierdzą badacze – wiele sylab obecnych w repertuarze badanych ptaków nie zmieniło się od ponad 500 lat.

Odkrycie to czyni pieśń szarobrewki jedną z najstarszych poza-ludzkich tradycji kulturowych. I – w pewnym sensie – także jednym z najstarszych utworów muzycznych w ogóle. ©ŁK



W wieku 89 lat zmarła Olga Krzyżanowska

BYŁA WICEMARSZAŁKIEM tzw. Sejmu kontraktowego, później senatorem. Córka płk. Aleksandra „Wilka” Krzyżanowskiego, jednego z dowódców AK na Wileńszczyźnie zamordowanego przez UB w 1951 r., a w młodości harcerką Szarych Szeregów, odznaczoną

krzyżem Walecznych. Z wykształcenia lekarka, działaczka Solidarności, obecna w czasie strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej, ale przede wszystkim: jedna z dam polskiego parlamentaryzmu, twarz i symbol tego, że po 1989 r. polską politykę uprawiano z klasą i szacunkiem dla przeciwnika. Dzieje jej rodziny spisali wspólnie córka i mąż w książce „Według ojca, według córki. Historia rodu”. ©P M O

Dyrektywa we mgle demagogii

PAWEŁ BRAVO



PODATEK OD LINKÓW” I „CENZURA PREwencyjna internetu”: te łatwo wpadające w ucho hasła zagościły ostatnio w mainstreamowych gazetach oraz na portalach. Działo się to w związku z głosowaniem w komisji prawnej europarlamentu nad nową dyrektywą o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym. Prace nad nią trwają od 2016 r. i idą w kierunku wzmocnienia obecnie słabej pozycji tych, którzy oryginalne treści tworzą, wobec dużych graczy, którzy czerpią zyski reklamowe z tego, że ich użytkownicy dzielą się owocem cudzej pracy kreatywnej.

Jasne jest, że skoro może to naruszyć interesy platform internetowych, podjęły one zmasowaną kampanię lobbującą i medialną. Na ostatnich etapach prac projekt dyrektywy złagodzone tak, by np. obowiązek dogadania się z organizacjami praw autorskich dotyczył tylko dostawców usług, którzy przechowują „dużą” liczbę utworów, a fil-

trowanie treści potencjalnie naruszających prawa autorskie było proporcjonalne – co oznacza np., że mały serwis nie musi korzystać z arcydrogich algorytmów filtrujących, którymi dysponuje np. YouTube. Podobnie z linkami np. do materiałów prasowych. Samo ich zamieszczenie nie powoduje konieczności uregulowania tzw. praw pokrewnych wydawcy danej gazety czy telewizji.

Procedowany obecnie dokument zawiera pewne mętne sformułowania i definicje niezgodne z resztą korpusu prawa unijnego. Należy nad nim pracować, aby wymuszał rozsądny kompromis i sprawiedliwe dzielenie się kawałkiem tortu reklamowego z twórcami, a niekoniecznie rzucał kłody pod nogi nowym firmom i projektom. Ale obecny raban z „podatkiem” i „cenzurą” służy tylko zagłuszeniu tych, którzy mogliby merytorycznie wymusić na brukselskich prawodawcach sensowne zmiany. ©P



„TP” 25 / 2018

W obronie studentów

Ze smutkiem przeczytałam komentarz red. Pawła Bravo pt. „Reforma w świecie fikcji”, dotyczący protestu studentów przeciw projektowi ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce, zwanej Ustawą 2.0. Autor sugeruje, że studenci walczą nie tyle o przegraną, co o niesłuszną sprawę. Nie rozumieją logiki reformy ani konieczności zmian. Między wierszami można też wyczytać aluzję, że być może studenci dali się uwieść tym środowiskom akademickim, które z tak szeroko konsultowanej ustawy wciąż są niezadowolone i nie chcą uznać, że są głosem mniejszościowym. Jest to diagnoza krzywdząca dla protestujących, ale nieodosobniona wśród publicystów, zwłaszcza (choć nie tylko) mediów liberalnych. W zasadzie powinni z entuzjazmem odnotować polityczne przebudzenie żaków, podobnie jak reagowali na udział młodych w manifestacjach w obronie niezawisłości polskiego sądownictwa. Jednak dominujący odbiór protestu studentów jest ambiwalentny. Prezentowani są jako niedojrzali

idealiści zmanipulowani przez bojącą się reformy kadre, a w najlepszym przypadku jako ludzie niepotrafiący czytać ustaw ze zrozumieniem. Odpowiedzialność za ten wizerunek ponoszą pospołu pracownicy naukowcy uczelni wyższych i instytutów badawczych oraz dziennikarze. Ci pierwsi w większości nie potrafią formułować jasno swojej wizji wiedzy i uniwersytetu. Wypowiadając się publicznie, zwykle przyjmują pozycję defensywną. Całą energię wkładają w tłumaczenie się z tego, że wcale nie są darmozjadami ani konserwatywnymi kontrrewolucjonistami – i nie starcza im czasu antenowego na przedstawienie konstruktywnej idei uniwersytetu. Ci, którzy próbują to uczynić, zazwyczaj używają do tego górnolotnych słów, które w debacie publicznej są łatwo zbywane jako nieżyłowe i pięknoduchowskie. Inni usiłują wywołać współczucie społeczeństwa, przekonując, że chętnie „robyliby Harvard”, ale zarabiają na uczelni tyle, co kasjerka w Lidl. Choć mają skądinąd sporo racji, branie opinii publicznej na litość jest dziś skazane na porażkę. Nawet dziennikarze, którym kwestia humanizacji pracy jest bliska i którzy chcą być rzecznikami ochroniarzy, pielęgniarek i kasjerek, nie palą się do obrony kadry uniwersyteckiej. Od dziennikarzy i publicystów należałoby

oczekiwać tego, co w fenomenologii społecznej określa się zorientowaniem na przekładalność perspektyw. Chodzi o wysiłek zrozumienia racji protestujących w kontekście ich faktycznego i aktualnego doświadczenia uniwersytetu. To, że kiedyś się studiowało, nie oznacza, że zna się od podszewki problemy i nastroje na uczelniach tu i teraz. Nie zawsze mniejszość nie ma racji. Nie zawsze mniejszość jest nieliczna, nawet jeśli mobilizuje się do działania na ostatni moment. Konsultacje społeczne nie zawsze są gwarancją prawa lepszej jakości, zwłaszcza jeśli mają pełnić głównie funkcję wizerunkową i pozorują równość uczestniczących w nich stron. Warto też postawić pytanie, czy kilka wartościowych rozwiązań ma unieważniać zastrzeżenia do ogólnej linii Ustawy 2.0. Dlaczego mimo dość powszechnej krytyki neoliberalizmu, neoliberalny ma być właśnie uniwersytet? Czy inna logika jego modernizacji nie jest możliwa? Studenci, doktoranci i pracownicy naukowcy muszą odrobić niełatwą lekcję z komunikacji społecznej. Jednakże należałoby sobie życzyć, aby także dziennikarze przyjęli bardziej otwartą postawę wobec argumentów protestujących.

MAGDALENA
NOWICKA-FRANCZAK,
Zakład Badań Komunikacji
Społecznej, Instytut Socjologii
Uniwersytetu Łódzkiego

„TP” 26 / 2018

Specjalna nie znaczy gorsza

Chciałabym odnieść się do fragmentu artykułu Przemysława Wilczyńskiego na temat problemów osób niepełnosprawnych, z którego może wynikać, że szkolnictwo specjalne to dla dziecka zawsze najgorsze rozwiązanie. Z mojej wieloletniej praktyki psychologa i pedagoga specjalnego wynika, że często właśnie dzięki edukacji w szkole specjalnej dzieci nabywają miękkich kompetencji, ponieważ w tego rodzaju placówkach nabierają pewności siebie. Mogą odnieść sukces, mieć kolegów, samodzielnie wykonać zadania. Prawdą jest, że duża grupa to uczniowie po „traumach” w szkołach ogólnodostępnych czy integracyjnych. Dopiero w szkole specjalnej otwierają się, uczą samodzielności. A to, że nasi absolwenci są wykluczeni z rynku pracy, jest winą całego systemu, a raczej jego braku. Niestety mamy jeszcze bardzo dużo do zrobienia w tej dziedzinie.

JAROSŁAW KWAŚNIAK

Przepraszamy

W magazynie „Conrad 02” („TP” 26) omyłkowo umieściliśmy zdjęcie p. Łukasza Dziedzica z Fundacji Kultury Audiowizualnej „Strefa Szarej” podpisując je jako zdjęcie p. Łukasza Dziedzica, typografa. Oby Panów serdecznie przepraszamy.

TP

Kluby „TP” zapraszają

LIPSK – czwartek, 28 czerwca, godz. 18.00

Spotkanie „Tischner czyta katechizm”. Propsteikirche (Nonnenmühlgasse 2, salka KOLPINGA).

WROCŁAW – wtorek, 3 lipca, godz. 18.00

Spotkanie „Pobudka, Kościele!”. Gościem będzie: Jarosław Makowski. Tajne Komplet (ul. Przejście Garncarskie 2).

ZIELONA GÓRA, wtorek, 3 lipca, godz. 18.00

Spotkanie organizacyjne. Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

DAJCIE NAM SIĘ POZNAĆ!



Koncert Micromusic, SLOT 2017

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA DO „SFERY DIALOGU” PROWADZONEJ PRZEZ „TYGODNIK” PODCZAS SLOT ART FESTIVAL (LUBIĄŻ, 11-14 LIPCA). JESTEŚMY WAS CIEKAWI – I JESTEŚMY TAM DLA WAS!

■ GODZ. 9.00

we wszystkie dni Festiwalu
Przebudzenie ducha. Zaprasza
Piotr Sikora, teolog i filozof, oraz
dziennikarze „Tygodnika”. Miejsce
na wyciszone i uważne rozpoczęcie
dnia. Zapraszamy na wspólne
śniadanie i rozmowy o duchowości
w wielokulturowym świecie.

■ GODZ. 11.00 ŚRODA

Gdy wszystko jest prawdą. Pomimo
popularności tego gatunku, wokół
reportażu narastają kontrowersje.
Na rozmowę o granicach, których
reporterom nie wolno przekraczać,
zaprasza Wojciech Jagielski.

■ GODZ. 11.00 CZWARTEK

Mówię: „Sprawdzam”. Pierwszą
funkcją prasy było patrzenie
władzy na ręce. O tym, jak
demaskuje się fałsz w świecie

postprawdy, opowie Kalina
Błażejowska.

PIĄTEK

Wszystkie śluby mojej Mamy.
Podróż w czasie bohaterów
archiwalnych zdjęć ślubnych
sprzed lat. Zaprasza Grażyna
Makara, fotoreporterka
„Tygodnika”.

SOBOTA

Busz po polsku 2018. Z Michałem
Olszewskim porozmawiamy m.in.
o polskich tematach, które wciąż
czekają na opisanie, i o tym, czy
reportaż społeczny może zmieniać
rzeczywistość na lepsze.

■ GODZ. 13.00 ŚRODA

Polityka – pusty teatr czy starcie
wartości? Zapraszamy na rozmowę
o tym, że wspólnota skierowana
ku dobru może jeszcze wygrać ze
wspólną nienawiści. Prowadzi
Paweł Bravo.

CZWARTEK

Stulecie migrantów. 68,5 mln
uchodźców i ćwierć miliarda
migrantów – rodzi się właśnie
nowa era w dziejach świata.
O uchodźcach, których
spotkał na Bałkanach, Bliskim
Wschodzie i Afryce, opowie Marcin
Żyta.

PIĄTEK

To nie Facebook, to my. Wbrew
marzeniom o „globalnej
wiosce” w internecie jesteśmy
podzieleni, odizolowani od siebie
i dezinformowani przez populistów.
Dlaczego? Opowie Michał
Kuźmiński.

SOBOTA

Kościół kobiet. Jaki wpływ
kobiety mają na Kościół?
Co robią w Watykanie? Ile ich
jest? I dlaczego wciąż tak mało?
Zaprasza Zuzanna Radzik.

■ GODZ. 20.00 ŚRODA

Imperium Boga Hanumana. Indie
są inne, niż sobie wyobrażamy.
To jeden z najbardziej
materialistycznych regionów na
świecie, gdzie pęd do władzy jest
dużo większy niż na Zachodzie.
Opowie o tym Piotr Kłodkowski.

CZWARTEK

Himalaizm – granice pasji.
Wyprawy na Broad Peak i K2 to
pretekst do dyskusji o ryzyku
podejmowanym przez wspinaczy.
Spotkanie z Bartkiem Dobrochem
i Przemysławem Wilczyńskim.

PIĄTEK

My, naród. Rohingya w Birmie
i Bangladeszu. Mówi się, że

to najbardziej prześladowana
grupa etniczna na świecie.
Rohingowie, birmańscy
muzułmanie, doświadczali w Birmie
prześladowań, które ocierają się
o ludobójstwo. Na spotkanie o nich
zaprasza Marek Rabij.

SOBOTA

Świat przyszłości: Afryka.
Ponad 60 lat po odzyskaniu
niepodległości przez większość
państw Afryki kontynent ten czeka
druga wielka zmiana. Rewolucja
demograficzna uczyni z niego
najważniejsze miejsce na ziemi.
Opowiedzą o tym Grażyna Makara
i Marcin Żyta.

SZUKAJCIE NAS TEŻ W STREFIE WOLNEGO CZYTANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” – na leżaki

zapraszają Maja Kuczińska
i Marta Filipiuk-Michniewicz,
odpowiedzialne za projekty
specjalne „TP”.

SLOT ART FESTIVAL,

Lubiąż k. Wrocławia
Pełny program oraz bilety:
slot.art.pl

KSZTAŁT WODY

Koniec z wypoczynkiem nad dzikimi rzekami?
Pod rządami PiS gospodarka wodna w Polsce
ma przekroczyć ekologiczny Rubikon.

MAREK RABIJ



BĘDZIE TO TEKST O SUROWCU, KTÓRY w Polsce staje się właśnie deficytowy, choć dostarcza go natura, czasem w katastrofalnym nadmiarze. Będzie o wodzie. A dokładniej o polskiej wodzie, bo od pewnego czasu nawet ona ma nad Wisłą polskie obowiązki.

Od 1 stycznia niemal wszystkie zadania związane z krajową gospodarką wodą przejęło Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie. Nowy superintendent ma trzymać twardą ręką rozproszone dotąd kompetencje samorządów i wielu instytucji, bo z wodą mamy coraz większy problem. Niecałe 1,6 tys. m³ rocznie w przeliczeniu na mieszkańca, trzy razy mniej od europejskiej średniej, czyni dzisiaj z Polski jeden z najbardziej odwodnionych krajów Europy. W dodatku, z racji zmian klimatycznych, zasoby te stają się z roku na rok coraz mniej przewidywalne, a powódzie czy susze – jak argumentują politycy PiS – prędzej czy później i tak zmuszają władze do interwencji.

Wiele w tym racji. Ale to niecała prawda, bo wobec 770 km morskiej linii brzegowej i przeszło 26 tys. km polskich rzek obecny rząd ma plany wykraczające poza zarządzanie sytuacjami kryzysowymi. Na razie pomysły pozostają na papierze, najbliższe miesiące pokażą jednak, ile w tej hydrowolucji politycznej retoryki.

Woda w służbie narodu

Zaczęło się od przyspieszenia prac nad obiecywanym od dawna przekopem Mierzei Wiślanej. O ile PO przez lata hamletyzowała w tej sprawie, raz będąc za, raz przeciw, o tyle PiS od połowy ubiegłej dekady konsekwentnie projekt popiera, wskazując na konieczność uniezależnienia żeglugi po Zalewie Wiślanym od Rosji.

W lutym 2017 r. Sejm przyjął rządową ustawę, która zakłada budowę drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską mniej więcej w połowie długości Mierzei Wiślanej; w ten sposób powstałaby droga żeglugowa do Elbląga

z pominięciem Cieśniny Piławskiej kontrolowanej przez Federację Rosyjską. Kanał ma liczyć 1,3 km długości oraz 5 m głębokości i pozwoli dotrzeć do portu w Elblągu jednostkom o zanurzeniu do 4 m, długości do 100 m i maksymalnej szerokości 20 m. Zgodnie z planem budowa miała rozpocząć się już w tym roku, potrwać do 2022 r. i kosztować skarb państwa ok. 880 mln zł.

Marek Gróbarczyk, minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, uspokajał niedawno na łamach „Rzeczpospolitej”, że przygotowania przebiegają zgodnie z planem, a budowa ruszy z końcem roku, gdy Mierzeję opuszczą ostatni turyści. Więcej dzieje się w tej chwili w mediach, w których politycy PiS coraz częściej stawiają krytykom tej inwestycji zarzuty najcięższego kalibru. Wiceminister gospodarki morskiej Grzegorz Witkowski w „Wiadomościach” TVP oskarżył ostatnio Zarząd Województwa Pomorskiego o działanie na rzecz Kremla; a poszło po prostu o to, że pomorscy samorządowcy ocenili projekt przekopu negatywnie, nie otrzymawszy kompletu dokumentów.

Miejsce dyskusji na temat opłacalności inwestycji zajęła więc propaganda, która ma stworzyć wrażenie, że dla rządowego planu nie ma alternatywy, a dotychczasowe opóźnienia w jej realizacji wynikały tylko ze złej woli poprzednich rządów, a nie innej wizji rozwoju. Uzasadniając konieczność przekopania Mierzei, Jarosław Kaczyński posunął się wręcz do stwierdzenia, że to „kwestia godności narodowej”. I prezes, i reszta polityków PiS przemilczają jednak znany mieszkańcom wybrzeża fakt, że Rosjanie od dziewięciu lat nie czynią przeszkód polskiej żegludze. Statki wycieczkowe regularnie kursują między Elblągiem i obwodem kalininogradzkim, nikt nie zatrzymuje również jednostek rybackich czy transportowych pod polskimi banderami. Inna sprawa, że w umowie z 2009 r. Moskwa zastrzegła, że w każdej chwili może zamknąć trasy pod trudnym do sprecyzowania pretekstem „zapewnienia bezpieczeństwa państwa, bezpieczeństwa żeglugi bądź zachowania równowagi ekologicznej”.

Płynne korzyści

Nie mniej specyficznie rząd dobiera też argumenty natury ekonomicznej. Politycy co rusz przypominają dane o głębokości zanurzenia statków, które będą mogły zawijać do elbląskiego portu

(4 m), nie wspominają jednak, że oddalony o niespełna 70 km port w Gdańsku przyjmuje jednostki o głębokości zanurzenia do 15 m, a większość analiz ekonomicznych nie pozostawia złudzeń, że nawet po przekopie Elbląg nie wyjdzie poza rolę tzw. portu feederowego, z którego statkami dostarcza się towary do większych terminali.

Kanał skróci jednak podróż morską z Gdańska aż o 94 km, czyli 6-8 godzin rejsu dla jachtu i jakieś 12 godzin dla statku wycieczkowego – co niewątpliwie zwiększy potencjał turystyczny Elbląga i okolic. Szkopuł w tym, że ceną tego udogodnienia muszą być ingerencje w środowisko, które z kolei odbiorą regionowi sporo turystycznego powabu. Pierwsze analizy kosztów przyrodniczych inwestycji mówiły np. o 1,3 mln m³ ziemi z samego przekopu i ponad 7 mln m³ szlamu z dna Zalewu, które trzeba będzie pogłębić dla statków na łącznej powierzchni 260 hektarów. Co z tym zrobić? Był plan, żeby usypać sztuczną wyspę na zalewie, którą z czasem zasiedliłyby ptaki, lecz sama Mierzeja i część Zalewu Wiślanego to obszar chroniony programu Natura 2000, gdzie tego typu przedsięwzięć realizować po prostu nie wolno.

Koszty środowiskowe nie wydają się jednak rządowi za wysokie w relacji do potencjalnych korzyści politycznych i gospodarczych. Przyroda musi sobie poradzić. Krytycy – zamilknąć.

„Jeżeli stosowalibyśmy taką retorykę, to wszystko, co zostało wybudowane w Holandii, we Francji, w Niemczech, jest jednym wielkim działaniem służącym negatywnie środowisku” – w taki sposób minister Gróbarczyk odpowiedział w „Rzeczpospolitej” na pytanie o wątpliwości ekologów i biologów morza, którzy boją się m.in. tego, że przez przekop wejdzie się do słonawowodnego Zalewu Wiślanego słona woda z Zatoki Gdańskiej, zmieniając bezpowrotnie charakter akwenu. W Radiu Maryja minister posunął się krok dalej, dając do zrozumienia, że rząd projekt przekopu musi dopiąć na ostatni guzik, bo Bruksela będzie z premedytacją sabotować plany Warszawy.

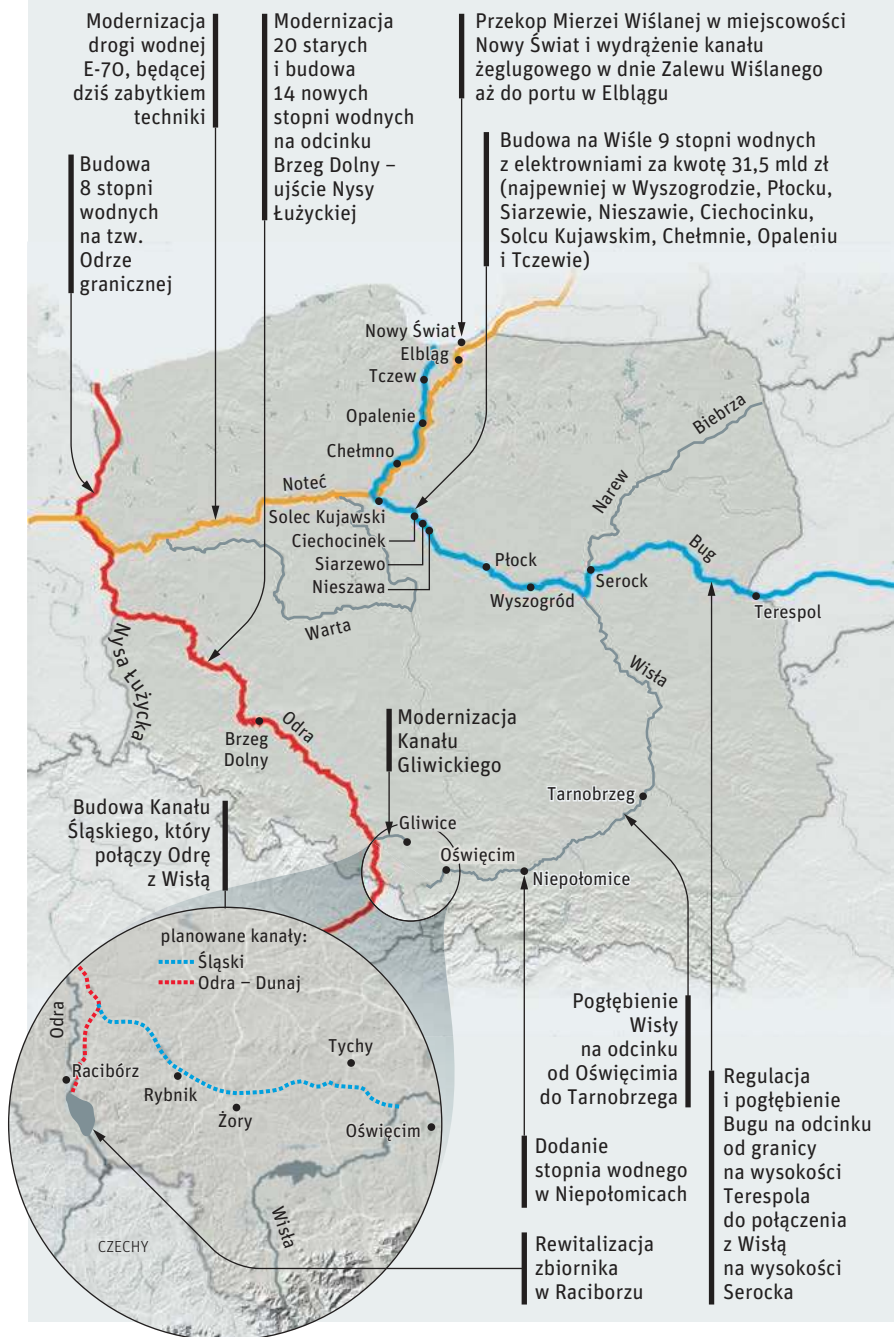
Argumenty i wątpliwości oponentów mają w retoryce partii władzy najwyższą rangę hałaśliwych chwytów erystycznych. Rząd stara się usilnie przekonać opinię publiczną, że przeciwnicy przekopu Mierzei w gruncie rzeczy nie walczą o środowisko.

„Wodna Masa Krytyczna”, Kraków, 24 czerwca 2018 r. W tym roku częścią imprezy był protest przeciw rządowym pomysłom regulacji rzek, zwłaszcza budowy zapory w Siarzewie.

INWESTYCJE W SZLAKI WODNE W POLSCE

Drogi wodne:

— E30 Dunaj – M. Bałtyckie — E40 M. Bałtyckie – M. Czarne — E70 Atlantyk – M. Bałtyckie — pozostałe



udroźni dla transportu krajowe odcinki trzech międzynarodowych dróg wodnych E-30, E-40 oraz E-70 biegnące Bugiem i Wiśłą oraz Odrą i fragmentami Warty [więcej na infografice obok]. Projekt na razie istnieje tylko na papierze i nie wiadomo, kiedy zacznie być realizowany, choćby z racji gigantycznych kosztów. Już dziś warto jednak przyjrzeć mu się bliżej jako swoistemu cywilizacyjnemu wyznaniu wiary partii rządzącej.

Według GUS długość polskiej sieci śródlądowych dróg wodnych od lat nie ulega zmianie i liczy ok. 3,65 tys. km, ale do transportu za pomocą dużych barek nadaje się zaledwie 214 km. Nic też dziwnego, że rzekami przewozimy obecnie niespełna 0,4 proc. towarów, podczas gdy w Unii Europejskiej udział transportu rzeczno-ego w całym rynku przewozowym przekracza 6 proc.

Z powyższymi liczbami nie da się polemizować, ale można je różnie interpretować. Dla rządu PiS nieuregulowane rzeki to jeszcze jeden wstydlivy przykład zapóźnienia cywilizacyjnego po PRL jak niegdyś brak autostrad. O szansach na rozwój usług turystycznych, wpisujących się idealnie w rosnący dziś na świecie biznes czasu wolnego, rząd w kontekście nieuregulowanej Wisły czy Bugu nie wspomina, bo najwyraźniej nie są to argumenty przemawiające do wyobraźni jego wyborców. Co innego barki na rzece jako ulga dla zakorzenionych polskich dróg.

Transport rzeczny istotnie kosztuje o wiele mniej od kolejowego i drogowego, a w przeliczeniu na każdą tonę przewożonego towaru emituje najmniej zanieczyszczeń. Sęk w tym, że jego budowa praktycznie od zera będzie bardzo kosztowna (60 mld zł to niemal połowa tego, co Polska w latach 2007-13 wydała na drogi i autostrady), a utrzymanie w odpowiednim stanie będzie znacznie droższe niż w Europie Zachodniej i na dłuższą metę może się okazać wręcz niewykonalne [szerzej o tym w sąsiednim wywiadzie]. Słowem – jest o czym dyskutować. Tylko czy rząd zechce tym razem usłyszeć głosy przeciwne? Czy np. dopuści konsultacje w sprawie długości i przebiegu kanału bocznego, który ma powstać na Bugu?

Ostatnie takie wakacje

Sądząc choćby po reakcjach w internecie, rządowa hydrowrewolucja Polaków ani ziębi, ani grzeje. Jedynie w dużych aglo-

→ „Ten aspekt polityczny [utrzymanie monopolu Rosji na kontrolę żeglugi po Zalewie – MR] jest tutaj (...) ubierany w formę ekologiczną, ekonomiczną itd. W związku z tym chcemy zostawić to całkowicie z boku, nie wchodzimy w tę retorykę” – to raz jeszcze minister Gróbarczyk w „Rzeczpospolitej”.

Kolej na rzeki

Wiele wskazuje na to, że nikłe szanse na rzeczowy dialog ze stroną rządową będą też przy drugim, jeszcze większym projekcie wodnym PiS, jakim ma być reaktywacja polskiej żeglugi śródlądowej. Przyjęty w ubiegłym roku plan zakłada, że kosztem 60-70 mld zł Polska do końca 2030 r.

meracjach przeciw regulowaniu rzek protestują wyraziste, w gruncie rzeczy wciąż jednak nieliczne grupy ekoaktywistów i zwolenników idei miasta, które od wody nie odwraca się już plecami.

Rejterada miejskiego życia znad brzegów rzek była skutkiem rabunkowego uprzemysłowienia z czasów PRL. Jeszcze w 1964 r. 31,6 proc. łącznej długości polskich rzek mieściło się w pierwszej klasie czystości. W 1990 r. – już tylko 0,4 proc. Po wejściu do UE Polska zaostrzyła przepisy ochrony środowiska, co wprowadziło zamieszanie w statystykach (w miejsce trzech klas czystości wprowadzono pięć, w dodatku liczonych inaczej), ale sprawiło też, że krajowe rzeki stały się odczuwalnie czystsze. Dziś niosą o wiele mniej zanieczyszczeń przemysłowych, znacząco udało się też ograniczyć zrzut ścieków komunalnych. Do ideału wciąż daleko, bo nadal podtruwa je górnictwo i szkodzą elektrociepłownie, podnosząc temperaturę wody, ale na większości odcinków jakość wody i stan rzeczno-ekosystemu ulegają dziś stałej poprawie.

W 2017 r. Polskę odwiedziło 16,7 mln turystów z zagranicy, którzy wydali 9,7 mld dolarów – równoważność 1,7 proc. polskiego PKB. Nie wiadomo, ilu z nich przyjechało podziwiać dziki Bug, pojeździć zimą bojem po zamrażniętym Zalewie Wiślańskim lub połowić wielkie sumy w Wiśle – nikt nie prowadzi tak szczegółowych statystyk.

Pewne jest co innego. W najnowszym raporcie World Economic Forum na temat konkurencyjności turystycznej Polska uplasowała się na 46. miejscu w rankingu 136 państw. Sam potencjał przyrodniczy dał nam 72. miejsce, a jakość oferty kulturalnej – 36. Najslabiej Polska wypadła natomiast w analizie jakości polityki wspierania turystyki przyjazdowej (130. miejsce).

Z zasobami wodnymi, którą ONZ i Unia Europejska zgodnie nazywają dziedzictwem, a którą polskie władze traktują jak jeszcze jeden surowiec do eksploatacji, 72. miejsce w zestawieniu potencjału przyrodniczego możemy za kilkanaście lat wspominać z rozrzewnieniem.

© P MAREK RABIJ

Spływajmy!

ARTUR MAGNUSZEWSKI, HYDROLOG:

W Europie nikt nie myśli o tym, by rzekę zmieniać w uregulowaną drogę wodną. Często słyszę, jakimi to szczęściarzami jesteśmy w Polsce, że mamy dzikie rzeki.

MAREK RABIJ: Wpadł Pan kiedyś w kurzwawkę?

ARTUR MAGNUSZEWSKI: Nie. Ale słyszałem, że można się najeść strachu. Brodzi sobie człowiek w płytkiej wodzie, po twarzym piaseczku i nagle zapada się po kolan, albo i głębiej, w coś grząskiego na dnie, co wciąga jak bagno.

Polskie rzeki bywają niebezpieczne. Najbardziej boję się wypłyceń na tzw. prześmiałach na skraju głównego nurtu, gdzie dno gwałtownie opada w głębinę z silnymi wirami. Krok i z wody sięgającej kolan łąduje się w kilkumetrowej toni. Albo miejsca przy główkach ostróg, budowanych dla regulacji rzeki. Gdy przepływa się tamtędy łodzią z echosondą, można zauważyć, że wiry potrafią wydrapać w dnie zagłębienia na kilkanaście metrów, a woda kręci z taką siłą, że utrudnia sterowanie. Nawet świetny pływak może się tam utopić.

W ten sposób nie przekona Pan czytelników do nieregulowania rzek.

Ależ ja nie jestem doktrynalnym przeciwnikiem rzecznej inżynierii! Mamy w Polsce kilka inwestycji, które są niezbędne dla bezpieczeństwa hydrologicznego, choćby stopień na Wiśle w Sierzowie. Próg piętrzący przydałby się też w Warszawie. Nazwałbym siebie zwolennikiem osławiania rzek, czyli czynienia ich bardziej przyjaznymi i użytecznymi w taki sposób, by zachowały jak najwięcej dzikiego charakteru i uroku.

Tylko że za 12 lat – jeśli obecna ekipa rządząca dotrzyma słowa – w Polsce może nie być kilometra dzikiej rzeki. Będą wodne autostrady, którymi będzie się szybko i tanio transportować surowce oraz kontenery.

Dodajmy: przez najwyżej osiem, dziewięć miesięcy w roku.

Tego w projektach nie wyczytałem.

Długości sezonu żeglugowego nie wyznacza rozporządzenie ministra, lecz pogoda. Zimą polskie rzeki zamarzają. Nawet jeśli mróz trzyma krótko, blokuje je potem kra. Latem tygodniami mamy z kolei tzw. niżówki, okresy bardzo niskiego poziomu wody. Możemy pogłębiać koryta, mnożyć stopnie wodne, ale nie zmienimy tego, że wszystkie duże rzeki w Polsce są zasilane w wodę głównie przez opady w górach, a na obszarach nizinnych – przez to, co wsiąknę w grunt z topniejącego śniegu. Planując miliardowe inwestycje w transport rzeczny, uwzględniłbym więc bardziej prognozy, z których wynika, że cieplejsze zimy oznaczają słabsze zasilanie wód gruntowych, które podtrzymują przepływ w rzekach, kiedy nie pada.

Za to latem będzie więcej gwałtownych burz i powodzi.

No to pana zmartwię: przy niskim poziomie wód gruntowych wywołanym brakiem zasilania z pokrywy śnieżnej duże letnie opady mogą nie wystarczyć do poprawy warunków hydrologicznych. Latem mamy wprawdzie najwyższe sumy opadów, ale przewyższa je parowanie, które zawraca wodę wprost do atmosfery.

Chce Pan powiedzieć, że klimat w Polsce aż tak różni się od panującego w Niemczech? Bo tamtejsze rzeki są żeglowne cały rok.

Z hydrologicznego punktu widzenia możemy o właściwie dwóch różnych strefach klimatycznych! Zwolennicy pełnej regulacji Odry i Wisły chętnie przywołują przykład Renu, rzeki o podobnej długości. Ale Ren charakteryzuje się bardzo wyrównanym przepływem, zimy są tam łagodne, co oznacza brak przerwy w żegludze.

Cechą Wisły jest duża zmienność przepływu, a także przeciążenie rzeki osadami, bo to rzeka bardzo młoda, która niesie ogromne masy piasku. Wszystko to razem czyni żeglugę po Renie bardziej przewidywalną, choć i niemieccy hydrododzy przypomnieli niedawno w raporcie o konieczności dostosowania taboru pływającego do mniejszych głębokości – efektu dłuższych niżówek wywołanych zmianami klimatu.

Wisła od wieków była ważnym traktem transportowym. Od XV w.



→ **gospodarka niemal całej Rzeczypospolitej też opierała się na transporcie zboża do portu w Gdańsku.**

I już wtedy transport ten odbywał się sezonowo. Zimą zboże zwożono na saniach do nadrzecznych spichrzy, w których czekało na wczesną wiosnę, aż poziom wody w Wiśle będzie dostatecznie wysoki, by bez przeszkód spławić je do Gdańska. Dogodnym okresem żeglugi była tzw. świętojanka, okres wysokich przepływów w czerwcu. Ale o tym zwolennicy regulacji Wisły dziś nie mówią. Wolą pokazywać stare sztychy i fotografie z Warszawy czy Sandomierza, na których utrwalono, jak wielki ruch panował wtedy na rzece.

Bo panował. U Canaletta na stołecznym odcinku rzeki aż roi się od łodzi, barek i tratw.

Dla pełnego obrazu trzeba jednak dodać, że Warszawa miała wówczas tylko jeden stały most Ponińskiego, spalony zresztą podczas insurekcji kościuszkowskiej. Na następny czekała aż do lat 60. XIX w. To wymuszało zwiększony ruch na rzece. Podobnie było z transportem pomiędzy miastami w zaborze rosyjskim. Wisła stała się głównym traktem komunikacyjnym, bo przy rzadkiej sieci dróg i kolei nie było alternatywy. W zaborze pruskim budowa kolei postępowała wówczas równolegle z rozbudową sieci kanałów i śluz, dlatego transport rzeczny nie zyskał tam nigdy aż takiej popularności. Wie pan, jaki procent transportu idzie dziś w Polsce rzekami?

Okolo 0,4 proc. Dla zwolenników ich regulacji to jeden z dowodów na zmarnowaną szansę pozbycia się tirów z polskich dróg. Ale do Pana, jak rozumiem, on nie przemawia.

Nie w takim ujęciu, w jakim prezentują go najzagorzalsi zwolennicy regulacji. Mieliśmy już hasło „tiry na tory”, ale pomysł tranzytu ciężarówek pociągami rozbił się o zły stan polskich kolei. Te-



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. ARTUR MAGNUSZEWSKI jest kierownikiem Zakładu Hydrologii w Katedrze Geografii Fizycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się m.in. gospodarką wodną i ochroną środowiska. Od lat żegluguje po polskich rzekach.

raz tiry mają płynąć barkami. Kosztem ok. 60 mld zł chcemy unowocześnić trzy główne trakty wodne kraju, które łączą się z drogami międzynarodowymi. Czyli wpompować mnóstwo pieniędzy w formę transportu, która w większości krajów rozwiniętych ma obecnie znaczenie marginalne. Owszem, Niemcy czy Francuzi inwestują nadal w sieć dróg wodnych, lecz po to, by utrzymać ją drożną, a nie po to, żeby uczynić alternatywą dla innych form transportu. Nawet w Rosji, która rzeki ma wielkie, a sieć drogową i kolejową, zwłaszcza na Syberii, nadal rzadką, udział wodnego transportu śródlądowego w obrocie towarowym ostatnio maleje.

Czas to pieniądź. Przewiezienie kontenera barką rzeczną kosztuje mniej niż transport pociągiem lub samochodem, ale trwa dłużej. No i bywa nieprzewidywalne. Niech pan wejdzie na chwilę w skórę warszawskiego przedsiębiorcy, który we wrześniu ma wysłać do Gdańska kontener z towarem na eksport. Zarezerwuje pan dzisiaj miejsce na barce, nie mając pewności, czy Wisła będzie wtedy żeglowna, czy dopłaci i wyśle towar pociągiem?

Ale pan chciał rozmawiać z hydrologiem, a ja teraz mówię jak ekonomista.

Od ekonomii całkiem nie ucieknemy, bo muszę spytać hydrologa, po co nam dziś rzeki. Nie żywią i nie bronią jak dawniej.

Ale nadal poją. Niedawno GUS podał, że większość Polaków mieszka już w miastach. Za kilkanaście lat duże miasta staną

się zapewne jeszcze większe, a wielkie aglomeracje z reguły nie są w stanie zaspokoić zapotrzebowania na wodę wyłącznie za pomocą ujęć podziemnych. Woda z rzeki chyba już nigdzie na świecie nie nadaje się do picia bez uzdatniania, dlatego kluczowe staje się pytanie o skalę zanieczyszczenia. Jeśli rzeki prowadzą wodę, a nie ścieki, jej uzdatnienie jest tańsze. Wodociągi są najczęściej finansowane z budżetów komunalnych, jeśli mniej wydamy na kosztowne uzdatnianie wody, więcej zostanie na teatr czy oświetlenie ulic.

No to polskie rzeki ostatnio są w koalicji z samorządowcami.

Żeby pan wiedział. Wybrałem się niedawno w rejs łódką z Warszawy do Gdańska. Pamiętam, że na odcinku do ujścia Narwi jeszcze piętnaście lat temu cuchnęło jak na wysypisku. Dziś woda jest czysta. Pływać w niej bym się chyba jeszcze nie odważył, ale to już nie jest rzeka, która odrzuca. Przeciwnie, chce się nad nią wracać. Jesteśmy w Unii, obowiązuje nas Ramowa Dyrektywa Wodna, która priorytetem gospodarki wodnej czyni dobrostan wodnego ekosystemu. Nie wiem, jak rząd chce teraz te inwestycje w szlaki wodne pogodzić ze wspomnianą dyrektywą.

Opinia publiczna w Polsce odczyta to następująco: na Zachodzie swoje rzeki uregulowali, korzystają z nich, modernizują szlaki wodne, a nam nie pozwalają.

Modernizują, ale nie budują od zera. Pod Berlinem, w miejscowości Niederfinow, powstaje nowoczesna podnośnia dla statków. Żegluga śródlądowa ma pomóc odkorkować stolicę Niemiec, ale to tylko wymiana jednego z elementów gotowego od lat rzeczno-systemu transportowego. Nikomu nie przyszłoby tam teraz do głowy, żeby dziką rzekę zmieniać w uregulowaną drogę wodną. Ilekroć rozmawiam z kimś z Europy Zachodniej, słyszę, jakimi to szczęściarzami jesteśmy, że jeszcze mamy w Polsce rzeki nieuregulowane i nie musimy ich na siłę renaturalizować.

Na siłę?

Rzekę łatwiej uregulować, niż pozwolić jej ponownie zdziczeć. Powiedzmy, że ona sobie na pewnym odcinku kiedyś pięknie meandrowała, aż przyszedł człowiek i ją w kilka lat wyprostował. Aby ponownie zaczęła tworzyć malownicze zakola, potrzeba dekad albo i stuleci, nie mówiąc



MAREK RABIJ będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 27 czerwca o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

o skomplikowanych procedurach wywłaszczeniowych, bo tereny nadrzeczne zwykle ktoś już zamieszkuje lub uprawia. Ale to się w Europie Zachodniej coraz częściej dzieje, bo pomimo wielkich kosztów i problemów naturalna rzeka w sąsiedztwie bardziej się człowiekowi opłaca.

Ma Pan na myśli mniejsze zagrożenie powodziowe?

Uregulowane rzeki faktycznie tracą naturalny bufor bezpieczeństwa, jakim są ich tereny zalewowe, starorzecza itd. Niemcy, którzy większość swoich rzek dawno temu uregulowali, zmagają się teraz z powodzią, raz mniejszymi, raz większymi, ale niemal zawsze o gwałtownym przebiegu. Ale o tym już się w Polsce mówi. Nie zauważamy i nie doceniamy natomiast innych usług rzeczno-ekosystemu, z których wszyscy korzystamy. Gdyby mieszkał pan na przykład blisko rzeki...

Mieszkam 800 metrów od Wisły.

W takim razie w pana interesie leży to, żeby Wisła była jak najczystsza. Tam, gdzie rzeka zachęca do wypoczynku nad jej brzegiem, sąsiedztwo wody winduje ceny mieszkań i renomę całej dzielnicy. Niech pan sprawdzi choćby ceny mieszkań w okolicy Portu Praskiego w Warszawie. Ta sama rzeka, nagle zanieczyszczona, byłaby czynnikiem zaniżającym ceny pobliskich nieruchomości. Ludzie przestaliby nad nią zaglądać, okolica zrobiłaby się szemrana, wzrosłaby przestępczość.

Uregulowana rzeka też może być czysta i na swój sposób malownicza.

Ale nieodwracalnie straci wiele na zdolności do samooczyszczania. Rzeka to także naturalna oczyszczalnia ścieków. Ten aspekt nabiera szczególnego znaczenia w Polsce, która jest odpowiedzialna za stan ekologiczny Bałtyku. Spływające do niego wody niosą mnóstwo tzw. biogenów, które sprzyjają zakwitom sinic i zagrażają bałtyckiej turystyce. Uregulowana rzeka zwykle płynie zwężonym korytem, czyli po prostu szybciej. Mniej osadów zostaje wówczas na dnie, nadbrzeżna i denną roślinność jest w stanie „strawić” mniej nawozów niesionych przez wodę. Nie chcę straszyć, ale warto się zastanowić, jak regulacja Bugu i Wisły wpłynie na stan czystości Zatoki Gdańskiej.

Może dlatego rządowy projekt na Wiśle wraca do pomysłu systemu zbiorników kaskadowych podzielonych dziewięcioma progami. Rzeka zwolni.

Co początkowo będzie mieć dla jakości wody zbawienno wpływ, ale po jakimś czasie, gdy na dnie będzie więcej osadu, sytuacja ulegnie odwróceniu.

Dobrze, koniec narzekań. Teraz chciałbym usłyszeć, jak mądrze wykorzystają polskie rzeki.

Powiedziałbym: spływajmy. Jeśli rząd ma 60 mld zł na śmiały projekt infrastrukturalny, niech przeznaczy te pieniądze na unowocześnienie kolei i dokończenie budowy autostrad. Rzeki wykorzystajmy w inny sposób.

Bug, Wisła, Odra i Warta to nie kolejne odcinki dziurawych dróg lokalnych, które trzeba jak najszybciej przebudować w nowoczesne trasy szybkiego ruchu. To setki kilometrów wspaniałych dzikich wód, w coraz lepszym stanie ekologicznym, czyli idealny grunt pod rozwój turystyki i innych usług związanych z biznesem czasu wolnego. Do Polski coraz częściej zaglądają kajakarze skuszeni szansą zobaczenia dużej rzeki w naturalnym stanie. Nad Bug i nad Wisłę ciągną też wędkarze specjalizujący się w łowieniu wielkich sumów, których tam nie brakuje. Jeśli zmienimy rzeki w „barkostady”, bezpowrotnie stracimy te atuty. Po to, żeby wozic węgiel ze Śląska? Za 30 lat nasze kopalnie i tak nie będą miały już czego wydobywać!

Polski odcinek drogi wodnej E-70 to z kolei szlak żeglugowy wybudowany przez Prusaków w XVIII w. i zmodernizowany w 1915 r., na którym do dziś można zobaczyć np. unikalne urządzenia hydrotechniczne i zabytkowe budynki. Czytam, że musimy włączyć tę drogę w międzynarodowy ciąg żeglugowy klasy IV, czyli zniszczyć zabytek techniki, który może być atrakcją na miarę Kanału Augustowskiego lub pochylni Kanału Elbląskiego. Takie zobowiązania przyjęliśmy jako kraj. Ale czy przed podpisaniem tej deklaracji ktoś w Polsce zastanowił się, po co niemieckie czy holenderskie barki miałyby pchać się E-70 w stronę Gdańska i Kaliningradu, jeśli mogą szybciej dotrzeć do morza np. w Świnoujściu?

© P Rozmawiał MAREK RABIŃ

REKLAMA



Na wschodzie Ukrainy wciąż trwa wojna.

pah

Polska Akcja Humanitarna

Pomóż cywilom razem z Polską Akcją Humanitarną!

WPLAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

dopisek **UKRAINA**

PAWEŁ

Śpiewak: *Elisza uczeń Eliahu*



MÓJ BÓG JEST ZBAWIENIEM – TAK BRZMIAŁO IMIĘ proroka Eliszy, następcy i dziedzica sławnej szkoły prorockiej Eliasza. To na barki Eliszy, syna bogatego posiadacza ziemskiego, opadł płaszcz Eliahu HaNawi, unoszącego się na płonącym rydwanie do nieba. Elisza zerwał z ro-

dziną i powędrował po ziemiach królestwa Izraela ze swoim nauczycielem. Przekroczył Jordan i już sam powrócił na górę Karmel. Stamtąd kierował wieloma sprawami. Obronił państwo przed Moabitami i pokonał kilkudziesięciu chłopaków, którzy naśmiewali się z jego wyglądu. Straszna jest ta historia: dwie niedźwiedzice wyszły z lasu i rozerwały na strzępy niegrzecznych młodziaków. Z trądu wyleczył dowódcę wojsk syryjskich. Uzdrowił wody Jerycha. Ocalił izraelskiego króla Jeorama przed niebezpieczeństwami, a po śmierci władcy namaścił jego następcę. Czynił wiele dla swego ludu. Jego rady były w cenie. Mieszkał pod koniec życia w Samarii (tam była też stolica królestwa) i tam przychodzili do niego różni ludzie ze swoimi prośbami. Obdzielał ich swoją łaską i słynął z życzliwości pośród wszystkich plemion Izraela. Karmił głodniających, pomagał zmartwychwstać dzieciom, dzięki jego wstawiennictwu bezpłodne kobiety rodziły dzieci. Po śmierci nadal czynił cuda. Każdy, kto zbliżył się do jego grobu, mógł zostać uleczony czy wzbogacony. Wielki to był prorok, który odziedziczył po Eliaszu podwójną moc i podwójne możliwości.

Powiadają, że dużo rozmawiał z Eliaszem o tajemnicach stworzenia świata oraz o niebiańskim rydwanie. Od tego pochodzi talmudyczne powiedzenie warte zawsze przywołania: dwóch badaczy czy studentów, którzy razem wędrują, a nie rozmawiają o Torze, powinno zostać spalonych. Zapewne prorok żył pod koniec IX wieku przed wspólną erą. Nie sposób jednoznacznie rozstrzygnąć kiedy. Jedno zdaje się być pewne: że wszystkie cuda, których dokonał za życia, były niemal powtórzeniem cudów mistrza. Żył w jego cieniu i wspierał się o jego siłę. Walczył z obcymi kultami, ale i tak państwa Izrael nie zdołał ocalić. Widział zapewne, jak syryjscy władcy zagarniali kawałek po kawałku ziemi królestwa Izraela. Musiał mieć świadomość narastającej groźby ze strony Babilończyków. To oni w VIII w. p.n.e. wtargnęli na ziemię północnego Izraela i wzięli w niewolę dziesięć plemion. Państwo upadło. Centrum dziejów przeniosło się na południe i królestwo Judy przejęło dziedzictwo Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Takich proroków potrzebujemy w chwilach słabości, w chorobie, w cierpieniu. Można na swoje choroby brać najnowsze lekarstwa, pić zioła z gór Ałtaj czy z łąk nadodrzańskich, medytować, spać na specjalnych matach i ekranach wyposażonych w wielobarwne agaty i złote nici. Ale nic nie pomaga, jeśli nie zjawi się ktoś taki jak Elisza. Bez jego wstawiennictwa nic dobrego zdarzyć się nie może. Tak uczą Księgi Królewskie i liczne legendy wielkich religii. Może czasem należy zawierzyć prorokom, choćby nie wiem jak fantastycznie i bajkowo brzmiały same opowieści. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Bezsilność cudotwórcy*



ZDARZA MI SIĘ WYSŁUCHIWAĆ TZW. ŚWIADECTW i często odnoszę wrażenie, że słucham wyuczonych na pamięć formułek: „Ciężko grzeszyłem, ale wezwałem Pana i odpuścił mi grzechy, i od tamtej pory wszystko w moim życiu zmieniło się na lepsze”. „Kiedy przyjąłem Jezusa za swego Pana i Zbawiciela, On mnie uzdrowił z choroby, z którą żaden lekarz nie mógł sobie poradzić”.

Tak bywało i bywa, i na takie postawienie sprawy można by przystać, gdyby nie pewien zgrzyt. Wiem, że w naszych bliźnich najbardziej nie lubimy tego, czego nie lubimy w sobie, i co przed sobą ukrywamy. Tymczasem dobrze jest tę smolistą smugę dostrzegać w sobie i u innych. Ta świadomość zła w nas, winy i grzechu, jest podstawą naszego człowieczeństwa – jak mówił Leszek Kołakowski. Uganiamy się więc za pozorowaną doskonałością nawróconych, uzdrowionych, oczyszczonych, gdyż miło jest stać wyżej od tych, którzy według naszego mniemania wciąż są „daleko od Pana”.

Ale nie nam sądzić innych, skoro sam Paweł Apostoł nie potrafi osądzić siebie. On, który „został porwany aż do trzeciego nieba”, mówi: „Dlatego, abym nie unosił się pychą, w moim ciele doświadczam słabości. Została mi ona dana jako wysłannik szatana, który mnie policzkuje, abym nie unosił się pychą”. Z tego wynika, że również wysłannicy szatana służą Bogu i ludziom, i to dla naszego dobra. Jeśli bowiem szatan o czymś marzy, to na pewno o wmówieniu nam, że możliwa jest, jak mówi wspomniany już filozof, „dyktatura miłości”. Miłości wymuszonej zwyczajem, prawem, przemocą, podstępem. I nie chodzi tylko o politykę – o takiej dyktaturze, o takim kochającym imperatorze, marzą nie tylko politycy, ale również ludzie religijni i ateści. Katolicy też, skoro papież Franciszek przestrzega przed klerikalizmem i przed pokładaniem nadziei w państwie wyznaniowym.

Na pokusę ulegania tej dyktaturze miłości narażeni są również małżonkowie i rodzice. Zastanawiamy się czasami, jak to się dzieje, że w porządnej katolickiej rodzinie jeden syn jest księdzem, a drugi złodziejem. Jedno dziecko jest do przesady pobożne, a drugie trzyma się od religii jak najdalej. Nie, nie chcę za wszystko obwiniać rodziców, jak też katechetów i duszpasterzy, ale kiedy my sami zaczynamy obwiniać cały świat za sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, warto jednak popatrzeć w lustro.

Ewangelista Marek mówi, że Jezus „nie mógł [w Nazarecie] dokonać żadnego cudu, tylko kilku chorych uzdrowił, kładąc na nich ręce”. Stało się tak z prostego powodu: Jezus nie zdobywa zaufania podstępem, strachem, nie przymila się i nie zniewala cudami, ale czeka, aż Mu uwierzymy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Skarb na ziemi czy skarb w niebie

Dusza, która wyzwała się z siebie, znajduje powód do radości we wszystkim, co widzi, lub czego doznaje w sobie i w innych.

KATARZYNA ZE SIENY



*Porzuć podział: „tym jestem, a tym – nie”.
Rozpoznaj wszystko jako Siebie.
Od pragnień wolny – bądź szczęśliwy.*

ASZTAWAKRAGITA



EWANGELIA Z PIĄTKU ostatniego tygodnia: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą, i gdzie złodzieje włamują się i kradną; gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną” (Mt 6, 19n). Nietrudno powiedzieć.

Każdy z nas ma w życiu doświadczenie „zbierania do dziurawego mieszka”. Widzieliśmy już nieraz zniszczenie tego, co z trudem udało się nam wypracować. Każdy z nas na pewno wyrzucał do kosza rzeczy, bez których wcześniej nie wyobrażał sobie życia: od przetartych i rozsypujących się ze starości, ulubionych koszul, przez noszone latami buty na dziurawych podszewkach, po zalane przypadkowo na biwaku książki i przestarzałe komputery. Zdarzyło się wielu z nas płakać po zgubieniu (czasem kradzieży) medalika otrzymanego od dziadków czy innego znaczącego drobiazgu od najbliższych osób. Niektórych z nas życie doświadczyło znacznie mocniej – gdy każało im np. stanąć nad ruinami własnego domu. Tak, aż zanadto znamy przemijalność wszystkiego tego, co możemy „tutaj” zgromadzić...

Ale „gromadźcie sobie skarby w niebie”? Kto z nas wie, o co chodzi? Kto z nas ma doświadczenie „nieba”? Jak możemy gromadzić to, czego sobie nawet nie potrafimy wyobrazić? Czy gromadzić rzeczy, które trwają „wiecznie”, może ktoś, kto nie ma doświadczenia wieczności?

Zwykle mówimy: „Nic nie jest wieczne”, „Nic nie trwa wiecznie”. A może jednak?

Podpowiedź przychodzi w epizodzie spotkania Jezusa z bogatym młodzieńcem. Pan mówi do niego: „Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie” (Mt 19, 21). Jaki skarb? Odpowiedź brzmi: „przyjdź i chodź za Mną”.

Oto propozycja przełomowa. Jest „coś”, co trwa wiecznie, co się nigdy już nie skończy, i co tak naprawdę definiuje „niebo”: komunii z Jezusem, jedyna relacja, której zawsze możemy być pewni (i wewnątrz której możemy być pewni trwałości wszystkich pozostałych. Nasz kłopot, że nie wszystkie chcemy przeżywać wewnątrz tej pierwszej – wyjątkowej i fundamentalnej). Niebo jest „byciem z Nim” twarzą w Twarz, już bez zasłony z najświętszych nawet Znaków. Rozmową z Nim już niezapośredniczoną – słuchaniem intymnym, „na ucho”, i w pełnej harmonii serc. Jest skarbem, którego nikt nie może nam ukraść. I który się nie przedawnia. Przeciwnie, jest jak źródło: ciągle się odnawia. Warto go też „gromadzić” – mieć nie tylko osobistą historię zbawienia, ale także pamięć zbawienia – zachować w sercu (jak Maryja) każde usłyszane od Boga Słowo; każdą sekundę spędzoną w Jego towarzystwie; każde doświadczenie miłości.

Takie widzenie spraw (trwałych i nietrwałych) – mówi dalej Jezus – to prawdziwe „światło” na drogę życia. Kto tak patrzy, widzi poprawnie, czyli widzi rzeczy, swoje decyzje i ambicje, swoje trudy i owoce we właściwym świetle.

Ten, kto odkrył tę miłość – mówi św. Paweł – ma „światło oczu serca” (Ef 1, 18).

Pytasz o rzeczy wieczne? Zapytaj serca. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 VII)

13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15. 2, 23-24; Ps 30; 2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43;

Poniedziałek: Am 2, 6-10. 13-16; Ps 50; Mt 8, 18-22;

Wtorek: Ef 2, 19-22; Ps 117; J 20, 24-29;

Środa: Am 5, 14-15. 21-24; Ps 50; Mt 8, 28-34;

Czwartek: Am 7, 10-17; Ps 19; Mt 9, 1-8;

Piątek: Iz 58, 6. 10; Ps 98; J 4, 34-38;

Sobota: Am 9, 11-15; Ps 85; Mt 9, 14-17;

14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5;

Ps 123; 2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6.

Wybrał PIOTR SIKORA

MARZENIA O TRZECIEJ SILE

Bez zaplecza w Sejmie, dużych pieniędzy i wyrazistego lidera, za to z rosnącymi sondażami. Sojusz Lewicy Demokratycznej coraz śmieiej rozpycha się na scenie. To chwilowy błysk czy nowe życie?

RAFAŁ ZYCHAL



LISTOPAD 1904 R., PLAC GRZYBOWSKI w centrum Warszawy. Bojówki PPS organizują demonstrację, która kończy się krwawym starciem z carską policją. To było pierwsze takie wystąpienie od czasów powstania styczniowego. Niedawno, w tym samym miejscu, choć w mniej liczonym gronie, sygnał do ofensywy dał Włodzimierz Czarzasty. Tym razem w obronie demokracji i dorobku III RP.

Do wyborów prezydenckich w Warszawie właśnie rusza Andrzej Celiński. Fotela nie zdobędzie, ale namieszać może, zwłaszcza w planach PO. Im lepszy zrobi wynik, na tym więcej może liczyć SLD po pierwszej turze. Zostanie wiceprezydentem? Niewykluczone, choć Trzaskowski najpierw musi wygrać. Idzie mu jak po grudzie, więc głosy lewicy mogą być bezcenne. Ale ważniejsze będzie coś innego – by liczyć się w dalszej grze, Sojusz musi

się przebić. Wyrazisty kandydat ma w tym pomóc.

Plan jest ambitny – SLD na czele koalicji 19 ugrupowań chce pchnąć lewicę na nowe tory. Jest Kalisz, Kwiatkowski, ale i Unia Pracy czy zapomniana dziś PPS. Wkrótce dojdą kolejni. „Polska nie jest skazana ani na PiS, ani na PO, ani na chocholi taniec, który od 12 lat odbywa się między tymi partiami” – zapowiada Czarzasty. Czy ten ruch będzie dla nich groźny? A może to jedynie ryk papierowego tygrysa?

Nadzieję z pewnością obudziły sondaże. Od miesiąca SLD regularnie przekracza próg wyborczy i spycha z podium Kukiz'15. W tych najkorzystniejszych może liczyć nawet na kilkunastoprocentowe poparcie. – To nie jest chwilowy wzrost, ale i też nie ma co go przeceniać – mówi Anna Materska-Sosnowska, politolog z UW. Jej zdaniem to sygnał, że zapotrzebowanie na

lewicę wciąż jest i ona wraca do swojego pułapu sprzed kilku lat. Ale czy na taką lewicę jak SLD? To już inne pytanie.

Atutem może być i to, że choć w polityce to marka znana od lat, to dziś działa poza głównym nurtem. Taki drobny efekt świeżości. Niewątpliwie pomogło i PiS, choćby ustawą dezubekizacyjną, dekomunizacją nazw ulic czy powrotem do dyskusji o aborcji. Twarde „nie” przebiło się do opinii publicznej. Sejmowa opozycja tak wyrazista nie była. Ten głos sprawił, że część



ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Spółeczny Komitet Lewicy Obchodów 100-lecia Niepodległości, w pierwszym szeregu: Włodzimierz Czarzasty, Aleksander Kwaśniewski, Danuta Waniek i Leszek Miller, Warszawa, maj 2018 r.

wyborców przypomniła sobie, że ta partia nadal istnieje. Tylko na ile starczy tego paliwa?

Baza

Politycy SLD ruszyli w teren. Od września 2016 r. odwiedzili blisko 180 powiatów, przejechali niemal 200 tysięcy kilometrów – wylicza sekretarz generalny Marcin Kulasek. Jak mówi, na spotkaniach pojawiają się nie tylko członkowie

partii, ale i coraz więcej nowych twarzy. – To osoby, które mają serce po lewej stronie – dodaje. Nieco schowane, ale wciąż w miarę sprawne struktury to potężny kapitał przed zbliżającymi się wyborami.

– Wyniki sondaży odbieramy z ostrożnym optymizmem. Nie ma wielkiej euforii – przekonuje Andrzej Rozenek. Były poseł sam niedawno odbył ponad 60 spotkań. Przekonuje, że właśnie tam najlepiej widać, że wzrost poparcia nie wziął się zni-

kąd. – Widzę sporo młodych ludzi, struktury są okrzepłe i wiedzą, co mają robić. To nie są żółtodzioby – dodaje.

Na jaki wynik liczą w wyborach? Lider SLD przekonuje, że obecne poparcie nie jest kresem możliwości, a dalszy wzrost przed nimi. W partii raczej słyszą, że utrzymanie dwucyfrowego poparcia będzie sukcesem. – Jesteśmy trzecią siłą, mimo że nie ma nas w Sejmie. Ta tendencja utrzymuje się od miesięcy. To oznacza, ➔

→ że Polacy nie są już skazani tylko na wybór między PiS a PO. Powoli i my liczymy się w tej grze, a głos oddany na nas nie będzie stracony – zapewnia Kulasek.

Socjolog z UW Maciej Gdula wskazuje na dwa źródła rosnącego poparcia. Po pierwsze, SLD rzeczywiście zmobilizował część swojego dawnego elektoratu, mocno krytykując część rozwiązań forsowanych przez PiS. Ale jego zdaniem partia Czarzastego korzysta i na tym, że rywale nie spełniają oczekiwań wyborców.

– Nie chodzi tylko o PO, Nowoczesną czy Kukiz'15, ale także o Partię Razem. Ludzie mogą się kierować swoistą nostalgią czy marką SLD. Może i on jest nieco obciążony, ale przewidywalny, prezentuje pewien poziom. I to odróżnia go od tych, którzy weszli do Sejmu obiecując nową jakość, a dziś dostarczają wyborcom kolejnych rozczarowań – tłumaczy dalej.

Zastrzega jednak, że sondaże pokazują jedynie stan bieżący. I podkreśla, że o ostatecznych rozstrzygnięciach decydują zwykle kampanie wyborcze. Te są dość krótkie, intensywne i wymagają precyzyjnej strategii oraz wyrazistych osobowości, a nawet więcej – liderów. A tego właśnie, zdaniem Gduła, SLD najbardziej dziś brakuje. – Sojusz nie ma przekonującego lidera, który jest typem polityka kampanijnego, ale brakuje mu też nowego przekazu czy wizji. Być może będzie ją miał na wybory, jednak na dziś jej nie dostrzegam – dodaje.

Podobne zdanie ma Anna Materska-Sosnowska. – Czy Włodzimierz Czarzasty to optymalny lider dla SLD? Nie powiedziała bym. Ale, z drugiej strony, kto inny miałby nim być? Szczepnie mówiąc, nie bardzo widzę dziś kogoś, kto mógłby go w tej roli zastąpić.

Nadbudowa

Czym Sojusz chce przekonać wyborców? Rzuca rękawicę PiS na polu socjalnym. Ograniczenie przywilejów dla najbogatszych czy zmiany w polityce prorodzinnej – choćby w programie 500 plus. Wreszcie – własna koncepcja, czyli 3 x 2100 zł: renta, emerytura i najniższa pensja na jednym poziomie. Drugim filarem będą kwestie światopoglądowe. Tu powalczy nie tylko z PiS, ale i sejmową opozycją. Już co najmniej raz potrafił przekuć na swoją korzyść zamieszanie w jej szeregach. Wreszcie, walka o prawa człowieka, poszanowanie konstytucji i obrona dorobku III RP.

Choć SLD nie wszedł do Sejmu, to wciąż ma kilka tysięcy radnych, a w liczbie prezydentów i wiceprezydentów miast przegrywa tylko z PO.
Jest więc czego bronić.

Pod swoje skrzydła chce też znów przegarnąć tych, którzy z nostalgią wspominają czasy PRL. Ale czy politycy tej partii nie obawiają się, że zbyt mocny skręt w tę stronę sprawi, że staną się łatwym celem ataku dla rywali? I to nie tylko ze strony PiS czy PO, ale i lewicowych konkurentów, choćby z Partii Razem?

– Mamy w swoich szeregach ludzi z przeszłością w PZPR, ale i część wyborców ma takie korzenie – ripostuje Andrzej Rozenek. – Bo to nie jest tak, że PRL był całkowicie zły. Nie idealizuję go, ale to nie był okres czarno-biały. Prawica mówi tylko o złych stronach, a my staramy się mówić bardziej obiektywnie: owszem, były rzeczy złe, ale też i dobre. Są wyborcy, którym zależy na tym, by tego dobrego dorobku bronić. I my staramy się to robić – dodaje polityk SLD. W budowaniu zaufania u tych wyborców pomóc ma także Monika Jaruzelska, która coraz śmielej wchodzi do polityki.

Ale wypowiedzi polityków SLD pokazują, że partia jest dziś dużo ostrożniejsza w tych kwestiach niż przed laty. Czarzasty jest świadomy zagrożenia płynącego z obu stron barykady. Dba więc o to, by nie wpaść w koleiny obrońców byłych funkcjonariuszy czy piewców czasów PRL. Doskonale wie, że w ten sposób nie zbuduje siły, która może liczyć na szerokie poparcie. Upłynęło zbyt wiele czasu od upadku PRL, by na samej nostalgii budować swoją tożsamość. Zdaje sobie też sprawę, że sukcesu nie będzie, jeśli nie odbierze części elektoratu PiS. Dlatego dziś mówi: dam wam to, co daje PiS, i oddam to, co PiS zabrało.

Nie ma wroga na lewicy

Jeśli Sojusz chce na poważnie myśleć o przełamaniu kolejnej bariery, musi uporać się z największym wyzwaniem – uło-

żyć sobie relacje z innymi graczami po tej stronie sceny. A chętnych do liderowania połączonej lewicy nie brakuje. – Lewica powinna łączyć siły – przekonuje Materska-Sosnowska. Jak dodaje, jeśli każda z inicjatyw wystartuje samodzielnie, to konsekwencje będą oczywiste. – Na koniec znów się może okazać, że do sukcesu zabrakło garstki głosów – przypomina.

Bo lewica, zachęcona sondażami, musi pamiętać o wydarzeniach z 2015 r. i jej dotkliwej porażce. Kompromitacją zakończyła się próba walki o prezydenturę przez Magdalenę Ogórek. Ale dużo większym ciosem był wynik wyborów do Sejmu. Choć lewicowa koalicja dostała 7,55 proc. głosów, to na Wiejską nie dostał się nikt. A wszystko przez fakt, że próg wyborczy to 8 proc. Gdyby wystartowali jako partia, mieliby co najmniej kilkanaście mandatów. Wzajemne tarcia, także o podział środków z budżetu, sprawiły, że tak się nie stało. Największym wygranym okazało się PiS, które dzięki tej klęsce zyskało pełnię władzy.

Dziś politycy SLD zapewniają, że odrobili lekcję. Przekonują, że chcą łączyć siły inaczej, bez rozwiązań siłowych, narzucania swojej woli. Wybierają negocjacje. A przynajmniej takie są deklaracje. – Nie zawiązaliśmy koalicji z przypadkowymi partiami i stowarzyszeniami. Współpracujemy od lat. Dlatego uważam, że powtórki z roku 2015 nie będzie – przekonuje sekretarz generalny SLD. – Tamten sojusz powstał tuż przed wyborami, mieliśmy zbyt mało czasu, by dograć niezbędne szczegóły. Inna jest też dziś atmosfera, nie walczymy ze sobą – zapewnia Kulasek.

Sojusz ustami swoich liderów wręcz demonstracyjnie deklaruje gotowość do połączenia sił, zwłaszcza z Partią Razem, Barbarą Nowacką czy Robertem Biedroniem. W jednym z wywiadów jego lider zapowiedział, że jest gotów oddać im nawet połowę „jedynek” na listach podczas wyborów samorządowych. Tylko czy pozostałe środowiska mają aż tylu chętnych, by z tej oferty skorzystać? Z tym może być problem.

Marcin Kulasek podkreśla, że na wsparcie Sojuszu w Słupsku może liczyć Robert Biedroń. – Jeśli chodzi o Barbarę Nowacką, to cały czas wyciągamy rękę. Na razie nie została przyjęta. Mimo to z uporem maniaka powtarzamy: nie ma wroga na lewicy. Mam nadzieję, że przyjdzie czas i wspólnie siądziemy do

rozmów – dodaje. – Zależy nam, żeby lewica mówiła jednym głosem. To zwiększa szanse na jej obecność w parlamencie, bo dziś jej tam nie ma. Zrobimy wszystko, żeby wróciła w jak największej sile – zapowiada.

Wybory coraz bliżej

Pierwszym prawdziwym testem poparcia dla SLD będą jesienne wybory samorządowe. To dlatego od wielu miesięcy politycy tej partii objeżdżają kraj. Mobilizacja struktur, także tych najmniejszych, będzie kluczowa. I przypominają, że choć nie ma ich w Sejmie, to wciąż mają kilka tysięcy radnych, a w liczbie prezydentów i wiceprezydentów miast są tuż za PO. Jest więc czego bronić.

Ale walka o samorządy i europarlament będzie dla nich najwygodniejsza. Nie wymaga olbrzymich wydatków, ale raczej zaangażowania, bezpośredniej walki o głosy i mobilizacji żelaznego elektoratu. W partii liczą też na to, że jesienne wybory, pierwsze od 2015 r., na nowo ustawią scenę polityczną.

– Wybory samorządowe zweryfikują te partie, które dużo krzyczą, a w praktyce niewiele znaczą. Może się okazać, że listy do sejmików będzie w stanie wystawić tylko pięć partii. I to będą realni gracze na przyszłość. Dlatego musimy próbować dogadać się z innymi, zwłaszcza z Partią Razem – przekonuje jeden z polityków SLD.

Podpisana niedawno koalicja zapewne utrzyma się też na wybory do PE. Choć akurat w tym przypadku Sojusz ma w zanadrzu inny pomysł. Chce, by liderami list zostali byli premierzy – Miller, Belka, Cimoszewicz.

Sami zainteresowani na razie unikają jednoznacznych deklaracji. Tylko czy powrót do starych twarzy nie przypomni wyborcom o grzechach z przeszłości?

– W SLD powinno być miejsce i dla młodych, i dla doświadczonych. Ci ostatni, którzy na polityce zjedli żęby, powinni iść właśnie do Brukseli. Moim zdaniem tego oczekują wyborcy. To powinno być ukończenie drogi politycznej, a nie jej początek. Ten jest raczej w samorządzie czy w ruchach społecznych – przekonuje Andrzej Rozenek.

Sondażowe wzrosty
są na razie wirtualne,
a dystans do najsilniejszych
rywali – ogromny.
Losy wielu polityków
pokazują, że każdą
przewagę da się roztrwonić.

Najcięższa walka czeka SLD za rok, gdy powalczą o powrót do Sejmu. W partii panuje przekonanie, że z każdymi kolejnymi wyborami rywale na lewicy będą dojrzewać do decyzji o wspólnym starcie. Zachęca do tego sam lider, kreśląc wizję ponad 20-procentowego poparcia dla takiego bloku. To oznaczałoby już realną walkę z PO. Tylko czy ta wizja przekona innych do rezygnacji ze swoich ambicji? Na razie jest za wcześnie, by o tym mówić. Lepiej zaczekać na pierwszą prawdziwą weryfikację poparcia, czyli wybory.

Pułapka trzeciej siły

Pytanie, czy ci wszyscy, którzy dziś biją się o rząd dusz, w ogóle dotrzymają do najważniejszych wyborów? Maciej Gdula przekonuje, że to wcale nie musi być takie oczywiste. – Trzeba brać pod uwagę, że pojawiają się nowi gracze. Nie jestem przekonany, że Polacy rzeczywiście nie czekają na żadną nową inicjatywę – mówi. – Nie sądzę też, że pojawi się realne oczekiwanie, by po latach rządów PiS nastąpiła restauracja. Tak naprawdę wciąż nie wiemy, kto będzie alternatywą dla Kaczyńskiego – przekonuje.

A może czeka nas inny scenariusz – słabnący PiS będzie szukał koalicjanta? SLD korzysta dziś z ręki wyciągniętej przez obóz władzy, choćby coraz częściej goszcząc w TVP. Nie jest też tak mocno krytykowany jak inne partie opozycyjne. W co gra PiS? W przyszły sojusz? Raczej w osłabienie PO i rozbięcie opozycji. Im bardziej podzielona, tym mniej groźna. Eksperci są zgodni – SLD korzysta na taktyce

PiS, bo chce być obecny. To jest racjonalne działanie – nie ma ich w Sejmie, muszą być gdzie indziej, przynajmniej w telewizji czy na protestach.

– Kaczyński musiałby być pod ścianą, żeby się zdecydować na taki ruch. I o ile on byłby w stanie wytłumaczyć go swoim wyborcom, to trudno byłoby zrobić to Czarzastemu. Dla części wyborców to byłaby jednak zdrada – ocenia Maciej Gdula. Choć, jak pamiętamy, Kaczyński długo się zarzekał, że z Samoobroną to nigdy. Do czasu.

Jeśli SLD chce o władzy myśleć, to droga raczej nie wiedzie przez Nowogrodzką. Hasło na dziś? Idziemy swoją drogą. Konsekwencją jest więc odrzucenie zaproszenia do wspólnej koalicji z PO. W takim układzie trudno byłoby Sojuszowi rozdawać karty. Zawsze zostaje jeszcze jedna opcja – próba powrotu do partnera sprzed lat, czyli PSL. Ale i tu o trwałe i satysfakcjonujące porozumienie łatwo nie będzie.

Sojusz na razie utrzymał i umocnił swój przyszłość. Sam Czarzasty poukładał sobie partię, zadbał, by zbyt szybko nie wyrósł mu rywal do objęcia tronu. Wpuścił trochę nowej krwi, zasypał niektóre rowy. Znalazło się miejsce dla Krzysztofa Gawkowskiego, który jeszcze kilka lat temu był o krok od odejścia, ale i dla Andrzeja Rozenka, który widział dawnych liderów SLD przed Trybunałem Stanu za sprawę więzień CIA. Spłacił też część długów, ale partyjna kasa wciąż nie pozwala na wiele. Trzeba oszczędzać, do kluczowego starcia daleko.

Sondażowe wzrosty są na razie wirtualne, a losy wielu polityków pokazują, że każdą przewagę da się roztrwonić. Te same sondaże, które są tak korzystne dla SLD, pokazują, że dystans do najsilniejszych rywali jest ogromny. To nie czas na otwarte starcie, lecz na zabezpieczenie tyłów. Przez ostatnie lata było już kilka partii, które zbyt szybko uwierzyły, że są tą mityczną trzecią siłą, która może przeciwstawić się tandemowi PiS-PO. A gdy wyborcy powiedzieli „sprawdzam”, trzeba było szybko przyzwyczaić się do tego, że poza polityką też jest życie.

© RAFAŁ ZYCHAL

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



Blokada wycinki, Puszcza Białowieska, wrzesień 2017 r.

Ma być ból

MICHAŁ KSIĄŻEK

Rok po walce z wycinką Puszczy Białowieskiej można podliczyć nie tylko szkody przyrodnicze, ale też szkody dla kapitału społecznego.

WSPOŁECZNOŚCIACH WIEJSKICH LEŚNIK wciąż cieszy się dużym autorytetem. Można nawet mówić o ważnej roli społecznej, czyli o zespole praw i obowiązków, które wynikają z zajmowanej pozycji. Dlatego niezgodna z prawem działalność leśników w Puszczy Białowieskiej jest niezwykle szkodliwa dla społeczeństwa. Uderza bowiem nie tylko w kulturę prawną, dobre obyczaje, ale też w relacje międzyludzkie.

Jeśli leśnik powie, że obrońca puszczy to „brudas” bądź „terrorysta”, to w mniema-

niu tych, dla których jest autorytetem, tak właśnie będzie. Łatwiej wtedy brudasą obrazić i uderzyć. O niebezpieczeństwie lekceważenia współzycia społecznego przez pracowników Lasów Państwowych wspominał sąd w Białymstoku, kiedy w lutym uniewinnił ośmiu obwinionych o blokowanie harwesterów.

W nagrodę za błędy

Rok temu o tej porze trwała nielegalna, jak orzekł Trybunał Sprawiedliwości UE, wycinka Puszczy Białowieskiej. Wyrąb

umożliwiła specjalna decyzja dyrektora generalnego Lasów Państwowych Konrada Tomaszewskiego, który zapomniał, że Polska jest w Unii. Kiedy 27 lipca Trybunał Sprawiedliwości UE wydał postanowienie zakazujące cięć w siedliskach rzadkich chrząszczy i ptaków, sprytni drwale ogłosili wycinkę w trosce o bezpieczeństwo rowerzystów i golili przy byle ścieżynce, nawet po 100 metrów w głąb lasu.

Leśnicy wielokrotnie lekceważyli zalecenia KE i nic im się nie stało. Owszem, minister Jan Szyszko musiał odejść, ale bogatszy o 70 tys. zł nagrody. Tomaszewski o 100 tys. Żadnych konsekwencji nie ponieśli też nadleśniczowie: Bielecki, Skirko i Miszczak. A „wiceminister od puszczy” z resortu Szyszki, Andrzej Konieczny, został... dyrektorem Lasów Państwowych.

Nigdy jeszcze Lasy Państwowe nie stały w tak ostrym konflikcie ze społeczeństwem. Zlekceważyły fakt, że blisko 70 proc. Polaków było przeciw wyrębom w obiekcie UNESCO. Przeciw był Komitet

Ochrony Przyrody PAN, Rada Naukowa BPN i Instytut Badania Ssaków w Białowieży. Apele i listy wystosowały wydziały biologiczne kilku uniwersytetów. Osobną prośbę wystosowali ludzie kultury, petycję z 200 tys. podpisów przedstawiła Koalicja Kocham Puszcę – wszystko na nic.

Jak zważyć szkodę społeczną takiej odmowy? Odrzucenia głosów profesorów? Młodych badaczy u progu karier, o których wiem, że Puszcza to powód naukowej pasji? Jak zmierzyć tę dysproporcję pomiędzy interesami społecznym a leśnikami? Być może zarobkami: nadleśniczo wie w Polsce zarabiają nawet ponad dwa razy więcej niż dyrektor Białowieckiego Parku Narodowego.

Śmieci w lesie

Coś w relacjach Polaków z leśnikami pękło, kiedy na konferencji w Toruniu (w maju 2017 r.) ówczesny dyrektor Tomaszewski nazwał ideę obrony Puszczy „zielonym nazizmem”. obrońców przedstawiono tam jako część ruchu przejmującego władzę nad światem. Później, na odsłonięciu pomnika Danuty Siedzikówny „Inki” w Nadleśnictwie Browsk, Tomaszewski zestawiał przyrodników z szatanem. Mówił też o mózgach wymytych z wartości i współżyciu z kozami.

Z takim obrazem ekologa-przyrodnika w lipcu do puszczy zjeżdżało nawet 80 strażników leśnych z całej Polski. Już wówczas część strażników mówiła językiem Tomaszewskiego; kryptonim operacyjny jednego z oddziałów alarnujący o obecności ekologów brzmiał: „Śmieci w lesie!”.

Po przyjeździe kontyngentu atmosfera na protestach tężeje. Manifestanci bywają skuwani kajdankami, rzucani na ziemię, nawet jeśli znajdują się daleko od maszyn. Pozwala sobie na to nie tylko straż leśna. Leśnicy z Nadleśnictwa Browsk powala dwie dziewczyny, choć były posłuszne wezwaniu straży. Inny pracownik z Browska rzuca kaskiem w demonstranta. Na parkingu przed budynkiem niesławnego nadleśnictwa, mimo dobrych warunków, leśnik potraça jednego z aktywistów. Żeby trafić w człowieka, musi przejechać aż 6 metrów. Sprawcę policja karze mandatem 300 zł. Jedna z obdukcji po proteście z 29 sierpnia wykaże 34 siniaki na ciele badanego (największy krwiał na 14 cm). „Boli go!” – krzyczy 13 września M. na widok wielkiego leśnika siedzącego na wą-

tlym chłopaku z twarzą w błocie. „Ma być ból” – mówi do kamery strażnik leśny z Kamiennej Góry.

Mógłbym, ale nie

Słowa pierwszego leśnika RP o obrońcach Puszczy powtarza telewizja. Biorą z niego przykład nie tylko podwładni, ale i zwolennicy wycinki z regionu, agresywni i wulgarni.

Już w czerwcu z samochodów przystających przed Obozem dla Puszczy w Pogorzalcach (centrum oporu) słychać: „śmierdźcie”, „na was trzeba Putina”, „wynocha”. 12 lipca młody osiłek grozi mi pobiciem, kiedy stoję przy taśmie odgradzającej protest w oddziale 92. 18 lipca trzech osiłków grozi przy taśmie odgradzającej protest na Jagiellońskim, jeden z nich uderza kogoś z kamerką, inny używa gazu wobec Tomka S. Tomek wzywa policję z Hajnówki, ale policja nie przyjeżdża. 24 lipca, kolejny protest w oddziale 92., przy drodze do Narewki. Z okien przystających samochodów słyszę ciężkie wyzwiska, rzadziej słowa otuchy. W końcu pilarze biją operatora Polsatu. W internecie rośnie fala hejtu. Strażnicy nazywają obrońców „zjebami”, podkreślają, że ekolodzy śmierdzą, o dzielnej G., która brała udział w wielu blokadach, piszą: „znów ta locha”. Pod jednym z agresywnych obecny inżynier nadzoru w Nadleśnictwie Białowieża pisze nawet: „Dziękujemy”.

Po pobiciu operatora dziennikarz TVN pyta nadleśniczego z Hajnówki, czy nie mógłby, jako lokalny autorytet, zaapelować o spokój. „Mógłbym, ale tego nie robię” – mówi do kamery funkcjonariusz publiczny. Odmawia, kiedy na wrześnieowym spotkaniu proszę go o uspokojenie szczególnie straży leśnej. Twierdzi, że nie ma na nią żadnego wpływu.

Nowe kategorie przestępców

Profesor Piotr Sztompka w książce „Kapitał społeczny” dowodzi, że wzrost gospodarczy (także regionu), jak i powodzenie polityki (również lokalnej) zależą w znacznym stopniu od stanu relacji między ludźmi. Nie chodzi tu o relacje zawodowe, ale relacje etyczne, czy lepiej może: moralne. Wzrost gospodarczy, którego tak bardzo wygląda region Puszczy, zależy także od wzajemnego zaufania, solidarności, szacunku. Relacje te składają się na kapitał moralny, którego tam brakuje bardziej niż kolejnego zakładu pracy.

Kapitał ten niszczy niezgodna z prawem, bardziej bądź mniej świadoma, działalność Lasów Państwowych. Ich społeczna polityka i intelektualne nadużycia mają mieszkańców Puszczy obietnicą dostatniego życia. Wystarczy spojrzeć od Bieszczadów po Krynki – czy któryś z tych regionów wybija się gospodarczo dzięki obecności tam gospodarstw leśnych? Nie.

Tymczasem decyzje leśników doprowadziły do kryminalizacji ruchu społecznego, jaki zrodził się przeciw wycinie. W ostatnich miesiącach skierowali do sądów około 350 wniosków o ukaranie, skarżąc blisko 130 ludzi, którzy przez blisko rok starali się zapobiegać łamaniu prawa i dewastacji naszej ostatniej Puszczy. Kim są oskarżeni? Animatorzy kultury, sprzedawca, lekarze, nauczyciele, aktorki, tłumacze, przedszkolanka, złota rączka, rolnik, nawet leśnik i pilarz. Oczywiście również działacze wspomnianej koalicji Kocham Puszcę.

Znakomita większość z nich nigdy nie weszła w konflikt z Temidą. Nigdy nie stałem przed sądem, dziś mam 10 spraw. Ludzie wazyli się łamać kodeks wykroczeń, by zapobiec działaniom niezgodnym z prawem, ale też z najważniejszymi dla nich wartościami, które państwo powinno chronić.

Zwolennicy ochrony i demonstranci to często ludzie przyjezdni (choć i miejscowi, np. z grupy Lokalsi przeciw Wycinie), toteż leśnicy zaczęli grać kartą rdzenności. Słyszmy, że oto wspierają rdzenną ludność lokalną. Przymiotnik „rdzenna” pozwala oddzielić ludzi zasiedziały od niedawno przybyłych. Nadleśniczkowie wykorzystują tu kategorię antropologiczną, jaką jest *nawołocz* – białoruskie słowo określające przybłędę. „Ty nie jesteś z Białowieży, tylko z Zielonej Góry” – mówi w czerwcu 2017 r. wiceminister środowiska Konieczny do białowieżanina, który walczy przeciw wycinie. Leśnicy, którym jako społeczeństwo daliśmy status funkcjonariusza publicznego, dzielą ludzi w Puszczy na różne kategorie i antagonizują je. Co więcej, odbierają głos ludziom z Polski w sprawie Puszczy, łamiąc zasadę wzajemności i solidarności z teorii prof. Sztompki.

Kto płaci?

Stygmatyzowanie przeciwników i faworyzowanie zwolenników to nie jedyne →

⇒ aspekty gospodarki leśnej, która okazuje się gospodarką ludzkimi duszami. Ich działalność ma też wymiar materialny. Wytaczane przez Lasy Państwowe sprawy obciążają Skarb Państwa i niepotrzebnie zajmują miejsce na wokandzie. Wiele posiedzeń musi się powtarzać, z winy leśników i policji. Jedna ze spraw została przerwana, bo oskarżyciel (policjant) chciał być jednocześnie świadkiem. W innej sprawie strażnicy leśni oskarżali kogoś, kto w tym czasie był w innym miejscu. Oskarżali też za wstęp do miejsc, które nie były objęte zakazem albo źle je oznaczono. Straż Leśna pełni rolę oskarżyciela publicznego, mimo to zatrudniła również oskarżyciela posiłkowego, prywatnego prawnika, za którego płaci państwo, czyli my. Kiedy po wyroku unijnego Trybunału sądy zaczęły uniewinniać demonstrantów, Lasy Państwowe jęły bąkać o porozumieniu. Powstrzymali nawet wysyłanie nowych oskarżeń. W sprawie tych starych propozycji, by obwinieni... przyznali się do winy.

Pięć dni przed wyrokiem Trybunału Sprawiedliwości UE, wskutek pozwu złożonego przez jedną z fundacji, Sąd Okręgowy w Warszawie wydał postanowienie wstrzymujące wycinkę w całej Puszczy. Po raz pierwszy społeczeństwo skarży Lasy Państwowe o dewastację przyrody. Kolejna bariera została złamana. To ważny moment – 31 proc. badanych przez CBOS negatywnie ocenia działania Lasów Państwowych. Spadła liczba chętnych na edukację w Technikum Leśnym w Białowieży.

Polacy nagle zainteresowali się, dlaczego w naszych lasach jest tak dużo oprysków chemicznych. Dlaczego leśnicy tną w okresie legowym. Dlaczego zarobki w lasach są tak wysokie, a jednocześnie leśnicy nie płacą podatku dochodowego od sprzedaży drewna. Dla wielu stało się jasne, że Lasy Państwowe potrzebują kontroli społecznej i reformy, do której same nie są zdolne. Znajomych leśników, jak słyszę, to boli. Ale reforma będzie bolesna. Ma być ból.

© MICHAŁ KSIĄŻEK

Samorządy w kleszczach partii

RAFAŁ MATYJA

W wielu miastach walka o prezydenturę wyjdzie poza logikę wojny PO z PiS. Po wyborach centroprawicowa orientacja władz lokalnych i regionalnych nie będzie jednak zagrożona.

JESIENNE WYBORY SAMORZĄDOWE BĘDĄ najsilniej z dotychczasowych poddane presji wywieranej przez politykę ogólnopolską. Konsekwencją będzie nie tylko większe upartyjnienie polityki lokalnej i regionalnej, ale także zahamowanie koniecznych zmian. Zbliża się bowiem faza, w której samorząd powinien uczyć się funkcjonowania bez zewnętrznego dopływu dużych środków na inwestycje; w której zamiast z kolejnymi wielkimi sukcesami trzeba liczyć się z koniecznością stawienia czoła możliwym kłopotom finansowym i konfliktem społecznym.

Pierwsza faza funkcjonowania władzy lokalnej to budowanie nowych instytucji, zakończone kadencją 1998–2002, w której samorząd gminny uzupełniono powiatowym i wojewódzkim, a największym miastom nadano status równy z powiatami. W tej fazie mieliśmy do czynienia z silnym upartyjnieniem samorządu miejskiego, za sprawą mechanizmu wyłaniania prezydenta przez rady i tworzenia – tak jak w Sejmie – większościowych koalicji rządzących. Partie były wówczas zdecentralizowane, a decyzje o zawarciu koalicji lokalnej podejmowano w większości przypadków samodzielnie, a nie na rozkaz centrali.

Druga faza to okres, w którym liczą się umiejętności menadżerskie i zdolność optymalnego (a czasami, niestety, tylko maksymalnego) wykorzystania środków unijnych. Ten etap związany jest z wprowadzeniem w 2002 r. zasady bezpośrednich wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów. Następuje w nim silne zróżnicowanie między niezależnymi od układów partyjnych prezydentami i burmistrzami a upartyjnim samorządem wojewódzkim, w którym dochodzi nie-

kiedy do zmian ekip rządzących wskutek interwencji z Warszawy.

Trzeci etap – jeszcze przed nami – to przejście od rozwoju rozumianego jako maksymalne wykorzystanie środków europejskich do tego, który samorząd jest w stanie finansować się głównie z własnych środków. W niektórych miastach oznaczać to będzie także konieczność radzenia sobie z problemem zadłużenia. Co więcej: w części miast dotkliwy może stać się stopniowy, ale odczuwalny spadek liczby mieszkańców czynnych zawodowo. Dodajmy do tego realne konflikty społeczne, np. wiążące się z walką ze smogiem. Samorząd nie będzie w stanie wystąpić tu w roli dobrego wujka godzącego oczekiwania poprawy jakości powietrza z zapewnieniem „świętego spokoju” tym, którzy używają szkodliwych dla środowiska instalacji opałowych. Podstawowym wyzwaniem będzie nie tyle lepsze lub gorsze zarządzanie „wzrostem”, ale rządzenie w warunkach gry o sumie zerowej.

W tej sytuacji nie wystarczy już sprawność biurokratycznych aparatów, biegłych w sztuce pisania projektów: konieczne będzie szukanie partnerów w koalicjach zdolnych rozwiązywać problemy poprzez mobilizację innych rodzajów kapitału społecznego, a czasami także finansowego. Nie każdy z obecnych polityków lokalnych udźwignie odejście od logiki „my, samorządowcy, zrobiliśmy dla was, mieszkańców, coś dobrego” i konieczność przyjęcia postawy „sami nie damy rady, liczymy na wasze współdziałanie”. Dla wielu zmiana stylu rządzenia, porzucenie wygodnej rutyny, może okazać się zbyt trudna. Wszystko jednak wskazuje, że ten aspekt w nadchodzących wyborach nie będzie miał większego znaczenia.



GRZEGORZ CELJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Prezydent Katowic Marcin Krupa przekazuje swój fotel w ramach akcji dobroczynnej, wrzesień, 2016 r.

Poza układem

Mimo że do wyborów pozostało jeszcze kilka miesięcy, to już wiosną dowiedzieliśmy się, że ich format w wielu polskich miastach będzie odbiegał od tego, w ramach którego toczy się rywalizacja ogólnopolska.

Właściwie tylko w części miast – tak jak w Warszawie – kampanie będą przebiegać pod dyktando konfliktu PO-PiS. Wybory warszawskie mogą zresztą stanowić idealny model sporu między kandydatami potwierdzającymi nie tylko przekonania ich wyborców, ale w sposób przerysowany także stereotypy dotyczące ich partii. W Łodzi czy w Poznaniu te różnice nie będą już tak spektakularne, a kandydaci obozu centrowego wystąpią w roli broniących swego dorobku prezydentów. Równocześnie w Gdańsku, Szczecinie i Wrocławiu konflikt między PO a PiS może okazać się wręcz drugoplanowy. W kampanii będzie chodzić raczej o osobistą wiarygodność kandydatów, o ocenę ich zdolności politycznych.

Niezwykłym przykładem paradoksów powstających na styku polityki lokalnej i ogólnopolskiej będzie Kraków. Tu Prawo i Sprawiedliwość mogłoby – obserwując choćby wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich – mieć spore nadzieje na wygraną samorządową. Obawa przed takim scenariuszem skłoniła przeciwników PiS do podtrzymania po raz kolejny kandydatury Jacka Majchrowskiego, mimo zastrzeżeń dotyczących nie tylko

politycznych korzeni tego polityka, ale także stylu rządzenia miastem przez ostatnie cztery kadencje.

W Katowicach z kolei doszło do bardzo ciekawego sojuszu bezpartyjnego środowiska rządzącego tym miastem od lat z Prawem i Sprawiedliwością, które zdecydowało się na poparcie obecnego prezydenta miasta Marcina Krupy. Ten sojusz ma dla PiS ważny aspekt wizerunkowy. Partia, która nie mogła pochwalić się sukcesem wyborczym w żadnym z dużych miast, zyskuje szansę na przynajmniej jeden sukces na tym poziomie.

Wszystko jednak będzie zależało od tego, jaka będzie ostatecznie lista kandydatów ubiegających się o to stanowisko. W szczególności zaś, czy pojawi się – w Katowicach i każdym innym mieście – kandydat spoza układu PO-PiS. Tam, gdzie tak się stało, osie rywalizacji uległy szybkim korektom.

W wielu średnich miastach takie kandydatury pojawiają się zapewne powszechnie. Tam bowiem łatwiej – jak pokazały cztery lata temu przykłady Roberta Biedronia w Słupsku czy Jacka Wójcickiego w Gorzowie Wielkopolskim – o polityczną niespodziankę i zarazem pewną samorządową innowację.

Lewicowej korekty nie będzie

Co więcej: to właśnie wyniki Biedronia i Wójcickiego, a do pewnego stopnia także Jacka Jaśkowiaka w Poznaniu, zapowiadały zmianę klimatu, odejście od

niewielu bizantyjskiego stylu rządzenia miastami, usprawiedliwianego tym, że jest ładniej, sprawniej i zamożniej. Wszystko wskazuje na to, że po przejściu w 2014 r. przez niektórych kandydatów części postulatów ruchów miejskich zjawisko to jedynie się rozszerzy, ale nie pojawią się istotne nowe treści. Będzie zatem mowa o transporcie (publicznym, rowerowym, ale także z pewnością o parkowaniu), ekologii (głównie w kontekście smogu), partycypacji (budżety obywatelskie), nie dojdzie jednak do przełomu, jakim byłoby zakwestionowanie zasadniczo centroprawicowej orientacji wszystkich samorządów, także tych kierowanych przez ludzi o rodowodzie SLD-owskim.

Korekta na lewo nastąpiła – jak wspominałem – za sprawą dość gładkiego, choć czasem powierzchownego przejścia postulatów ruchów miejskich, co odebrało atut nowości, oryginalności czy nawet radykalizmu tam, gdzie ruchy te wystawiły własne listy. Odebrało też paliwo samorządowe inicjatywom takim jak Partia Razem.

Dziś wiadomo, że personalno-partyjna mapa głównych konfliktów o prezydenturę nie pozwoli na pojawienie się w skali kraju wyraźnej lewicowej alternatywy. Takiej, która postawiłaby pytanie o warunki życia gorzej uposażonych mieszkańców i o stan mieszkań komunalnych, która potraktowałaby transport publiczny jako rdzeń systemu komunikacyjnego miasta czy stworzyłaby warunki rzeczywistej dostępności służby publicznej, bez protekcji i układów. Dziś taka polityka jest bardzo trudna, szczególnie poza największymi ośrodkami. Zwłaszcza że klimat ogólnopolskiej rywalizacji premiuje raczej kontynuację centroprawicowej (a w debacie publicznej – także bezalternatywnej) optyki.

Jak obudzić metropolie

To, że dużym partiom nie opłacało się bardziej wyraziste podjęcie problematyki polityki miejskiej i samorządowej, jest zrozumiałe. Po pierwsze dlatego, że nie cieszy się ona żadnym zainteresowaniem mediów centralnych, ale również dlatego, że na pewnym poziomie generalizacji przestaje być też istotna dla wyborców. Jeżeli identyfikują oni jakieś postulaty jako „lewicowe”, to będą to raczej kwestie wynikające z różnic światopoglądowych, takich jak np. stosunek do *in vitro* czy postulaty środowisk LGBT.

→ Najsilniej upartyjniona będzie – z oczywistych racji – kampania sejmikowa. Tu komitety nieposiadające ogólnopolskiego szyldu mają niewielkie szanse. Tylko w kilku województwach przed czterema laty udało się im w ogóle wejść do regionalnego przedstawicielstwa, a w województwach śląskim, opolskim i dolnośląskim uczestniczyły też w tworzeniu koalicji wspierających zarządy. W pierwszym przypadku lista ta miała szyld Ruchu Autonomii Śląska, a w drugim – Mniejszości Niemieckiej. Tylko w trzecim była to lista Bezpartyjnych Samorządowców, stworzona przez to samo środowisko, które dziś próbuje zbudować podobną koalicję już w skali ogólnopolskiej.

Przeciwko tego typu inicjatywom działa fakt, że przeciętna wielkość okręgu sejmikowego jest niższa od okręgów sejmowych, co utrudnia mniejszym ugrupowaniom zdobycie mandatu. Dotyczy to nie tylko bezpartyjnych list regionalnych, ale także takich formacji jak Kukiz'15, SLD czy Razem.

Odmienne rzecz się ma tylko z PSL: na jego korzyść działa fakt sporej koncentracji wyborców na terenach wiejskich, co sprawia, że ta partia zdobywa mandaty do sejmiku wszędzie tam, gdzie w okręgu nie ma dużego ośrodka miejskiego. Poparcie dla PSL jest zresztą jedną z kluczowych niewiadomych w równaniu, w którym pytamy o praktyczne wyniki wyborów sejmikowych. Praktyczne, czyli nie te, które wyrażają się w ogólnopolskich odsetkach poparcia dla poszczególnych partii, ale te, które wyrażają się w zdolności do utworzenia zwycięskich koalicji i wybrania zarządów.

Na korzyść centrowej opozycji mogłaby zadziałać także wyższa niż w poprzednich wyborach frekwencja w miastach, o ile uda się ją pobudzić. Jak wielokrot-

Czy opozycja będzie wzmacniać motywację mieszkańców miast do udziału w wyborach samorządowych hasłem „zablokowania PiS”?

W metropoliach może to zmienić zachowanie kilkunastu procent elektoratu.

nie zwracał uwagę Jarosław Flis, wybory lokalne w większym stopniu mobilizują do uczestnictwa wieś, podczas gdy prezydenckie czy sejmowe – wielkie miasta. W Lublinie, Poznaniu, Szczecinie i Wrocławiu frekwencja w wyborach sejmikowych 2014 r. była o ponad 8 punktów procentowych niższa niż w skali województw, a w Łodzi różnica ta sięgnęła blisko 10 punktów.

Opozycja w najbliższej kampanii może zatem postarać się wzmacnić wielkomiejską motywację do uczestnictwa w wyborach samorządowych hasłem „zablokowania PiS”. Może to zmienić zachowania kilkunastu procent uprawnionych do głosowania mieszkańców metropolii. Aktorzy ogólnopolscy mają sporo narzędzi, by uzyskać taki właśnie efekt.

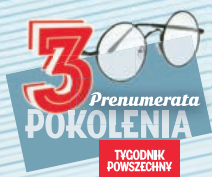
Koniec postu

Czy rzeczywiście wybory samorządowe mają skutki dla sceny ogólnopolskiej? Kiedy przyjrzymy się doświadczeniom ostatnich kilkunastu lat, widzimy sporo takich przypadków. Pierwszy z nich to

wygrana w wyborach warszawskich 2002 r. Lecha Kaczyńskiego, która otworzyła mu drogę do prezydentury w roku 2005. Inny to sukces porozumienia PO-PSL w wyborach sejmikowych 2006 r., który był przygrywką do ustanowienia koalicji na poziomie ogólnopolskim rok później. Patrząc na następne wybory można zresztą powtórzyć, że umocnienie tej koalicji w wyborach sejmikowych 2010 r. (rządziła we wszystkich województwach!) było ważnym czynnikiem zwiększającym szanse PO i PSL w wyborach sejmowych 2011 r. i przyczyniło się do sukcesu pierwszego w historii dwukadencyjnego rządu.

Tym razem wysoka stawka polega też na tym, że wybory samorządowe kończą długi, trzyletni okres politycznego postu, w którym pozycja polityczna zwycięzców z jesieni 2015 r. nie została poddana jakiegokolwiek wyborczej weryfikacji. Nie wiemy, jak polityka PiS w ostatnich latach zmieniła geograficzny rozkład poparcia dla tej partii. Czy rzeczywiście stało się ugrupowaniem bardziej zakorzenionym na prowincji? Czy zbudowało poparcie w województwach zachodnich? Publikowane sondaże nie pozwalają na jasną odpowiedź. Zsumowane wyniki sejmikowe z tej jesieni będą kluczowym argumentem w konstruowaniu ofert politycznych na wybory europejskie i parlamentarne.

Taki będzie krótkotrwały, ogólnopolski efekt wyborów samorządowych. Długotrwały będzie zależał od tego, na ile zmieni się sposób rozumienia i uprawiania polityki samorządowej. Być może główni kandydaci wolą pominąć na razie tę kwestię i zająć się nią po wygranej. Jak zawsze w kampanii wyborczej, gdy wygodniej rozstrzygać emocjonujące publiczność, ale raczej drugorzędne kwestie, które nie wiążą rąk politykom. © RAFAŁ MATYJA



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można optać przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

ANNA

Dziewit-Meller: Zabawić się na śmierć



ARWA MAHDAWI, AMERYKAŃSKA PUBLICYSTKA „Guardiana”, w ubiegłym tygodniu na łamach swojej gazety przyznała się do ciężkiego uzależnienia, które coraz bardziej wpływa na jej samopoczucie i zdrowie. Mechanizm jest prosty – ilekroć czuje

się gorzej, jest zmęczona po całym dniu pracy, ma dość problemów, które zwalają się jej na głowę – rozluźnia się sięgając po to, co pozornie całkiem niewinne, a co daje rewelacyjną odskocznnię, ucieczkę od prozy i nędzy dnia codziennego. Sięga po Netfliksa.

Platformy streamingowe – ostrzega w swoim tekście – są nowym spektakularnym opium dla mas, a ich uzależniająca siła jest wielokrotnie większa od tej, którą miała stara dobra poczciwa telewizja, po której kanałach skakaliśmy bezmyślnie przed zaśnięciem jeszcze parę lat temu. Są one bowiem – jak niemal wszystko, co znajdziemy w naszych smartfonach – projektowane tak, by nas od siebie uzależniać. Niby chcesz już iść spać, ale nowy odcinek zacznie się już za 4, 3, 2, 1...

Na temat FOMO (Fear of missing out – lęk przed wypadnięciem z obiegu) napisano już tyle stron, że nawet nie będę się powtarzać, przecież sama też po przebudzeniu się sięgam po telefon, by wyłączyć w nim tryb samolotowy i jeszcze przed myciem zębów sprawdzam, czy świat się aby nie rozpadł, gdy spałam. Jakby to miało mnie lub światu w czymkolwiek pomóc, że wiem. Niemniej uzależnienie od oglądania seriali na platformach typu Netflix jest faktem i jak każde uzależnienie niesie ze sobą problemy dla tego, kto w nie wpadł.

Pierwszym i najbardziej oczywistym jest rzecz jasna to, że siedząc nocami przed ekranem, zarywamy owe noce, budząc się po paru nędznych godzinach snu niczym zombie. Ja na szczęście – co się okazało po trzydziestce – po mojej matce odziedziczyłam tę wyśmiewaną latami przez całą rodzinę, a jednak cenną umiejętność zapadania w sen przed telewizorem w dowolnej pozycji i w dowolnym miejscu najbardziej nawet emocjonującego odcinka genialnego serialu. Moje wykończone życiem codziennym ciało wygrywa zawsze z uzależnieniem i po prostu się wyłącza, tak że nienasycony fabułą mózg może mu ewentualnie skoczyć. „Idziemy spać, moja panno” – powiada mój organizm i wyciąga mi wtyczkę z gniazdka. I tu mamy problem kolejny – doprowadza to do sytuacji konfliktowych ze współoglądaczami, nierzadko przecież muszę się potem domagać powtórek kluczowych scen, tak bym wiedziała z grubsza, o co biega. Bywa niemiło, tyle rzeknę.

Arwa Mahdawi przywołuje słowa szefa Netfliksa Reeda Hastingsa, który całkiem bezpardonowo przyznaje: „Naszym największym konkurentem jest ludzka potrzeba snu”. No właśnie, po co spać, kiedy przecież można w ciągu tych ośmiu cen-

nych godzin dokończyć drugi sezon „Westworld”, i to mimo, że wcale nam się on nie podoba, ale tyleśmy już zainwestowali czasu i emocji, że po prostu musimy wiedzieć, jak to się do cholery kończy.

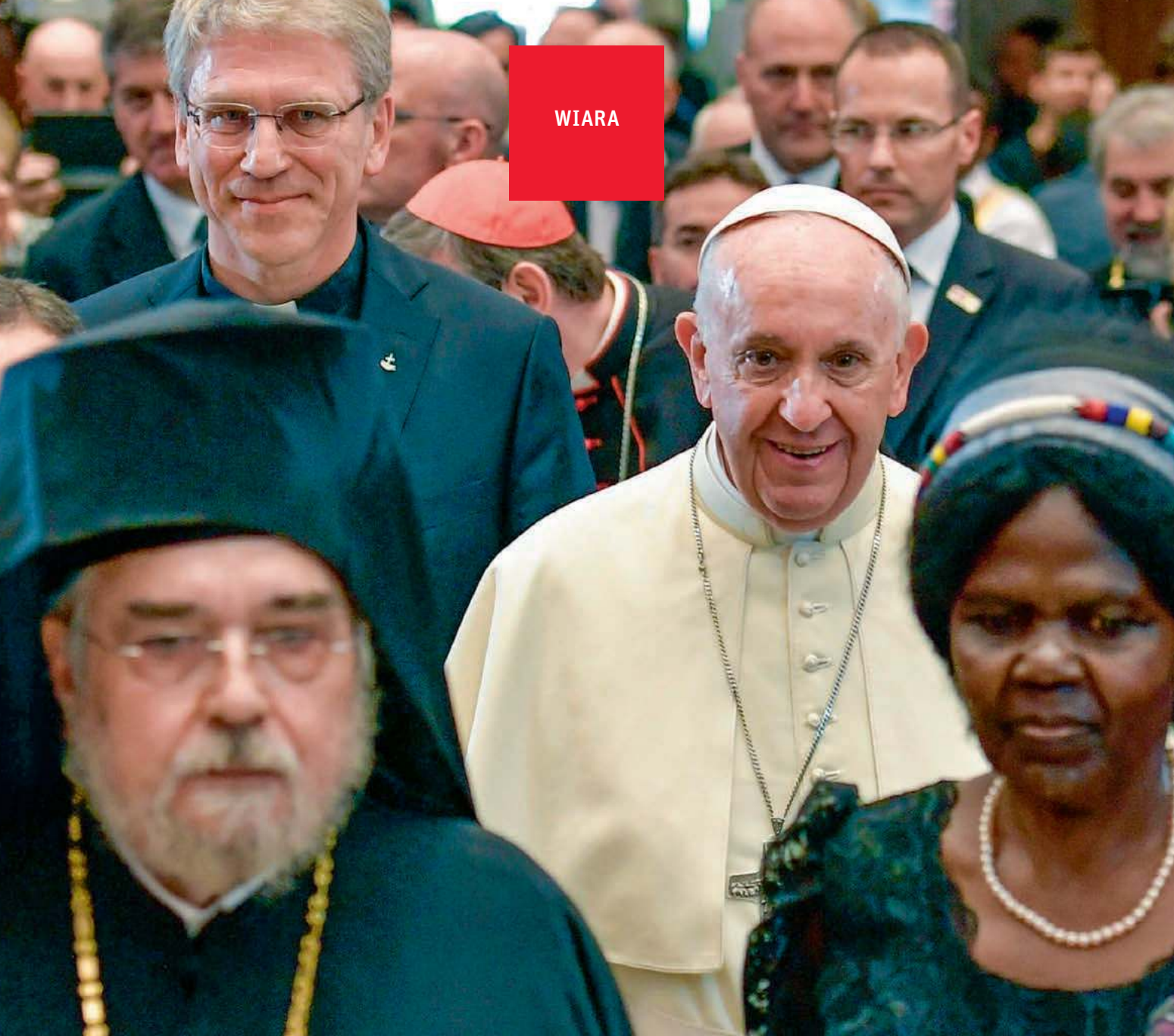
Całkiem niedawno czytałam szczere wyznanie jednej z polskich dziennikarek, która pisała, utrzymując rzecz w konwencji żartobliwej, że zdrada zdradą, ale zobaczenie bez niej odcinka „Opowieści podręcznej” jest jak cios zadany przez jej chłopaka tępym nożem prosto w serce. Tego się po prostu nie robi najbliższemu, tak się nie godzi postępować w kraju, który hołduje jednak jakimś tam prawom człowieka, dżentelmeni nie oglądają cichaczem odcinków „Black Mirror” w samotności, Penelopy czekają na swoich Odysów, żeby wspólnie przejść do kolejnego epizodu o dolach i niedolach Patricka Melrose’a.

Co jednak ciekawe, mój przypadek jest w pewnym sensie nietypowy, bowiem ja byłam serialowym zombie, zanim w ogóle ktoś pomyślał o tym, że powstanie jakiś Netflix. Otóż lat temu bez mała dziesięć mój mąż kupił gdzieś w sieci pierwszy sezon serialu „Lost” na płycie DVD. Dla mnie – w owym czasie nieco pretensjonalnej wyjadaczki kina, co swój wolny czas (w granicach rozsądku rzecz jasna) trawiła wyłącznie w kinach studyjnych – propozycja, byśmy może spróbowali czegoś takiego, była początkowo nie do przyjęcia. Serial? No błagam, od czasów „Reksia” w paśmie dobranocki nie oglądałam żadnego serialu. A jednak jakoś przekonał mnie i ten właśnie moment uważam za kluczowy. W chwili, kiedy na moim telewizorze u brzegów wyspy rozbił się samolot pełen ludzi, z których wielu jakimś cudem przetrwało katastrofę, moje wewnętrzne „ja” odbiorcy kultury dokonało radykalnej i chyba nieodwracalnej przemiany. I choć serial ten – zgodnie z najwspanialszą jego definicją, jaką znalazłam w filmie Keina Smitha „Zack i Miri kręcą porno”, a która brzmiała: „są na wyspie, nie ma ich na wyspie, są na wyspie, nie ma ich na wyspie” – był naprawdę nieznośny, to jednak nie da się ukryć, że jadąc we wspólną podróż służbową wzięliśmy z domu odtwarzacz DVD i stosowne kable, by następnie wpiąć to wszystko do telewizora w hotelu i oglądać, oglądać oglądać. Cóż więc mi pozostaje, niż przyznać: nazywam się Anna, mam 37 lat i od 10 lat nałogowo oglądam seriale... ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Międzyrzeczu, pod sygn. akt I Ns 325/17, wszczęte zostało postępowanie z wniosku Jana Orywała o nabycie przez zasiedzenie własności nieruchomości położonej w Krobielewku, obręb Krobielewko, jednostka ewidencyjna 080305_5 Skwierzyna – obszar wiejski, powiat międzyrzecki, woj. lubuskie, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działki o numerach: 114 o pow. 0,12 ha, 179 o pow. 0,66 ha, 192 o pow. 0,14 ha oraz o numerze 211 o pow. 0,32 ha, dla których to działek nie została urządzona księga wieczysta ani zbiór dokumentów.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



WIARA

WIELOBARWNE CHRZEŚCIJAŃSTWO

Franciszek odwiedził Światową Radę Kościołów świętującą 70-lecie istnienia. Żyjąc w niemal jednolitej wyznaniowo Polsce nie zdajemy sobie sprawy z wagi tej organizacji i wspieranego przez nią ekumenicznego otwarcia.

PIOTR SIKORA



Spotkanie papieża Franciszka
z przedstawicielami Światowej Rady
Kościołów, Genewa, 21 czerwca 2018 r.

chrześcijaństwa. U nas jest bardzo dużo ewangelikalnych chrześcijan, którzy nie celebrują Eucharystii ani żadnych innych rytuałów, czytają tylko Biblię i modlą się spontanicznie na charyzmatycznych zgromadzeniach.

Jego słowa uświadomiły mi, jak bardzo ograniczone jest moje postrzeganie własnej tradycji religijnej i jak bardzo jest to związane z codziennym funkcjonowaniem w realiach, w których dominującym wyznaniem jest rzymski katolicyzm. Podróżuję trochę po świecie. Czytam Ojców Kościoła: nie tylko łacińskich, lecz także greckich czy syryjskich. Znam współczesnych teologów prawosławnych i protestanckich. A jednak – gdy spontanicznie zabrałem głos w angażującej mnie duchowo i emocjonalnie rozmowie z przedstawicielami innych religii – zapomniałem, że chrześcijaństwo jest dużo bardziej różnorodne niż forma, w której osobiście uczestniczę.

Skandal podziału

Bogactwo form nie jest tym samym co rozłamy i podziały – mógłby ktoś w tym momencie powiedzieć – a przykład, który podałem, odnosi się właśnie do tej drugiej sytuacji. Podczas wspomnianego spotkania napomniał mnie wszak schizmatyk, przywołując w dodatku grupę heretyków, którzy po prostu odrzucili to, co w wierze katolickiej najważniejsze. I bardzo dobrze, że będąc z Polski, traktuję katolicyzm jako tę właściwą formę chrześcijaństwa, i tak prezentuję naszą religię hindusom i innym poganom, nie przeżywając niepotrzebnych rozterek tożsamościowych.

Taki sposób myślenia o fakcie istnienia różnych wyznań chrześcijańskich był dominujący jeszcze sto lat temu i niestety odradza się tu i ówdzie jeszcze dzisiaj. Owszem, zwolennik takiego podejścia mógłby szukać uzasadnienia w historii, wskazując, że wielość Kościołów i wspólnot ma swoje korzenie w kłótniach i podziałach między chrześcijanami. Że jest nie tylko bolesnym świadectwem grzechów popełnianych u początków rozłamów, ale prowadziła też przez wieki do nowych aktów agresji, skierowanych przeciw tym, którzy choć wierzą w Chrystusa, to inaczej niż my i „nie chodzą

z nami” (por. Mk 9, 38). Czyż wojny religijne nie pustoszyły XVI-wiecznej Europy, i czy nawet w XX w. różnice wyznaniowe nie były paliwem krwawych konfliktów, jak choćby północnoirlandzki?

To wszystko prawda. Ale grzechów połączonych w przeszłości nie można – jak przypomina „Dekret o ekumenizmie” Soboru Watykańskiego II – przypisywać współczesnym członkom wspólnot chrześcijańskich, które nie pozostają w pełnej jedności. Dzisiaj podział chrześcijaństwa jest faktem przez nas zastanym. Nie myśmy go spowodowali. My możemy być odpowiedzialni jedynie za to, co z nim zrobimy.

Niektórzy nadal wykorzystują różnice wyznaniowe do wzmacniania podziałów albo, nie godząc się z różnorodnością, pragną ujednolicienia wszystkich na modłę własnej wspólnoty. Inni jednak, dostrzegając skandal podziału, rozpoznali także wartość różnorodności i wielości chrześcijańskich ścieżek do Boga. Pragną jedności i dążą do niej, ale nie kosztem bogactwa wypracowanego przez wieki w wielu wspólnotach. Ta druga postawa jest dominująca wśród chrześcijan zaangażowanych w ruch ekumeniczny. Jest ona też – można powiedzieć – fundamentem powstałej 70 lat temu Światowej Rady Kościołów.

Doceniając tę postawę, w świętowanie jubileuszu włączył się papież Franciszek, odwiedzając w miniony czwartek siedzibę Rady w Genewie, spotykając się z ludźmi pełniącymi w niej ważne funkcje i biorąc udział we wspólnej z nimi modlitwie.

Problem i szansa

W deklaracji ideowej Rada przyjęła za cel dążenie do jedności chrześcijaństwa, która powinna się wyrazić we wspólnej celebracji Eucharystii. Z drugiej strony nie jest (i nie chce być) super-Kościółem, nie rości sobie prawa do władzy nad wspólnotami, które do niej należą. A należy do niej ponad 350 Kościołów, różniących się zarówno czasem istnienia (od Prawosławnego Patriarchatu Jerozolimy, który wywodzi się z pierwszej chrześcijańskiej wspólnoty, której przewodził Jakub, brat Pański – po powstałe kilkadziesiąt lat temu wspólnoty protestanckie), jak i liczebnością swych członków (są tu wielomilionowe Kościoły anglikańskie i prawosławne, ale i grupa kwakrów kanadyjskich, licząca niewiele ponad

PODCZAS MIĘDZYRELIGIJNEGO SPOTKANIA, w którym brali udział buddyści, chrześcijanie, hinduiści, muzułmanie, sikhowie i żydzi, rozmawialiśmy o roli rytuałów w duchowym rozwoju człowieka. Pewien hinduski Swami (mnich-asceta) opowiadał, że w jego tradycji na pewnym poziomie duchowości rytuały stają się już niepotrzebne. Odpowiedziałem na to, że w chrześcijaństwie jest inaczej, że rytualna celebracja, Eucharystia, pozostaje istotna do końca życia dla wszystkich członków wspólnoty. Przerwał mi prawosławny teolog z USA, mówiąc: – Widać, że jesteś z Polski. Człowiek ze Stanów nigdy by tak nie prezentował

→ tysiąc osób). Kościół rzymskokatolicki do Rady nie należy, ale od czasów Vaticanum II ściśle z nią współpracuje.

Sensem istnienia Rady jest tworzenie przestrzeni do spotkania, współpracy i wzajemnej inspiracji. Jak określa to deklaracja z Toronto (1950 r.), podstawowym jej zadaniem jest „doprowadzanie do wzajemnych żywych kontaktów między Kościołami oraz wspieranie studiów i dyskusji na temat jedności Kościoła”. W ramach Rady działa wiele ciał i rozwija się wiele projektów. Skupiają się one na kilku obszarach: od teologicznej refleksji nad drogami do pełnej jedności (tu najważniejsza jest komisja Wiara i Ustrój), przez kwestie związane z daniem zgodnego świadectwa chrześcijańskiej wierze, z misją i ewangelizacją, po zagadnienia społeczne i ekologiczne.

Kontakty między Kościołami działającymi w Radzie przyczyniły się do kilku znaczących porozumień ekumenicznych, takich jak rozwiązanie konfliktów w rozumieniu Eucharystii pomiędzy głównymi nurtami protestantyzmu (luteraniskim i reformowanym) czy wzajemne uznanie ortodoksyjności wiary chrystologicznej pomiędzy Kościołami prawosławnymi a tzw. przedchalcedońskimi Kościołami wschodnimi. Ustalenia komisji Wiara i Ustrój stały się zaś podstawą licznych porozumień w sprawie wzajemnego uznawania ważności chrztu. Bardzo ważnym, widocznym także w Polsce owocem działania Rady są coroczne Tygodnie Modlitw o Jedność Chrześcijan.

Nawet jeśli działania Rady nie doprowadziły na razie do pełnej jedności wszystkich chrześcijan, to w ogromnym stopniu przyczyniły się do tego, że agresja w relacjach między wyznaniem chrześcijańskimi jest dziś zjawiskiem marginalnym i powszechnie potępianym przez zdecydowaną większość autorytetów. Czymś normalnym wydają się natomiast wspólna modlitwa, wzajemne inspiracje teologiczne i współpraca w działalności misyjnej i społecznej.

Tymczasem w Polsce

W Polsce nie jesteśmy zupełnie oddzieleni od ruchu ekumenicznego i niesionej przezeń otwartości na międzywyznaniowe kontakty. Wspomniane na początku spontaniczne powiązanie przeze mnie chrześcijaństwa z jego formą rzymskokatolicką wielu polskim katolikom by się nie przydarzyło. Coraz popularniejsze

Podczas spotkania
w Szwajcarii Franciszek
przypomniął: egzystencja
chrześcijańska to droga,
na której musimy
przezwyciężyć podziały.

To zaś nieodłącznie
jest związane ze stratą.

stają się u nas wschodnie ikony, obecne niemal w każdym sklepie z dewocjonaliami. Jednym z bardziej dynamicznie rozwijających się ruchów religijnych jest Odnowa w Duchu Świętym, wyraźnie inspirująca się Kościołami zielonoświątkowymi.

Postrzegamy to jednak często bardziej jako kłopot niż szansę rozwoju. Nawet otwartym, wybitnym teologom zdarzają się wypowiedzi w stylu: „Problem w tym, że zalała nas cała gama słownictwa – ale i praktyk – z różnych wspólnot zielonoświątkowych i protestanckich”. Ks. Grzegorz Strzelczyk, autor tego sformułowania, wypowiedział te słowa krytykując pewne kręgi katolików czerpiących z doświadczenia i praktyk protestanckich, sugerując, że „mamy do czynienia z rzeczami, które w tradycji katolickiej już dawno były ponazywane”. To słowa o tyle nieszczęśliwe, że można z nich wyczytać (zapewne niezgodnie z intencjami autora), że od protestantów niczego nie możemy się nauczyć. Wszystko, co cenne, mamy bowiem od dawna we własnej tradycji.

Abstrahując od oceny konkretnych zjawisk, do których odnosił się śląski teolog, chciałbym zwrócić uwagę, że przejmowanie przez katolików pewnych protestanckich sposobów ujmowania i nazywania rzeczywistości duchowej nie musi być samo w sobie negatywne. Sposób mówienia jest sposobem myślenia i postrzegania świata. Większa różnorodność „nazewnictwa” teologicznego wiąże się zatem z bogactwem perspektyw, w których ujmujemy Boską Rzeczywistość. Owszem, rodzi to napięcia, gdyż niektóre perspektywy wydają się nam trudne do uzgodnienia. Ale jest też szansa na pogłębienie zrozu-

mienia naszej relacji do Boga, czyli Tajemnicy wymykającej się każdemu poszczególnemu jej ujęciu.

Różnorodność od początku

Warto w tym kontekście pamiętać, że trudna albo nawet niemożliwa do uzgodnienia różnorodność sposobów rozumienia Boga i Jego dróg w ludzkiej rzeczywistości towarzyszyła chrześcijaństwu od początku. Nieprzypadkowo mamy w kanonie Nowego Testamentu cztery Ewangelie. A pisma te różnią się między sobą nawet w najistotniejszych kwestiach. Weźmy choćby kwestię obrazu Jezusa podczas męki. Jan i Łukasz przedstawiają Go jako panującego nad sytuacją, dobrowolnie przyjmującego cierpienie i pozostającego w świadomej, dającej głębszy pokój jedności z Ojcem. Według Marka Jezus cierpi nie tylko fizycznie – doświadcza także duchowego osamotnienia i najgłębszego zwątpienia, wyrażonego rozpaczliwym krzykiem „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił” (Mk 15, 34).

Równie wielkie różnice w teologicznym rozumieniu rzeczywistości odnajdujemy pomiędzy innymi pismami Nowego Testamentu. Choćby w kwestii końca czasu i drugiego przyjścia Chrystusa. Święty Paweł w Listach do Tesaloniczan zwiastuje rychłe przyjście Jezusa, które będzie miało kosmiczne wymiary. Natomiast według Ewangelii Jana Zmartwychwstały w każdym momencie przychodzi do duchowego wnętrza wierzącego, a wszystko, co istotne w historii zbawienia, dokonało się na krzyżu – nie ma więc sensu oczekiwać żadnego zewnętrznego „drugiego przyjścia”.

Nowy Testament zawiera również zapis fundamentalnych polemik w kwestii chrześcijańskiego sposobu życia i organizacji wspólnot. Ewangelista Mateusz wkłada w usta Jezusa przestrożę, że „kto by zniósł jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych, i uczył tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim” (Mt 5, 19). Najbardziej znaną wówczas postacią, do której idealnie pasuje ów opis, był... św. Paweł, który głosił, że chrześcijanie nie tylko nie muszą zachowywać drobnych przepisów Prawa, ale powinni nawet zrezygnować z tego, co w Prawie fundamentalne: ze znaku obrzezania.

Tego rodzaju napięcia i sprzeczności obecne na kartach Biblii umykają często naszej świadomości. Przyzwyczajeni bo-

wiem jesteśmy do przeżywania chrześcijaństwa w środowisku monolitycznym wyznaniowo, i to w jego wersji rzymskokatolickiej, w której tendencje do centralnego ujednolicania doktryny i form życia są nadzwyczaj silne.

Otwarcie ekumeniczne i uważna lektura Biblii mogą się wzajemnie wspierać. Świadomość istnienia różnych współczesnych form chrześcijaństwa może pomóc w dostrzeganiu podobnej różnorodności w czasach pierwszych chrześcijan. Świadomość, że chrześcijaństwo nigdy nie było monolitem, może pomóc zaakceptować istniejącą różnorodność, nawet jeśli obejmuje ona takie sposoby życia i teologicznego samorozumienia, które nie dają się (przynajmniej w przewidywalnej perspektywie) uzgodnić.

Zaryzykować tożsamość

Akceptacja różnorodności wiąże się z postrzeganiem jej nie jako zagrożenia, ale szansy. Z punktu widzenia rzymskokatolickiego wymaga to oczywiście przemyslenia naszego roszczenia do posiadania pełni objawionej Prawdy i środków zbawienia. Nie chodzi przy tym o rezygnację z wiary, iż w naszym Kościele Bóg daje się nam cały. Oznacza jednak pokorne przyznanie, że w naszej tradycji wyznaniowej nie potrafimy owej Pełni Bożej zasymilować i dobrze nam zrobi, gdy będziemy uczyć się od innych wierzących w Chrystusa.

Postawa taka może się wydawać ryzykownym zakwestionowaniem własnej tożsamości. Jak jednak przypomnieliśmy papież Franciszek w homilii podczas ekumenicznej modlitwy w siedzibie Światowej Rady Kościołów, egzystencja chrześcijańska jest „kroczeniem w Duchu” drogą, na której musimy przezwyciężać podziały. A to jest nieodłącznie związane ze stratą. Nie zabezpiecza interesów poszczególnych wspólnot; wymaga rezygnacji z wszelkich partykularnych tożsamości („ja jestem Pawła, ja Apollosa, ja Kefasa”:

Rozwój takich ruchów
jak Odnowa w Duchu
Świętym, wyraźnie
inspirujących się Kościołami
zielonoświątkowymi,
w Polsce często postrzegamy
bardziej jako kłopot
niż szansę.

por. 1 Kor 1, 12) – i przyłgnięcia najpierw do Chrystusa.

Na czym może polegać wzajemne inspirowanie się przez różne wyznania chrześcijańskie? Nie mogę się wypowiadać za innych. Ale jako rzymski katolik mogę wskazać takie nierzymskokatolickie „miejsca”, które bez wątpienia wzbogacają (lub mogłyby wzbogacić) przeżywanie wiary w moim Kościele.

Pierwszym jest bogata, terapeutyczno-kontemplacyjna tradycja chrześcijan Wschodu. Owszem, zachodnie chrześcijaństwo także posiada głęboką tradycję kontemplacyjną. Ale wypracowana na chrześcijańskim Wschodzie tradycja modlitwy nieustannej i duchowej trzeźwości, która wyzwala człowieka z niewoli biologicznych impulsów i natłoku zewnętrznych bodźców, wydaje się szczególnie adekwatna wobec wyzwań i zagrożeń, które niesie współczesna zachodnia kultura.

Summą tej kontemplacyjnej tradycji jest antologia pism zatytułowana „Filokalia”, a tytuł ów (umiłowanie piękna) wskazuje jednocześnie na inny „skarb” wschodnich chrześcijan: dużo głębsze niż na Zachodzie zrozumienie roli piękna w drodze do Boga i powiązanie z tym teologię ikony (lub szerzej: symbolicznego przedstawienia Bokości).

Kościoły wywodzące się z reformacji mogą nas, katolików, wciąż uczyć nie tylko uważności na słowo zapisane w Biblii, ale również funkcjonowania wspólnoty bez nieewangelicznego podziału na ludzi mniej i bardziej poświęconych Bogu, a także – to dotyczy niektórych wyznań – powierzania równej odpowiedzialności za Kościół kobietom i mężczyznom. Nawet tak małe wspólnoty jak Towarzystwo Przyjaciół (kwakrzy) mają dla nas cenną lekcję: umiejętności zachowania, pomimo bycia mniejszością, uniwersalistycznej, otwartej i adogmatycznej tożsamości, opartej jedynie na bezpośrednim spotkaniu Boga w ciszy.

Inspirowanie się teologią i praktyką innych Kościołów nie oznacza automatycznego, bezkrytycznego przejmowania wszystkich rozwiązań. Prowadziłoby to do uniformizacji, a nie różnorodności. Chodzi przede wszystkim o to, by znać inne wyznania chrześcijańskie. Już sama świadomość, że inni wierzą w tego samego Chrystusa, ale inaczej, wybija z „dogmatycznej drzemki” – poczucia oczywistości własnej formy wiary. Kwestionuje zatem tożsamość i zmusza do jej przemyslenia, otwierając szansę jej pogłębienia i poszerzenia.

Kwestionowanie własnej religijnej tożsamości jest oczywiście trudnym wyzwaniem. To bowiem kwestionowanie tego, co stanowi rdzeń naszej egzystencji. Nie powinno więc dziwić, że wzbudza w nas lęk. Jest jednak koniecznym aspektem drogi ku pełnej jedności – między ludźmi i z Bogiem. Dlatego uważam, że kluczowym elementem przesłania papieża Franciszka wypowiedzianego na spotkaniu ze Światową Radą Kościołów była myśl jednego z największych Ojców Kościoła, św. Grzegorza z Nyssy: „Gdy miłość całkowicie usunie lęk i lęk przemieni się w miłość, wtedy okaże się, że wszyscy zbawieni stworzyli jedność dzięki złączeniu się z jedynym Dobrem i zjednoczyli się ze sobą nawzajem”.

©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MICHAŁ OKOŃSKI **Futbol jest okrutny**



Komentarze mundialowe czytaj na stronie „TP” i na blogu „Futbol jest okrutny”: okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl



ROBERTLENTZ.VOM x 4

ROBERT LENTZ przy pracy nad ikonami

Wszyscy święci brata Roberta

DOROTA BIDZIŃSKA

Kiedy masz tylko świętych, którzy są białymi i żyjącymi w celibacie mężczyznami – jak to do Ciebie przemawia, jeśli Twoja skóra jest ciemna, jesteś aktywny seksualnie i żyjesz w małżeństwie? – pyta Robert Lentz. I odpowiada swoimi ikonami.

MA ŚNIADĄ, WYSMAGANĄ PRZEZ WIATR pustyni skórę i mocne, żyłaste dłonie. Po czubek głowy owinięty jest białym płaszczem, jakie noszą nomadzi na Bliskim Wschodzie. W niczym nie przypomina innych Dobrych Pasterzy czule obejmujących słodkie, puszyste jagniątko. Dobry Pasterz Roberta Lentza trzyma rękę na szyi zadziornego, rogatego kozła. Nad jego prawym ramieniem inskrypcja w języku arabskim: „Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary”.

Ikona powstała dla jednego z amerykańskich kościołów w czasie I wojny w Zatoce Perskiej. Była odpowiedzią na rosnącą nieufność wobec imigrantów pochodzenia arabskiego w Stanach Zjednoczonych.

Na ikonach Lentza każdy Chrystus wygląda inaczej. Na obrazie dla misyjnej wspólnoty Maryknoll ma twarz latynoskiego wieśniaka. Dłonie z wyraźnymi

śladowi ran opiera na płocie z kolczastego drutu. Na ikonie Lew Judy wygląda jak masajski wojownik. Chrystus Wyzwoliciel jest czarnoskóry.

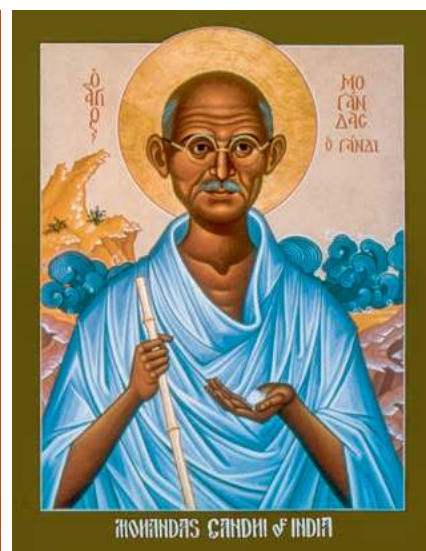
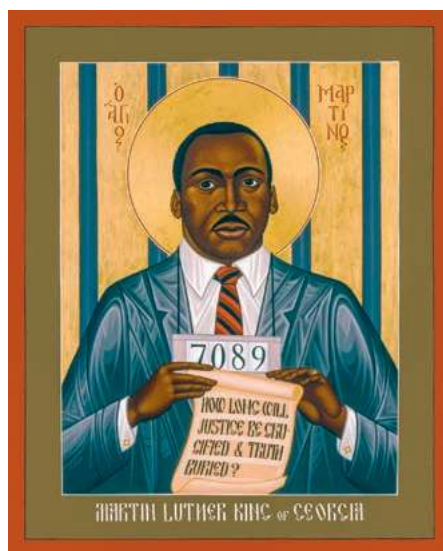
– Kiedy przyszedł do mnie pewien Afroamerykanin i poprosił o wykonanie tej ikony, miałem sporo wątpliwości – opowiada Robert Lentz. – Jak mogę namalować Jezusa jako Afrykanina, skoro nie był czarny? Z jednej strony chciałem spełnić jego prośbę, ale z drugiej czułem dużą odpowiedzialność. Nie mogłem namalować nieprawdy. Wtedy pomyślałem o opisach zmartwychwstania w Ewangelii. Kiedy Maria Magdalena przychodzi do grobu i spotyka Chrystusa, jest przekonana, że rozmawia z ogrodnikiem. Dopiero gdy Jezus wypowiada jej imię, rozpoznaje Go. Przypomniała mi się legenda o św. Robertie z Newminster – podzielił się jedzeniem z biedakiem, a ten zaraz zniknął. Po-

dobnie św. Marcin z Tours, który oddał pół płaszcza żebrakowi, a następnej nocy przyśnił mu się odziany w niego Chrystus. W Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. Nie mówi „tak jakby Mnieście uczynili”, tylko dosłownie „Mnieście uczynili”. Od momentu zmartwychwstania Jezus nie jest już pojedynczą osobą. Jezus jest głową ciała, którym jest Kościół. Głowa nie może być kompletna bez ciała, a ciało – czyli rodzaj ludzki – nie może być kompletny bez Głowy. Tak, w końcu namalowałem czarnoskórego Jezusa, a potem też koreańskiego Jezusa i Jezusa Apacza. Wierzę, że te obrazy pomagają ludziom różnych nacji rozpoznać ich osobistą więź ze Zbawicielem.

Żeby namalować ikonę Jezusa Apacza, Robert Lentz pojechał na kilka dni do rezerwatu Apaczów Mescalero niedaleko Nowego Meksyku. Tam spotkał się z szamanami i szamankami. Początkowo został potraktowany z nieufnością. Wśród starszych mieszkańców rezerwatu przedstawiciel Kościoła wzbudził raczej negatywne skojarzenia.

– Historia Apaczów to prawdopodobnie jeden z najciemniejszych rozdziałów w historii naszego kraju – stwierdza Robert Lentz.

Po dwóch tygodniach znów udał się do rezerwatu. Wspiął się na szczyt Sierra Blanca, świętej góry Apaczów, gdzie modlił się i zbierał wodę z górskich strumieni. Wymieszał ją z barwnnikami użytymi do malowania ikony.



Od lewej: **HARVEY MILK**, amerykański polityk, pierwszy mężczyzna przyznający się do swojej homoseksualnej orientacji wybrany do Rady Miasta San Francisco. Dalej: **MARTIN LUTHER KING** oraz **MAHATMA GANDHI**

Jezus Apacz ma na sobie strój szamański. Stoi na szczycie Sierra Blanca i przewodniczy rytuałowi pozdrowienia Słońca, najświętszemu z rytów w kulturze Apaczów, celebracji daru przekazywania życia. Tak jak żydowski Jezus wchodził do synagogi, by odczytać zwoje Tory i wyjaśnić Pisma, tak Jezus Apacz wyśpiewuje świętą historię swojego plemienia. Nad jego ramieniem leci orzeł, który w mitologii Apaczów jest przewodnikiem w drodze do ziemi obiecanej. Ikona podpisana jest w rodzimym języku Indian: „Dawca życia”. Jezus Apacz został pobłogosławiony przez szamanów, a następnie umieszczony w misyjnym kościele katolickim na terenie rezerwatu.

Życiorys bez granic

– Większość moich krytyków czuje dyskomfort, widząc, jak swobodnie przemieszczam się między różnymi kulturami. Chcą czystego, czarno-białego świata, ale ja takiej rzeczywistości nigdy nie znałem – opowiada Lentz.

Urodził się w rodzinie rosyjskich imigrantów w Kolorado. Dziadkowie od strony ojca byli prawosławni, rodzice – katolicy obrządku greckiego.

– Tak naprawdę nie pamiętam czasu w moim życiu, żebym nie miał jakiegoś związku ze sztuką i duchowością – wspomina.

Od dzieciństwa uwielbiał tworzyć. W salonie u jego rosyjskiej babci ze ścian przyglądały mu się rzesze świętych.

– Wzrastałem wśród opowieści o ich życiu i cudach, tak jak inne dzieci wycho-

wują się w otoczeniu baśni. Także ojciec miał swoich męczenników, o których lubił opowiadać.

– Jako mały chłopak słuchałem o dzieciach niewiele starszych ode mnie, które pracowały i umierały w kopalniach i fabrykach w Stanach Zjednoczonych. Wiedziałem o masakrze w Ludlow, gdzie w wielkanocny poranek 1914 r. w wyniku starć zginęło wielu mężczyzn, kobiet i dzieci. Jeździliśmy do Wounded Knee i do Sand Creek. I ojciec, i babcia pokazali mi Boga. Babcia tego transcendentnego i nieskończonego, o którym opowiadały ikony, ojciec – ludzkiego Chrystusa, nadal cierpiącego pośród nas.

Dla młodego Roberta naturalną drogą wydawał się zakon. Wybrał franciszkanów. W klasztorze spędził sześć lat, wyszedł przed złożeniem ślubów wieczystych.

– W zakonie pociągała mnie jego kontemplatywna strona. Kiedy przez moją prowincję przeszły zmiany, poczułem się tam obco – opowiada zdawkowo o tamtym okresie.

Przeszedł na prawosławie. Zamieszkał w klasztorze Przemienienia Pańskiego w Brooklinie, w stanie Massachusetts. To tam zaczął się uczyć pisania ikon. W 1980 r. abp Antony Sinkevitch zaproponował mu wyjazd do Santiago w Chile, do prowadzonego tam rosyjskiego sierocińca. Zgodził się. W sierpniu tego samego roku został aresztowany przez tajną policję Pinocheta z zarzutem wspierania komunistów. Szybko go wypuszczono, gdy okazało się, że nie ma żadnych politycz-

nych powiązań, ale doświadczenia tego czasu mocno zapisały się w jego pamięci. Niedługo potem zachorował na zapalenie płuc, jego stan pogarszał się, więc wrócił do USA. Wkrótce znów opuścił klasztor i rozpoczął świeckie życie na ulicach San Francisco. Na pierwszej ikonie, którą namalował po opuszczeniu zakonu, przedstawił bł. abp. Oscara Romera, duchownego z Salvadora, który sprzeciwiał się reżimowi junty wojskowej i stał w obronie praw człowieka. Zginął w zamachu, zastrzelony podczas sprawowania mszy świętej.

Święty Harvey Milk

Na ulicach San Francisco Robert Lentz poznał inny świat. Spotyka komunistów, anarchistów, feministki, osoby homoseksualne, nielegalnych imigrantów.

– Początkowy strach i szok powoli ustępowały, uczyłem się słuchać. Pomimo różnic doświadczeń odkrywałem, że mamy więcej ze sobą wspólnego niż widoczne na pierwszy rzut oka różnice. Twarz Chrystusa zaczęła ujawniać się przede mną na marginesie wszystkiego, co do tej pory znałem.

Wkrótce wynajmuje małe mieszkanie nad budynkiem katolickiej organizacji pomagającej ludziom z marginesu. Poznał księży i zaangażowanych świeckich, którzy wiarę łączą z wrażliwością na kwestie społeczne. To od nich po raz pierwszy słyszy o Dorothy Day i Mary Harris Jones. Uwiedziony przykładem ich życia przedstawia je na ikonach, jaśniejąc Boskim światłem, ze świetlistym nimbem wokół ➔

→ głowy, choć Kościół nigdy oficjalnie nie uznał ich za święte.

Poczet niekanonizowanych świętych Roberta Lentza rośnie. Tworzy ikony walczącego o prawa obywatelskie latynoskiej mniejszości Césara Cháveza i filozofki Simone Weil. Ta, na której przedstawi Martina Luthera Kinga, okaże się wyzwaniem od strony technicznej. Jeżdżąc autobusami po ulicach San Francisco, ukradkiem przygląda się ciemnoskórym pasażerom i zastanawia się, jak dobrać pigmenty, by oddać kolor skóry słynnego działacza. Na ikonach przedstawia także wielkich ludzi kultury, w których aktywności dostrzega ślady Boskiej inspiracji: Jana Sebastiana Bacha, J.R.R. Tolkiena, a nawet Alberta Einsteina.

Kontrowersje w środowiskach konserwatywnych budzi jego ikona przedstawiająca Harveya Milka, amerykańskiego polityka i jawnego homoseksualistę, walczącego o prawa osób LGBT. Milk zginął w 1978 r., zastrzelony przez oponenta politycznego Daniela White'a. Na ikonie Lentza w jednej dłoni trzyma świecę, drugą osłania jej wątył płomień. Na ramieniu ma opaskę z różowym trójkątem – w hitlerowskich obozach oznaczano taką osoby więzione z powodu homoseksualnej orientacji.

Ikona, na której przedstawił św. Sergiusza i św. Bakchusa czule objętych, została po raz pierwszy zaprezentowana na paradzie równości w Chicago w 1994 r. Ten wizerunek, podobnie jak inne ikony Lentza przedstawiające jednopłciowe pary świętych, stały się bardzo ważne dla grup chrześcijan LGBT na całym świecie.

Jezus wykluczonych

– W naszym śpiewniku jest ikona przytulonych św. Perpetuy i Felicyty, ale dla mnie osobiście okazał się ważny inny obraz Lentza – opowiada Marta Gładkowska, z grupy chrześcijan LGBTQ „Wiara i Tęcza”. – To Chrystus z Maryknoll, który stoi za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jestem protestantką. Kiedyś byłam bardzo zaangażowana w życie mojego Kościoła. Jednak w pewnym momencie opuściłam go z powodu mojej orientacji seksualnej. Kiedyś na Facebooku, przy okazji dyskusji o przyjmowaniu uchodźców, zobaczyłam właśnie tę ikonę. Zrobiła na mnie wyjątkowe wrażenie. Zobaczyłam na niej Chrystusa, który nie wyklucza, ale staje po stronie wykluczonych. Który stoi po mojej stronie, bo ja też czuję się takim

„uchodźcą” szukającym swojego miejsca w Kościele. Opublikowałam ją na mojej stronie, a mój dawny pastor, który od dawna się do mnie nie odzywał, skomentował to bardzo krytycznie: „Jezus jest wojownikiem, który walczy, a nie osobą słabą – nie powinien być tak przedstawiany”. Zabolały mnie te słowa. Trudno było mi skonfrontować się z osobą, która kiedyś była moim mistrzem, ale to wydarzenie umocniło mnie też w przekonaniu, że mam prawo do mojej wiary. Ta ikona pomaga mi zobaczyć Chrystusa w moim życiu, ale też w każdym innym człowieku, nawet tym, którego nie rozumiem i którego się boję. My, chrześcijanie LGBTQ, jesteśmy grupą wykluczoną, ale musimy też troszczyć się o to, żeby nie wykluczać innych: uchodźców, którzy do nas docierają, wyznawców innych religii, osób obcych kulturowo, i żeby w ramach naszej grupy nie wykluczać siebie nawzajem.

– Dla mnie szczególne znaczenie ma ikona Henriego Nouwena – mówi Artur Kapturkiewicz z krakowskiej grupy „Wiara i Tęcza”. – Od wielu lat czytam jego książki. Zawsze wtedy czuję bliskość Henriego, jego przyjacielską troskę i pomoc w przeżywaniu własnej samotności i tęsknoty. Trzymałem na biurku jego fotografię, nieraz dzieliłem się jego tekstami na spotkaniach naszej grupy.

Henri Nouwen poprosił kiedyś Roberta Lentza o namalowanie dla siebie ikony, która symbolizowałaby złożenie w ofierze jego seksualności i oddanie Chrystusowi. Tak powstał wizerunek Chrystusa Oblubieńca, na którym umiłowany uczeń Jan składa głowę na ramieniu swego Mistrza. Podobno Nouwen umieścił ją tuż nad swoim łóżkiem, by spoglądać na nią przed snem i zaraz po przebudzeniu.

– Ikona Chrystusa Oblubieńca przypomina o heroicznej postawie wierności w dochowaniu przyrzeczenia celibatu, wynagrodzonej miłością, która daje pokój serca. Ta miłość może dzisiaj dawać siłę homoseksualnym kobietom i mężczyznom – dodaje Artur Kapturkiewicz. – Duchownym, żeby żyć bezpośrednio przykładem Henriego. Świeckim, żeby dochować wierności swoim partnerkom i partnerom, żonom i mężom. Żeby budować miłość na całe życie. Bardzo potrzebujemy tej nauki, której nikt nam nie zaofiarował. Kościół boi się nawet słów „lesbijka”, „gej”, „biseksualny” i „transpłciowy”. Jak więc może uczyć nas pięknego życia?

Anioł i stara puszka

– Czy obrazy Roberta Lentza można nazywać ikonami? Ikona to coś więcej niż obraz religijny. Ikona jest miejscem objawienia. W założeniu ma być nośnikiem dogmatu. I choć obrazy Lentza w estetyce nawiązują do stylu ikon, a nawet zawierają elementy kanonu, to wyrażają bardzo indywidualne doświadczenie Boga, a nie objawioną i obiektywną prawdę o nim – mówi o. Jan P. Strumiłowski, mnich z klasztoru cystersów w Jędrzejowie, teolog, który razem z Nadią Miazhevich prowadzi blog „Okno” wprowadzający w sztukę czytania ikon. – Ikona służy do wyrażenia prawdy, która nie jest tylko moją subiektywną i cząstkową prawdą. Jest moja, o ile ją przyjąłem przez wiarę.

– Autorem ikony nie jestem ja jako osoba pisząca ikony ani żaden ikonograf – dodaje Nadia Miazhevich. – Autorem ikony jest Kościół. Ja tylko wyrażam tę prawdę, która w Kościele została już odkryta i ukształtowana.

– Oczywiście to żaden problem, żeby on takie obrazy ikonopodobne tworzył – wyjaśnia o. Jan. – Problem jest wtedy, jeśli zaczniemy je traktować na równi z ikonami kanonicznymi. Nawet jeśli jego obrazy łamią pewne konwencje, to są wyrazem jego poszukiwania Boga, odkrywania Boga w swoim doświadczeniu. I dzięki temu mogą stać się inspiracją dla innych, by w swoim życiu zacząć Boga szukać. Należy jednak pamiętać, że jest to droga jedynie ludzka, a więc omylna.

W 2003 r. Robert Lentz po wielu latach ponownie zapukał do drzwi zakonu franciszkanów. Dziś żyje we wspólnocie w Waszyngtonie i nadal tworzy swoje ikony.

Jedną z nich jest wizerunek Serafina wykonany ze złota na zardzewiałej pokrywie od puszki.

– Boża chwała jest tak samo w pięknie zardzewiałego żelaza, jak i w drogocennych drobinkach złota – wyjaśnia z uśmiechem Lentz. – Twarz Boga można zobaczyć w najzwyklejszych rzeczach – dodaje. – Tych najbardziej zaniedbanych, najbardziej pogardzanych.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Korzystałam z wypowiedzi Roberta Lentza udostępnionych na stronie robertlantz.com oraz z książki „Christ in the Margins” autorstwa Roberta Lentza i Edwiny Gateley.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

Duch na stadionie

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

**Czy wygrana którejś z drużyn może być „sprawą Boga”?
Postawienie tego pytania każe być sceptycznym wobec idei
„duchowego adoptowania” polskich piłkarzy.**

INICJATYWA DUCHOWEJ ADOPCJI REPREzentanta portalu Deon.pl wzbudzała kontrowersje od początku. Wbrew temu, co pisali sami autorzy pomysłu, zinterpretowano ją w dużej mierze jako zachętę do modlitwy o wygraną polskiej drużyny narodowej na mundialu. Widać z tego – podobnie jak z niepowodzenia późniejszych wyjaśnień i *dementi* – że w powszechnej świadomości modlitwa musi być zawsze „o coś”, np. „o wygraną”. Przegrana z Senegalem całą sprawę teologicznie skomplikowała, a samą inicjatywę nieco skompromitowała: jak pisano w wielu miejscach, senegalscy szamani okazali się silniejsi od naszej modlitwy, a ich pogańscy bogowie od Boga.

Przegrana Argentyny z Chorwacją wprowadziła do tej teologiczno-sportowej debaty jeszcze jeden element. Klęska południowoamerykańskich piłkarzy to rzekomo klątwa Matki Bożej z Tilcary za niedotrzymanie złożonej w 1986 r. obietnicy przywiezienia jej pucharu zdobytego

w trakcie mistrzostw w Meksyku. Mówi się, że na boisku nie grają pieniądze, tylko sportowe umiejętności. A może jednak boisko sportowe to arena walki duchowej? Aż trudno nie zapytać, czy klątwa nie ciąży też na naszej reprezentacji?

Rzecz czcza

Muszę przyznać, że inicjatywa Deonu zraziła mnie przede wszystkim samą nazwą. Termin „duchowa adopcja” zadomowił się w języku kościelnym jako odnoszony do modlitwy w intencji ocalenia i urodzenia dzieci poczętych, których życie jest zagrożone. To ważna i już dobrze ugruntowana inicjatywa modlitewna. Wykorzystanie tego samego terminu wobec piłkarza wydało mi się jednak niestosowne. Trudno na tej samej płaszczyźnie stawiać zagrożone życie i – jakby nie było – zabawę, której odmianą jest sport, choć czasami to zabawa bardzo poważna, bo angażująca całe narody i społeczności. Aż chciałoby się zacytować Ignacego Kra-

sickiego: „Dla was jest to igraszka, nam chodzi o życie”. Piłka nożna to jednak igraszka, choć za wielkie pieniądze i – jak to bywa – o politycznym zabarwieniu, wszak historia zna nawet wojny futbolowe. Wyzwała prawdziwe emocje, bywa piękna, ale jest to jednak „rzecz czcza” i nie wiem, czy należy do niej wzywać Imienia Bożego. To już wolę adoptowanie kardynałów na konklawe.

Deonowi oczywiście trzeba oddać sprawiedliwość: nie chodziło o modlitwę o wygraną, o mistrzostwo, o zwycięstwo polskiej ekipy. Chodziło o sportowców, o ludzi, o wsparcie dla nich. Skoro modlimy się o wsparcie w nauce, w pracy, to dlaczego nie w sporcie? Sami o to wsparcie proszą, wybiegając na murawę i czyniąc znak krzyża. Chodzi tylko o zachowanie proporcji.

Wbrew intencjom pomysłodawców Duchowa Adopcja Reprezentanta (DAR) przekształciła się jednak – w jej medialnym obrazie – w Narodową Modlitwę o Zwycięstwo. Niestety, pierwsze zwycięstwo nie przyszło. Senegal wygrał 2:1 i wtedy pojawiły się komentarze o nieskuteczności modlitwy, *ergo* słabości Boga, który winien stać za Polakami. W dyskusji pojawiał się argument, że modlitwa o wygraną jednych jest w konsekwencji modlitwą o przegraną drugich.

Czy takich modlitw się nie wznosi? I owszem, np. w czasie wojny. Przedmiotem takiej modlitwy jest jednak obiektywne dobro moralne: życie ludzi, istnienie narodu, ocalenie niepodległości. Nie wydaje mi się, ➔

→ że w tym samym porządku można usytuować wygraną w sporcie.

Bóg po naszej stronie?

I tutaj pojawia się najistotniejszy problem, jakim jest relacja między zmaganiem toczącym się na boisku a jego – że tak powiem – nadprzyrodzoną wersją, która dokonuje się w świecie duchowym. Przyznam, że nie mam na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Wolter powiedział, że „Bóg jest po stronie silniejszych batalionów”. W świeckiej wersji można powtórzyć za Wergiliuszem, że „szczęście sprzyja odważnym” (*Audaces fortuna iuvat*). Czy to szczęście, czy Bóg – chodzi o wsparcie udzielone tym, którzy są silniejsi, odważniejsi, lepiej przygotowani.

Ale koncepcja „walki duchowej” na stadionie może prowadzić do wniosku, że nie o sportowców tutaj chodzi, ale o jakąś – powiedzmy – walkę bogów. W Starym Testamencie wielokrotnie znajdujemy zapis, że oto „Bóg walczył za Izraela”. Walczył bowiem – jeśli można tak powiedzieć – w swojej sprawie, w sprawie narodu przez siebie wybranego. Czy wygrana którejś z drużyn może być „sprawą Boga”? No chyba że ktoś zechce potencjalną wygraną wpisać w teologię wybraństwa. Tylko że tak konstruowana teologia zaczyna się chwiać w przypadku przegranej, która całe wybraństwo stawia pod znakiem pytania.

Bliżej mi – gdyby sięgać biblijnego modelu interpretacyjnego – do obrazu proroka Eliasza i proroków Baala (1 Krl 18, 20-40), których było 450, a Eliaz ocalał jako

jedyny z proroków Pańskich. Sugerowanie duchowej wyższości senegalskich szamanów to najpierw sugestia, że oto w trakcie meczu Polska–Senegal Bóg walczył z jakimś Baalem, a po wtóre – że ów Baal, a przynajmniej jego prorocy okazali się silniejsi niż wszyscy, którzy podjęli się owej duchowej adopcji. I tak dochodzimy do teologicznego absurdu, do wizji na wskroś manichejskiej albo do sprowadzenia życia ludzkiego – jak to było w mitach greckich – jedynie do ziemskiego odbicia wiecznych walk, potyczek i igraszek niebiańskich bogów. Trudno się potem dziwić, że w internecie pojawiały się wezwania do intensywniejszej modlitwy przed meczem Polska–Japonia, by nie pokonali nas kapłani *shintō*. W ten sposób sami stajemy się winni ośmieszenia chrześcijaństwa i samego Boga.

Modlitwa jak negocjacje

Na koniec trzeba postawić pytanie o sens ewentualnej modlitwy o wygraną w meczu. Nie będę zbyt oryginalny w poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie i cytuję ks. dr. Grzegorza Strzelczyka, który w wywiadzie udzielonym Deonowi mówił: „Skuteczność modlitwy nie polega na tym, że są efekty. Modlitwa nie jest do tego. Modlitwa jest narzędziem zjednoczenia z Bogiem. Nie służy do załatwiania naszych doczesnych interesów. (...) Jeśli przesuwamy modlitwę i czynimy z niej narzędzie do uzyskiwania efektów w życiu doczesnym, ona nas odwraca od Boga. To augustyńska definicja grzechu: *aversio a Deum, conversio ad creaturam* [odwróce-

nie od Boga, zwrócenie ku stworzeniu]. Jeżeli my przesuwamy znaczenie modlitwy z bycia środkiem zjednoczenia z Bogiem w stronę bycia środkiem do uzyskiwania pewnych bonusów doczesności, robimy bardzo niebezpieczną rzecz. Strukturalnie odtwarzamy istotę grzechu”. Brzmi poważnie, bo odwraca utrwalony w nas model rozumienia modlitwy, który zbyt często ma charakter handlu.

Czy to unieważnia wszelką modlitwę prośby? Oczywiście, że nie. Jedynie każe ów przedmiot prośby usytuować w porządku zbawienia, a nie w porządku potrzeby doczesnej. Czasami się te porządki nakładają, co interpretujemy jako modlitwę wysłuchaną, ale czasami nie. To właśnie wtedy mówimy o modlitwie niewysłuchanej, co może prowadzić do frustracji, a nawet do odwrócenia się od Boga, którego bierzemy za nieczułego na nasze błagania.

Istotą modlitwy jest ostatecznie rozpoznanie siebie w porządku zbawienia, w Bożym zamyśle zbawczym wobec mnie. Inaczej przekształci się w duchowy szantaż wobec Boga. Modlitwa bez tej zbawczej perspektywy nabiera cech magicznych, gdyż jest próbą panowania nad Bogiem. Przekształca się w wymianę handlową, w której partnerzy używają nadprzyrodzonych argumentów niby w negocjacjach: z jednej strony pielgrzymka, a z drugiej klątwa. W ten sposób tworzy się magiczny krąg zależności, który nie ma nic wspólnego z wiarą w darmo dającego Boga.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

REKLAMA

Kraków

Jacek Majchrowski, Prezydent Miasta Krakowa i Stowarzyszenie Muzyki Polskiej zapraszają na
Jacek Majchrowski, Mayor of the City of Kraków and The Polish Music Association invite you to the

14. festiwal muzyki polskiej 14TH FESTIVAL OF POLISH MUSIC

KRAKÓW
3-22.07.2018
www.fmp.org.pl

Inauguracja:

Krzysztof Penderecki
Polskie Requiem

Chór i Orkiestra Filharmonii
im. Karola Szymanowskiego w Krakowie,
Sinfonietta Cracovia,
Chór i Orkiestra Opery Wrocławskiej,
Marcin Natęcz-Niesiotowski,
Miranda Liu, Małgorzata Wasiucionek,
Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus,
Matteo Pagliari, Elżbieta Szmytka,
Su-Han Yang, Philipp Kopachevsky,
Capella Cracoviensis, Jan Tomasz Adamus
i inni

SZYMON

Hołownia:

Mamy swoje święto



29 CZERWCA W WATYKANIE KARDYNAŁSKI BIRET z rąk papieża Franciszka otrzyma jego jałmużnik, abp Konrad Krajewski. Dzień później metropolitalny palusz dostanie z kolei od papieża metropolita łódzki, Grzegorz Ryś. Tego dnia wieczorem w Watykanie

nie wydana zostanie okolicznościowa kolacja, na której – obok gości nominatów – podjęci zostaną rzymscy bezdomni. Zaproszenia na czwartkowy konsystorz rozprowadzane są wśród ubogich na rzymskich dworcach. Ja zaś gorąco trzymam kciuki za kardynała Konrada, by udało mu się wcielić tego dnia w życie pewien pomysł na rozwiązanie istotnego (z punktu widzenia watykańskiej mechaniki) problemu. To bowiem jeden z nielicznych znanych mi hierarchów niemający sekretarza (niektórym biskupom rzeczywiście jest potrzebny; znam jednak i takich, dla których to wyłącznie oznaka statusu; pozwalają, by młody ksiądz marnotrawił swoje kapłaństwo na podawanie biskupowi). A sekretarz jest w czasie wręczania biretu, bulli i pierścienia logistycznie niezbędny. Zacieram ręce na myśl, że niespodzianka się uda i w świat pójdzie kolejny czytelny sygnał: marzenie Franciszka o „Kościele ubogich” wciela się w życie. Przy najmniej tam, gdzie są ci dwaj, Franciszek i ksiądz Konrad – powiedzmy to sobie szczerze – niemający na watykańskim wzgórzu przesadnie wielu fanów.

Pamiętam rozmowę, jaką parę lat temu miałem w Tegucigalpie, stolicy Hondurasu, z kard. Óscarem Rodríguezem Maradiagą (salezjaninem, teologiem, muzykiem, psychologiem, pilotem), jednym z najwybitniejszych przedstawicieli latinoamerykańskiego episkopatu. Od dawna przyjacielem (ale z pewnością nie klakierem) obecnego papieża, powołanym przez niego do koordynowania prac rady przybocznej papieża, tzw. grupy K9. Było to za czasów Benedykta XVI. Na moje sugestie, że chyba czas na odeuropeizowanie i odbiurokratyzowanie Watykanu, kardynał reagował śmiechem i pytaniem, czy naprawdę chciałbym widzieć jego odciętą głowę płynącą Tybrem.

Dziś, w książce „Solo il Vangelo è rivoluzionario” (Tylko Ewangelia jest rewolucyjna) mówi wprost o bałaganie, korupcji, dworsko-korporacyjnej mentalności, które przeżerały Kurie Rzymską od czasów po śmierci Pawła VI, przez erę Jana Pawła II, charyzmatycznego przywódcy, który nie miał serca do nadzorowania biurokracji, a kulminację osiągnęły za Benedykta XVI, który widząc, że nie jest w stanie wygrać z perfekcyjnie zorganizowaną grupą karierowiczów, krętaczy i lizusów, ostatecznie dał im mata (koniec pontyfikatu to automatyczna dymisja wyższych watykańskich urzędników). Kard. Maradiaga, porównując dwa ostatnie konklawe, w których uczestniczył, podaje ciekawą myśl, wskazując jeszcze jeden powód, dla którego rewolucyjny wybór kard. Bergoglia na papieża był moż-

liwy (jak twierdzą jego biografowie, również po śmierci Jana Pawła II „był w grze”, w jednym z ostatnich głosowań miał zdobyć 40 głosów): na drugim konklawe nie było podniosło-nostalgicznej atmosfery żałoby po zmarłym papieżu. Kardynałowie wiedzieli, że te wybory nie mogą być kolejnym misterium kreowania kontynuacji, że tu potrzebna jest rewolucja, bo nie można wyobrazić sobie głębszego kryzysu rzymskiej instytucji niż ten, który *de facto* skłania następcę Piotra do rezygnacji. Wiedzieli, że muszą wybrać nie tyle kolejnego patriarchę rodu, co reformatora.

I wybrali. Papieża zupełnie „innego sortu”, z drugiej półkuli, kultury, teologicznej metody, pastoralnego stylu. W obiegowej refleksji wybrane przezeń imię kojarzy się z ubóstwem i prostotą świętego z Asyżu, zbyt rzadko pamiętając, że przecież miał on też usłyszeć w objawieniu słowa Boga: „Franciszku, idź odbuduj mój Kościół, bo popada w ruinę!”, i to był początek jego nowej drogi. Kard. Maradiaga, znający Jorgego Bergoglia od lat, mówi, że widzi, iż dla jego przyjaciela wybór na papieża też był nowym początkiem. Że nigdy nie widział go tak otwartym, radosnym, czułym – kościelny lider, apostoł ubogich, asceta, na Watykanie zamienił się w ojca.

I wciąż nie mogę się nadziwić, jak wielu szczerze go tu za to nienawidzi. Jak pełne czystego jadu rzeczy potrafią mówić o papieżu (ale i o jego jałmużniku). Jak walczą o te swoje barwne szatki, o to, by podczas Eucharystii stanąć wyżej, przekonani, że „są z zawodu dyrektorem”. Papież Franciszek bije ich po najczulszym miejscu każdego karierowicza – po ambicji, ma alergię na kościelne „książątka”. Niektórzy mają tyle odwagi, by przeciwstawić się otwarcie (jak kardynał Burke, którego kard. Maradiaga nie oszczędza, mówiąc o nim jako o kimś, „kto pragnął władzy, ale ją stracił”). Większość robi to, co tacy ludzie robią zawsze: obtaczają gładkie słowa w cukrze kościelnych zachwytów, i wiją się w pokornych ukłonach, a za plecami tworzą koterie, plotkują, nakręcają obstrukcję, biorą na przeczekanie i tego „tymczasowego” papieża, i jego jałmużnika, który każdym swoim gestem i słowem wywołuje wyrzut sumienia (i chęć do działania) u tysięcy ludzi, mnie z tego grona na sekundę nie wyłączając.

Ja naprawdę doskonale rozumiem tych, którzy mają ochotę rzucić Kościół, patrząc na watykańskie bagienko. Albo – u nas – na odrażające polityczno-majątkowe gry toczone przez medialnego demiurga polskiej sceny, ojca Tadeusza Rydzika, przy kompletnej bezradności polskiego Episkopatu. Ja też mam odruch wymiotny po każdej kolejnej próbie wciskania ludziom tych wierutnych bzdur, że „partia z Kościołem, Kościół z partią”, i że nie tylko papież, ale i pewnie sam Jezus autoryzuje z nieba wszystkie jej poczynania. Myślę też jednak, że jest nas w tym Kościele – i księży, i świeckich – dość, i dostatecznie dużo każdy z nas w nim przeżył, by nie dopuścić do tego, by ci ludzie zabrali nam radość Ewangelii. Niech sobie, jawnie i za plecami, plują na Franciszka, niech „przytulają” w zamian za propagandę robioną władzy kolejne dziesiątki państwowych milionów i przeżywają młodzieńcze ekstazy u boku ministrów – my jutro i pojutrze mamy swoje święto. W sercu Kościoła powszechnego staną dwaj łodźnicy (jeden z urodzenia, drugi z nominacji), którzy – gdyby byli jedynymi członkami tego Kościoła – to już byłby wystarczający powód, by w tym Kościele z nimi zostać. By za nimi iść, bo ci nie znają innego kierunku, nie mają innej ambicji, innego hobby niż Jezus. ©

PEJZAŻ PO KATASTROFIE

Przez ostatnie ćwierć wieku, zwłaszcza po debacie o Jedwabnem,
tworzyliśmy w USA coraz lepszy obraz Polski.
Po nowelizacji ustawy o IPN nasza praca legła w gruzach.

JOANNA NIŻYŃSKA

FALA EMOCJI ZWIĄZANA Z USTAWĄ O IPN W POLSCE JUŻ OPADŁA, ale Polakom mieszkającym w Stanach i zaangażowanym w dialog polsko-żydowski upływ czasu pokazał tylko rozmiar strat. Nasze emocje wciąż pozostają żywe: gniew, żal, frustracja i głębokie rozczarowanie Polską, poczucie, że obecny rząd rzucał w błoto nasze wieloletnie zaangażowanie. Naszą misją było przecież mądre pokazywanie Polski Amerykanom, czyli kontekstualizowanie jej historii i kultury tak, aby ludzie, którzy niewiele o niej wiedzą, spojrzeli na nią wychodząc poza utrwalone stereotypy.

Nowelizacja odświeżyła wizerunek Polaka-antysemity funkcjonujący od wielu dekad, ale nieco już w ostatnich latach osłabiony. Trudno powiedzieć, ilu lat będzie trzeba, żeby wrócić do stanu sprzed ustawy. Nawet jeśli rząd naprawi oficjalne stosunki dyplomatyczne ze Stanami i z Izraelem, i tak w tym zwykłym, ludzkim wymiarze, w tym „jak się mówi o Polsce” po drugiej stronie oceanu, straty wydają się katastrofalne.

Rząd „dobrej zmiany” pokazał, że nie ma pojęcia o dyplomacji; nie rozumie roli i znaczenia tzw. *soft power*, czyli ludzi i instytucji, które zmieniają *status quo* i wpływają na opinię publiczną za pomocą kultury, edukacji i perswazji. Poczucie zaufania między społecznością polską i żydowską, mozolnie budowane od końca lat 80., w przeciągu kilku tygodni runęło jak domek z kart. Odnoszę wrażenie, że dziś znowu jesteśmy przed przełomem spowodowanym przez klasyczny już tekst Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, opublikowanym przez „Tygodnik” w 1987 r.

Wspólnota bolesnej pamięci

Jeszcze jakieś 20 lat temu, kiedy pisałam doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA), często, jak tylko

moje polskie pochodzenie wychodziło na jaw, spotykałam się z niechęcią czy wręcz agresywnymi postawami ze strony Żydów amerykańskich. Słyszałam szokujące antypolskie zdania. Raz takie sformułowanie: „Polska? Mój dziadek mawiał, że powinna służyć jako poligon dla pershingów”. To był niby żart. Jeśli w jednym zdaniu pojawiał się Holokaust i Polacy, to zazwyczaj nie po to, by mówić o polskich Sprawiedliwych – chętnie nawiązywano do „Shoah” Claude’a Lanzmanna i zawartego w tym filmie portretu polskich chłopów. Wiedza o warunkach okupacji niemieckiej w Polsce i poziomie terroru praktycznie nie istniała.

W Los Angeles w środowisku uniwersyteckim było wielu Żydów, więc rozmowy o kontaktach polsko-żydowskich należały do codzienności, a nie socjologicznej abstrakcji, którą ten temat pozostaje dla ogromnej większości Polaków. Miałam wielu żydowskich przyjaciół, kolegów z pracy, studentów. Nie były to łatwe rozmowy. Chodziło w nich zresztą bardziej o emocje niż o poglądy, o ogromne poczucie krzywdy, gorycz rozczarowania. Czułam w tych rozmowach, że czas dzielący nas od Zagłady nie naruszył nieufności wobec Polaków. Przypominało to odwrócenie zasady domniemanej niewinności: Polak był winny antysemityzmu, dopóki nie udowodnił swojej niewinności.

Kiedy po doktoracie zaczęłam pracować na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu Harvarda, moja odpowiedzialność nie ograniczała się już do osobistych reakcji podczas trudnych rozmów. W tak wieloetnicznym i wielowyznaniowym społeczeństwie jak amerykańskie nie sposób omawiać jakąkolwiek kulturę bez uwzględnienia jej kultur mniejszościowych, bez mówienia o tzw. tożsamościach złożonych. Tematy współistnienia Polaków i Żydów oraz polsko-żydowskiej tożsamości pojawiały się więc na moich seminariach w sposób naturalny. Pamiętam em-

Doświadczenie drugiego

Ludzie nie spotykają się na poziomie debat historycznych i statystyk mierzących dobro i zło zbiorowości. Nie myślą o sobie samych w kategoriach narodu. Spotykają się na dużo prostszych, ale i głębszych poziomach, na których trzeba otworzyć się na doświadczenie drugiego. Dopiero przebywając wspólnie w tych rejonach, możemy się przygotować do prawdziwej dyskusji, która obu stronom pozwoli zrozumieć zawiłości historii, stanąć twarzą w twarz z faktami, które wcześniej wypierano, wyjaśnić, czego o sobie nie rozumiemy.

patię rosyjskiej doktorantki, która podczas omawiania debaty o Jedwabnem, wyczuwając, jak trudne jest dla mnie mówienie o Polakach jako sprawcach pogromu, powiedziała: „ile ja bym dała, żeby taka debata mogła odbyć się w Rosji, żeby Rosjan stać było na taką odwagę”. Pamiętam, jak po analizie tekstu Błońskiego pewien Izraelczyk stwierdził ze smutkiem, że „to bardzo szlachetny tekst, ale my wciąż jesteśmy w nim tylko gośćmi, wciąż nie do końca u siebie”.

Pamiętam również reakcję znanej amerykańskiej profesorki żydowskiego pochodzenia, Ruth Wisse, specjalistki od kultury jidysz. Kiedyś weszliśmy na temat wojennego doświadczenia Żydów w Polsce, stosunku Polaków do Żydów i stereotypu „Polaka-antysemity”. Przez dwie godziny rozmawialiśmy o tym, co te sprawy znaczą dla mojego pokolenia Polaków, którego w oczach Ruth stałam się reprezentantką. Tłumaczyłam jej zawiłości sytuacji politycznej w PRL i komunistyczne manipulacje historią. Mówiłam, że moje pokolenie właściwie nie uczyło się o okupacyjnym losie Żydów jako odrębnej grupy, że byliśmy wychowani w kulturze, która homogenizowała polskie i żydowskie doświadczenie pod znakiem jednej i tej samej „polskiej” martyrologii. A jednocześnie byliśmy wychowani na Borowskim i Nałkowskiej. Tłumaczyłam, że nasza ignorancja w kwestiach żydowskich wcale nie oznaczała przypisywanej nam obojętności na los Żydów. Podobnie nie uczono, że historyczna postawa Polaków może być inna niż heroiczna. I choć teraz już wiem, co zostało wymazane na moich lekcjach historii i choć nie jestem Żydówką, to wciąż czuję, że należę do wspólnoty bolesnej pamięci.

Dla mnie te wszystkie bolesne komplikacje były oczywiste, jak się jednak okazało, Ruth nie miała o nich pojęcia. Nie wiedziała, że w polskich szkołach czyta się literaturę Holocaustu, i że polska młodzież jeździ do Auschwitz. Była przekonana, że szok spotkania z historią Szoa jest zarezerwowany w Polsce dla garstki Polaków żydowskiego pochodzenia. Dla Ruth było objawieniem, że Polka bez korzeni żydowskich może odbierać traumatyczną historię Żydów osobiście, że może się z nią emocjonalnie identyfikować. Dla mnie z kolei objawieniem było uświadomienie sobie, jak ważne jest dla drugiej strony, żeby doświadczenie Żydów nie zostało zawłaszczone przez inne grupy i rozmyte w sądach o uniwersalnym wojennym cierpieniu. Rozmowa pokazała mi, jak sztywne potrafią być podziały między pamięcią polską i żydowską. I jak Polakom trudno nawet wziąć pod uwagę, że ktoś może kwestionować ich prawo do wspólnej pamięci.



ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Gdy ludzie godzą się na prawdziwe spotkanie i uczciwy dialog, nie ma już miejsca na targowanie się, kto przecierpiał więcej (nawiasem mówiąc, czas, by Polacy zrozumieli, że w kolektywnym cierpieniu Żydów nie prześcigną), ani na forsowanie utopijnych narodowych wizji niewinności.

Racją najwyższą staje się bowiem konieczność empatycznego wysłuchania Innego jako Swojego. A przecież dla wszystkich Polaków historia Żydów polskich powinna być „swoją, polską” historią. Odczuwam zresztą spory dyskomfort, kiedy analogicznie do sformułowania „Żydzi amerykańscy” używam etykiety tożsamościowej „Żydzi polscy”. Uważam ją za mylącą i niesprawiedliwą. Mam przecież na myśli swoich rodaków i przyjaciół, których

→ tożsamość jest tożsamością z łącznikiem: są jednocześnie Polakami i Żydami.

Bez empatycznego wsłuchania się w głos drugiej strony, bez zgody, że będzie bolało, że obu stronom będzie czasem wstyd, nie ma pojednania. Jest tylko „kicz pojednania”, czyli powierzchowne załatwienie sprawy na potrzeby polityczne, na użytek międzynarodowego PR-u. Zastanawiam się, czy rozpoczęta w 2000 r. debata o Jedwabnem, która była dla naszego kraju szansą na przepracowanie stosunków polsko-żydowskich, została do końca wykorzystana. Ta debata nie wyszła poza elity, pozostała zamknięta w ramach klasowo wybrzmiewającej retoryki oświeceniowej, obecnej np. w przemówieniu prezydenta Kwaśniewskiego podczas uroczystości w Jedwabnem: ludzie oświeceni to ci, którzy prawdę o tamtej zbrodni przyjmują, zaś ciemnota to ci, którzy nie potrafią tej prawdzie spojrzeć prosto w oczy.

Świat zachodni słusznie odebrał debatę o Jedwabnem jako przejaw dojrzałości i odwagi Polaków, gotowości, by zmierzyć się z ciemną stroną własnej historii. Na arenie międzynarodowej staliśmy się wtedy prymusem wśród krajów postkomunistycznych. Jednak w kraju zostawiliśmy tzw. zwykłego człowieka z szokiem Jedwabnego samemu sobie. A przecież można się było spodziewać, że wśród osób wychowanych w heroiczno-martyrologicznym paradygmacie dumy narodowej nie pozostanie inna reakcja na wstyd i protekcyjnalne potraktowanie, jak gniew i zaprzeczenie. Takim reakcjom można było zapobiec akcjami oddolnymi, na które mieliśmy już wspaniałe społecznikowskie wzory. Wystarczy odwołać się do postaci Bogdana Białka, który długo przed publikacją „Sąsiadów” pracował w Kielcach nad przerwaniem milczenia o tamtejszym pogromie. Działały już wówczas wpływowe, choć stosunkowo nieduże, organizacje w rodzaju Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów czy Forum Dialogu. W 2000 r. zostawiliśmy jednak to, co miało być przełomem w polskiej świadomości narodowej do przepracowania nieprzygotowanemu społeczeństwu.

Byliśmy prymusami

Pamiętam sytuację z Harvardu, która dała mi wiele do myślenia na temat roli ciekawości w stosunkach polsko-żydowskich. Od Izraelczyka specjalizującego się w literaturze jidysz dostałam świetną pracę semestralną, opisującą entuzjastyczną recepcję w Izraelu „Lubiewa” Michała Witkowskiego. Kiedy rozmawialiśmy o przyczynach takiego przyjęcia prowokującej queerowej powieści, młody badacz wyjaśnił, że młodzi Izraelczycy „mają już dość literatury poholokaustowej z Polski”, że wcale nie chcą już tylko Polski w kontekście Zagłady. Są ciekawi, jak się w niej żyje.

Zastanowiła mnie odległość dzieląca potrzebę wzajemnego zrozumienia, emocje stanowiącą oś mojej trudnej rozmowy z Ruth, od ciekawości tego studenta. To jest właśnie przestrzeń, w której mogą rozwinąć się zdrowe stosunki polsko-żydowskie. Takiej ciekawości, która potrafi być również terapeutyczna, wciąż brakuje.

Nasze wewnętrzne zaniedbania nie zmieniają jednak faktu, że po drugiej stronie oceanu, przez lata dzielące nas od upadku

Debatę o Jedwabnem
nagłaśniano w amerykańskiej
prasie jako triumf
polskiej demokracji.
To swoisty paradoks,
że międzynarodowy prestiż
czasami łatwiej budować
na skrusze winowajcy
niż niewinności ofiary.

komuny, w sferze kultury pamięci budowaliśmy coraz lepszy wizerunek. Debatę o Jedwabnem nagłaśniano w amerykańskiej prasie jako triumf polskiej demokracji. Wydawałoby się, że samo przywołanie wydarzenia historycznego, w którym Polacy występują w roli przesładowcy, uaktywni istniejące już antypolonizmy, a stało się dokładnie odwrotnie. To swoisty paradoks, że międzynarodowy wizerunek czasami łatwiej buduje się na skrusze winowajcy niż niewinności ofiary. Podręcznikowym przykładem są tu Niemcy i sposób, w jaki przekształcili swoje powojenne bankructwo moralne w kapitał symboliczny: oto państwo,

które walczy z mrocznym dziedzictwem i dba, by podobna historia nie przydarzyła się innym. Przypadek Polski był inny, bo też i polska historia – wojenna i powojenna – oceniana w kraju, a dla świata pisana głównie przez pojałtańskich zwycięzców, była mniej znana niż historia nazistowskich Niemiec.

Nastawienie amerykańskich Żydów do Polaków po 1989 r. ewoluowało powoli, ale wyczuwalnie. Zaczęli jeździć do Polski już nie tylko po to, żeby odwiedzić Auschwitz, lecz także, by zwiedzić Kraków, Warszawę czy Łódź i poczuć w nich historię żydowskiego życia na polskich ziemiach, a nie tylko samej śmierci. Amerykańscy studenci zaczęli się interesować pobytami w Polsce, zaś polskie uniwersytety wyszły tej potrzebie na przeciw, tworząc programy poświęcone kulturze i historii Żydów polskich specjalnie dla grup anglojęzycznych. W Stanach z kolei aktywnie działały polskie instytuty kultury, które sprowadzały naszych luminarzy kultury i organizowały doskonałe wydarzenia kulturalne. Ludzie, którzy to robili, często mieli na uwadze właśnie uaktywnienie polsko-żydowskich kontaktów. Jednostki akademickie i poszczególni wykładowcy *Polish studies* robili swoje.

Skumulowany efekt tych wysiłków był coraz bardziej widoczny. Wszystko to razem stanowiło *soft power*, która łagodnie, ale konsekwentnie zmieniała stereotypowy wizerunek Polski antysemickiej.

Nowelizacja ustawy o IPN była katastrofą. Nie potrafię pojąć, jak można było rozpocząć tak poważną kampanię wizerunkową bez konsultacji z ludźmi, którzy tamtą rzeczywistość znają od podszewki.

Ludzie, nie naród

Gdy jestem w kraju, widzę hasła faszystowskie na Marszu Niepodległości i słyszę o „żydowskich parchach”. Wracam na drugą stronę Atlantyku i muszę znaleźć sposób, żeby spokojnie odpowiadać na pytania o antysemityzm Polaków. „Sпокойnie” w tym przypadku określa taką odpowiedź, która bierze pod uwagę fakty historyczne, rozróżnia między społeczeństwem, narodem i państwem, a przede wszystkim – nie pali mostów. Bez względu na to, jak prywatnie oceniam postawę Polaków w czasie Zagłady i co myślę o postawie aktualnego rządu polskiego, bez względu również na to, jak osądzam zachowanie strony amerykańskiej, wiem, że na posługiwanie się pewnymi kategoriami nie możemy sobie pozwolić. Nie możemy sobie pozwolić na wielkie kwantyfikatory, przede wszystkim na kate-

gorię „narodu”, którą próbuje przywrócić ostatnio zarówno Padraic Kenney (uznany historyk, który w felietonie „Wina, wojna, naród” w „Kulturze Liberalnej” znalazł gorzki powrót do kategorii narodu w myśleniu o współudziale Polaków w Zagładzie), jak i zwolennicy ustawy (choć oczywiście w odwrotnych celach).

To tylko zakłóca komunikację między różnymi społecznościami. Posługując się tą kategorią, trudno też uczyć studentów krytycznego myślenia i odpowiedzialności za swoje czyny. Jeśli jakieś pojęcie antagonizuje i wyklucza z rozmowy, to czy warto się nim posługiwać?

Nie chodzi mi tutaj o zakłamywanie czy łagodzenie historii, aby stała się mniej traumatyczna i kontrowersyjna, tylko o większą odpowiedzialność za słowo i świadomość, do kogo i po co mówimy. Tylko wtedy będziemy w stanie jako społeczeństwo poddać krytycznej refleksji nasze traumatyczne dziedzictwo czasów Zagłady.

Częścią tego dziedzictwa jest „uwikłany świadek”, czyli świadek, który ani nie popełnił zbrodni, ani nie wykazał się bohaterstwem. Patrzył i przeżył. Ale chociaż przeżył, to nie wyszedł z tego patrzenia bez szwanku. Nie jesteśmy bowiem tylko z narodu szmalcowników i bohaterów, lecz również z narodu, który do dzisiaj nie przepracował swojej „winy patrzenia” na zagładę sąsiadów.

Żyjemy z brzemieniem nieprzerobionej pamięci uwikłanych świadków cudzej śmierci. Nie udało nam się tego brzemienia przekuć na historycznie dojrzałą tożsamość. Wiele czasu i pracy jeszcze potrzeba, zanim Polacy oddadzą Żydom moralne pierwszeństwo głosu w sprawie Zagłady. Wiele czasu jeszcze upłynie, i wiele trzeba będzie wykonać pracy, zanim amerykańscy Żydzi, którzy Polskę widzą tylko przez pryzmat traumatycznych opowieści rodzinnych, zrozumieją, że 19 kwietnia to bolesna data również w wielu polskich kalendarzach. Że obwarowując pamięć tylko dla siebie, odbierają szansę i sobie, i innym na wspólnotę innego rodzaju, na nowy rozdział wzajemnych relacji.

Nie tylko wstyd

Odnoszę wrażenie, że prawie dwie dekady po publikacji „Sąsiadów” Jana Grossa wchodzimy w drugą fazę debaty o Jedwabnem. Jest nią rozliczanie Polaków ze stosunku do Żydów podczas okupacji oraz zaraz po jej zakończeniu. Głośne rewizjonistyczne prace historyczne spotykają się z ogromnym zainteresowaniem środowisk naukowych i opiniotwórczych. Obawiam się jednak, że – podobnie jak po publikacji „Sąsiadów” – dyskusja o stosunkach polsko-żydowskich nie wyjdzie poza przewidywalny krąg odbiorców, od dawna tymi sprawami zainteresowanych.

Najprawdopodobniej ta nowa faza debaty nie skłoni do refleksji przeciętnego Polaka, który historię zna głównie ze szkolnych podręczników i uroczystości rocznicowych. Wypadki (i wpadki) ostatniego miesiący są kolejnym przypomnieniem, że najwyższy czas, abyśmy przemyśleli polską edukację historyczną. Powinna ona kształtować umiejętność przyglądania się historii bez strachu, otwartość na spotkanie z róż-

Każdy, kto cokolwiek wie o historii, rozumie, że **to nie narody mordują i nie narody ocalają.**

Gdy chodzi o czyny heroiczne i zbrodnicze – istnieją ludzie.

Musimy uczyć młodzież o ludziach, nie narodach.

norodnością doświadczeń i ciekawości innego.

Jeśli chcemy jednak dokonać rewizji powszechnie przyjętej wersji wydarzeń, to nie możemy jej opierać jedynie na poczuciu wstydu, jakkolwiek by to było uzasadnione badaniami historycznymi. Wstyd wywołuje bowiem postawy defensywne i najczęściej przynosi skutki odwrotne do zamierzonych.

Nie oznacza to jednak, że mamy naszą historię wybielać w imię lepszego samopoczucia. Wszechobecny w polityce historycznej partii rządzącej nacisk na kategorię „narodu polskiego”, którego heroizmu rzekomo nie rozumie świat, jest

tragicznym w skutkach pomieszaniem pojęć. Raczej musimy znaleźć taką optykę, która pozwoli polskiemu społeczeństwu spojrzeć na bohaterów i zbrodniarzy bez odruchu zbiorowej identyfikacji. Przecież my tymi ludźmi nie jesteśmy – ani ich zbrodnie nie są naszą winą, ani wielkość zasług. Nasza odpowiedzialność dotyczy tylko (i aż) otwartości na przyjęcie spadku historycznego z całym dobrodziejstwem i potwornością inwentarza.

Każdy, kto cokolwiek wie o historii, rozumie, że to nie narody mordują i nie narody ocalają. Gdy chodzi o czyny heroiczne i zbrodnicze – istnieją tylko ludzie. Musimy więc uczyć młodzież o ludziach, nie narodach. W tym nie pomoże nam ani metanarracja o narodowej niewinności, ani druzgocące rewizjonistyczne podejście. Wzmacniając i tak silną skłonność do kolektywnej identyfikacji, przestajemy uczyć, na czym polega jednostkowa odpowiedzialność. Nieustępliwy rewizjonizm, niezbędny w środowisku naukowym, w szerszym dyskursie publicznym może powinien być przemyślany, często bowiem prowadzi do postawy defensywnej, do strachu przed wstydem kolejnej historycznej rewelacji. Strach i wstyd uruchamiają z kolei mechanizmy kompensacyjne, politycznie instrumentalizowane, czego dowodem jest retoryka „wstawania z kolan”.

Już zaczęli nas słuchać

Musimy znaleźć zatem praktyczne sposoby na uczenie patriotyzmu krytycznego. Musimy liczyć się ze zbiorowymi emocjami i pamiętać, że mechanizmy obronne działają u wszystkich, bo są po prostu częścią ludzkiej psychiki. Nie dziwny się, że Żydzi bronią nieraz agresywnie swojej pamięci, pamięci ofiary, w którą jesteśmy jako Polacy uwikłani na najróżniejsze sposoby. Nie oczekujemy zrozumienia, bo ono nam się wcale automatycznie nie należy, zwłaszcza jeśli odmawiamy wysłuchania innych, zasłaniając się drzewkami w Yad Vashem.

Jeśli chcemy, żeby świat nas wysłuchał, musimy najpierw wziąć swoją własną historię „na klatę”. Kiedy przestaniemy się jej bać, inni będą gotowi wysłuchać naszych opowieści. Właściwie już zaczęli nas słuchać, jednak sami postanowiliśmy im w tym przeszkodzić.

© JOANNA NIŻYŃSKA

Autorka jest profesorem wydziału slawistyki Indiana University w Bloomington, wykładała literaturę polską na Uniwersytecie Harvarda, wydała po polsku m.in. książkę „Królestwo mało znaczącości. Miron Białoszewski a trauma, codzienność i queer”.

CZY MERKEL PRZETRWA

Spór o politykę migracyjną grozi rozpadem rządu Niemiec. Trzy lata po szczycie kryzysu uchodźczego radykalizują się społeczne nastroje i polityczne dyskusje.

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z BERLINA



WOLFGANG SCHÄUBLE SIEDZI NA wózku inwalidzkim w foyer Paul-Löbe-Haus. Ten długi na 200 m i wysoki na siedem pięter gmach mieści tysiąc biur posłów Bundestagu i ich pracowników oraz 20 sal posiedzeń, ale przeszkolone ściany odejmują mu ciężkości. Przez sufit wpada światło, minęła dopiero osiemnasta. Tego dnia, w czwartek 14 czerwca, słońce zajdzie w Berlinie o godzinie 20.54.

„Dziś był szalony dzień” – Schäuble odrywa wzrok od kartki i potrząsa głową. Tego nie było w jego przemówieniu, przygotowanym na tę okazję, czyli otwarcie corocznej imprezy dla młodych stażystów Bundestagu z całego świata. Na wózku porusza się od 1990 r., gdy dosięgły go trzy kule chorującego psychicznie zamachowca. Dziś jest prezydentem Bun-

destagu, w którym ma najdłuższy staż ze wszystkich posłów: zasiada w nim nieprzerwanie od 1972 r., przez większość 75-letniego życia.

Otwierając przyjęcie Schäuble sugeruje, że chętnie zostałby i napił się piwa. Nic dziwnego. Dwa razy stawał tego dnia między rozpalonymi frontami sporu o migrację, by uspokoić dyskusję zagrażającą rządowi Niemiec.

Jeden punkt sporny

Cofnijmy się o kilkanaście godzin.

W tygodniu posiedzeń Bundestagu czwartek jest zwykle dniem głosowań. Zaskakuje więc, gdy tego dnia tuż przed 11.30 frakcja CDU/CSU prosi o przerwanie obrad – chce odbyć wewnętrzne posiedzenie. Jeszcze bardziej dziwi, że „siostrzane” partie (CSU działa tylko w Bawarii, CDU w pozostałych 15 landach) zbierają się na osobnych spotkaniach.

Trudno przypomnieć sobie, kiedy ostatnio posłowie CDU i CSU obradowali oddzielnie. Dwie chadeckie partie tworzą wspólną frakcję od pierwszych wyborów do zachodnioniemieckiego parlamentu w 1949 r. „Unia”, jak Niemcy nazywają w skrócie CDU/CSU, wspólnie wystawia kandydata na kanclerza i poza krótkim kryzysem w 1976 r. rozwiązywała wewnętrzne spory drogą kompromisu.

Ale obecnej eskalacji należało się spodziewać. Od kilkunastu dni liderzy CDU i CSU publicznie spierają się o plan reformy polityki migracyjnej autorstwa Horsta Seehofera, ministra spraw wewnętrznych i przewodniczącego CSU. Od dawna żąda on od kanclerz Merkel reform. Atmosfera zaostrza się od początku czerwca, gdy na jaw wychodzi mord w Wiesbaden: zginęła 14-letnia Susanna F., podejrzanym jest 21-letni Irakijczyk Ali B.

63-punktowy plan Seehofera ma ograniczyć liczbę osób przybywających do Niemiec i przyspieszyć procedury azylowe oraz deportacje tych, którzy ochrony tu nie otrzymają. Na główny punkt sporny wyrasta jeden punkt: Seehofer chce na niemieckiej granicy zatrzymywać tych, którzy złożyli już wniosek o ochronę w innym kraju. Według unijnych przepisów o azyl należy się ubiegać zaraz po przekroczeniu granicy strefy Schengen, czyli zwykle we Włoszech i Grecji. Od kilku lat uchodźcy zmierzają jednak głównie do Niemiec.

Niemiecka kanclerz w drodze na posiedzenie swojej partii, Berlin, 18 czerwca 2018 r.

Aby zrozumieć skalę problemu: spośród 198 tys. ludzi, którzy w 2017 r. złożyli wniosek o azyl w Niemczech, 42 tys. były już wcześniej zarejestrowane w innym kraju i powinny być tam odesłane – ale doszło do tego tylko w 7 tys. przypadków. Seehofer argumentuje, że po wypuszczeniu do Niemiec ciężko jest odesłać ich z powrotem, z powodów formalnych i prawnych, więc najlepiej zatrzymać już na granicy.

Merkel jest przeciw. Krytykuje takie jednostronne działania i chce rozwiązać problem wspólnie z innymi krajami. Seehofer nie ustępuje, bo popiera go już nie tylko cała CSU, ale coraz więcej polityków CDU. „Na europejskie rozwiązanie czekamy już dwa lata. Teraz musimy działać sami” – portal tygodnika „Die Zeit” cytuje posła CSU.

Seehofer grozi zagranicą *va banque*. Jako szef MSW mógłby wprowadzić swój plan w życie samodzielnie, ale wtedy Merkel miałaby powód aby go zdymisjonować. To mogłoby prowadzić do rozpadu frakcji, koalicji i rządu.

Granica jako symbol

Na zamkniętym posiedzeniu CDU pierwszy po Merkel zabiera głos Schäuble. „Mówię wyraźnie, że popieram stanowisko kanclerz” – miał powiedzieć według mediów. Sam w ostatnich latach nieraz krytykował politykę migracyjną Merkel, teraz demonstracyjnie staje po jej stronie. Zmienia to atmosferę na sali i CDU udaje się tego dnia utrzymać wspólną linię. Ale nie ustępuje też CSU. Te nerwowe dni kończą się krótkim odroczeniem konfliktu: Merkel dostaje dwa tygodnie, do szczytu Unii 28 i 29 czerwca, na znalezienie rozwiązania.

Plan Seehofera to *de facto* atak na politykę migracyjną Merkel, którą bawarczycy krytykują już od 2015 r. Ale są przynajmniej trzy powody, dla których ten spór eskaluje teraz.

Po pierwsze, 14 października w Bawarii odbędą się wybory do lokalnego parlamentu. W tym konserwatywnym landzie CSU rządzi nieprzerwanie od 1957 r., przez większość tego czasu samodzielnie. Ale liberalna polityka migracyjna Merkel sprawiła, że część wyborców odwraca się od CSU na rzecz radykalnie antyuchodźczej Alternatywy dla Niemiec (AfD). Sondaże w Bawarii dają dziś CSU 40 proc. poparcia, a AfD 12 proc. Kilka procent może zdecydować, czy CSU znów utworzy w Monachium samodzielny rząd.



→ Już po wyborach do Bundestagu w 2017 r. CSU przeforsowała w umowie koalicyjnej z CDU oraz z socjaldemokratami (SPD) zapis, że liczba nowych uchodźców nie może przekroczyć rocznie 180-220 tys. osób. Bawarczykom trudno to jednak sprzedać jako sukces, bo po zawarciu przez Unię umowy z Turcją w 2016 r. do Niemiec i tak dociera mniej ludzi (łącznie w 2015 i 2016 r. wnioski o azyl złożyło aż 1,2 mln osób, w 2017 r. było ich 222 tys.). Teraz, przed wakacyjną przerwą, Seehofer potrzebuje wyraźnego sukcesu. Kontrole na granicy świetnie się do tego nadają, bo działają na wyobraźnię wyborców.

Drugi powód też jest polityczny i dotyczy Merkel. To zapewne jej ostatnia kadencja. Półroczny proces budowania rządu po ostatnich wyborach pokazał, że politycznie jest bardzo osłabiona. Wśród chadeków należy zatem oczekiwać dalszych walk o schedę po niej oraz walk o dalszy kierunek partii, w której wielu chce skrócić „na prawo”. Migracja – najbardziej sporny aspekt jej spuścizny – jeszcze długo będzie używana do ataków na kanclerz.

Czas refleksji

Trzecia okoliczność jest taka, że w Niemczech trwa zasadniczy spór o decyzję Merkel z 4 września 2015 r., gdy postanowiła otworzyć niemiecką granicę dla uchodźców z Syrii, którzy utknęli w Budapeszcie. Nie należy spodziewać się rozstrzygnięcia tej dyskusji: to jedno z tych wydarzeń, o które społeczeństwa kłóć się latami, bo pod pozorem prostym pytaniem – czy otwarcie granicy było dobrą decyzją – kryją się spory o historię i tożsamość.

W ostatnich miesiącach media szeroko donoszą o przestępstwach popełnionych przez imigrantów (zwłaszcza serii morderstw i gwałtów) i nieprawidłowościach związanych z procedurami azylowymi. Choć przypadki te dotyczą zdecydowanej mniejszości uchodźców, naruszają poczucie bezpieczeństwa – rzecz fundamentalną w hierarchii wartości Niemców – i dla wielu układają się w narrację o bezsilnym państwie.

Szczególnie głośne są sprawy, gdy uchodźcy lub odrzućci azylanci atakowali kobiety przy urzędniczej niemocy. Przykładem proces Afgańczyka Husseina Khavarię, który w 2016 r. zgwałcił i zabił we Freiburgu 19-letnią studentkę Marię Ladenburger. Podczas procesu wyszło na jaw, że w 2014 r. został skazany w Grecji na 10 lat więzienia za atak na kobietę,

Wewnętrzny kryzys może zmusić Angelę Merkel do europejskich reform, których dotąd unikała.

ale wyszedł w ramach amnestii i w 2015 r. dotarł do Niemiec. Tu podał się za nieletniego, a nieznający jego przeszłości urzędnicy umieścili go w rodzinie zastępczej. Zbrodni dokonał, gdy czekał na decyzję o azylu. W marcu dostał dożywocie.

Na jaw wyszły też ostatnio nieprawidłowości w delegaturze Federalnego Urzędu ds. Migracji i Uchodźców w Bremie (w skrócie: BAMF), którego kierowniczka w 1200 przypadkach wydała decyzje azylowe z pominięciem procedur. Choć od dawna wiadomo, że BAMF był w szczycie kryzysu przeciążony, a rzecz dotyczy jednej delegatury, podejrzenie korupcji wpisuje się w narrację, że państwo zawiodło.

Większość za deportacjami

Krytycznie dyskutowana jest też rola mediów. Już rok temu zbliżona do koncernu IG Metall Fundacja Otto Brennera krytykowała w raporcie pracę gazet w 2015 r. „Zamiast krytycznie obserwować politykę i organy wykonawcze z pozycji neutralnych obserwatorów, dziennikarstwo informacyjne przejmowało poglądy i slogany politycznej elity”, pisał prof. Michael Haller, jeden z autorów badania, w którym przeanalizowano 30 tys. artykułów.

Zdaniem autorów raportu zbyt wiele było w mediach bezkrytycznego zachwytu nad „polityką gościnności” i opisu wydarzeń z perspektywy polityków, a za mało z perspektywy zwykłych Niemców. Dziennikarze przyjmowali częściej rolę pedagogów wobec czytelników niż krytyków wobec polityków. Krytyczne głosy szybko były posądzane o bliskość do skrajnej prawicy. Moralizatorski ton utrudniał, i w niektórych przypadkach nadal utrudnia, obiektywną debatę.

Na ten grunt padła na początku czerwca informacja o śmierci 14-letniej Susanny. Po dwóch tygodniach poszukiwań zaginionej dziewczyny policję powiadomił inny uchodźca, któremu Ali B. przyznał się do morderstwa. Wprawdzie sprawca zdążył uciec do północnego Iraku, ale zatrzymały go kurdyjskie służby bezpieczeń-

stwa i deportowały do Niemiec. Także ta historia pokazuje problemy niemieckiego systemu: dziewięcioosobowa rodzina Alego B. przybyła do Niemiec w październiku 2015 r. i choć ich wnioski o azyl odrzucono pod koniec 2016 r., to w styczniu 2017 r. odwołali się i odtąd sprawa czekała na ponowne rozpatrzenie.

Takie przypadki sprawiają, że większość Niemców popiera propozycje Seehofera. 62 proc. badanych uważa za słuszne odsyłanie na granicę tych uchodźców, których zarejestrowano już w innym kraju. Aż 86 proc. zgadza się też na bardziej konsekwentne deportacje osób, których wnioski azylowe odrzucono.

Od kryzysu do reform

W Europie na sile zyskują zwolennicy zaostrzenia polityki migracyjnej. Seehofer otrzymał już poparcie austriackiego kanclerza Sebastiana Kurza (postulował niedawno utworzenie „osi” między Berlinem, Wiedniem i Rzymem dla zwalczania nielegalnej imigracji). Merkel szuka więc wyjścia: chce zawrzeć dwustronne umowy z tymi, którzy mogliby przyjąć część uchodźców z Niemiec. Odraczając spór z Seehoferem, ruszyła do europejskiej kontrofensywy: tak można rozumieć jej spotkanie z Emmanuelem Macronem w podberlińskim Mesebergu, na którym uzyskała poparcie od prezydenta Francji. W zamian ostrożnie poparła – proponowane od dawna przez Macrona – utworzenie wspólnego budżetu dla strefy euro. Oboje chcą też budowy jednolitego unijnego systemu azylowego. Wewnętrzny kryzys może zatem zmusić Merkel do europejskich reform, których dotąd unikała.

Choć rozmowy będą się toczyć głównie między krajami strefy euro, w szukającym poparcia Berlinie rośnie gotowość do wysłuchiwanie argumentów środkowoeuropejskich stolic. Świadczy o tym porzucenie pomysłów rozdzielenia uchodźców według unijnego klucza, zablokowane przez Polskę, Węgry, Słowację i Czechy.

W ostatnich miesiącach to właśnie Schäuble kilkakrotnie zabierał głos w obronie ich pozycji. „Jeśli nawet mamy inne zdanie niż nasi wschodnioeuropejscy sąsiedzi, powinniśmy mimo to słuchać ich i traktować poważnie ich obawy – mówił w wywiadzie dla dziennika „Tagesszeitung”. – Nie wolno dopuścić do ponownego podziału Europy na Wschód i Zachód. Choć wiele rzeczy w Europie nam się nie podoba, nie powinniśmy zapomi-

nać, że Unia Europejska przewyciężyła zimnowojenne podziały”.

Minuta ciszy

To, jakie niebezpieczeństwa niesie dyskusja o migracji, widać tego czwartego poranka w Bundestagu, na dwie godziny przed eskalacją sporu CDU i CSU. Po otwarciu sesji Schäuble zabiera głos w sprawie wcześniejszego wystąpienia Thomasa Seitz z AfD, który próbował zarządzić minutę ciszy dla uczczenia pamięci Susanny F. bez konsultacji z innymi frakcjami.

Seitz wyszedł na środek sali podczas dyskusji nad porządkiem obrad i po krótkiej przemowie demonstracyjnie zamilkł. Zaskoczeni posłowie innych frakcji przerwali krótką ciszę, bo minutę ciszy może zarządzić tylko prezydium Bundestagu. Prowadząca obrady Claudia Roth z partii Zielonych nakazała Seitzowi opuścić mównicę.

Film z tego zdarzenia AfD umieściła na Facebooku z opisem: „Oglądajcie i przekazcie dalej: demaskująca reakcja Claudii Roth i innych frakcji!”. Do końca minionego tygodnia odtworzono go 1,9 mln razy. Roth otrzymała tysiące pogróżek. „Ciebie bydlę powiesimy na fortepianowej strunie na rzeźnickim haku” – oto jedna z nich.

Schäuble krytykuje taktykę AfD. „Naszym obowiązkiem jest wyciągnąć naukę z doświadczeń naszej historii i tego, jak łatwo nieodpowiedzialne kłótnie mogą prowadzić do nienawiści i eskalacji przemocy. To, co tu mówimy i jak się zachowujemy, ma wpływ na debatę publiczną w naszym społeczeństwie” – mówi, a z ław AfD słysząc krytyczne komentarze, bo jej politycy to siebie widzą jako ofiary: Merkel, uchodźców i mediów.

Ale Schäuble kontynuuje, apelując o rozagę: „Musimy zachować umiar, aby nie zatruć politycznego i społecznego klimatu w naszym społeczeństwie. Z korzyścią dla niemieckiego narodu, który mamy obowiązek reprezentować”.

Tymczasem spór Merkel-Seehofer trwa. Czy Angela Merkel przetrwa ten największy kryzys w swej kanclerskiej karierze? Rozstrzygnięcie wkrótce.

© GRZEGORZ SZYMANOWSKI

Tekst ukończono w czwartek 21 czerwca wieczorem.

„Mułła Radio” zamilkł. Tym razem na zawsze

WOJCIECH JAGIELSKI

Śmierć Fazlullaha – ściganego listami gończymi emira pakistańskich talibów – ogłaszano już wiele razy. Gdy w końcu zginął – trafiony rakietą z amerykańskiego samolotu – nie było wiadomo, czy można w to wierzyć.

BURZLIWE ŻYCIE TEGO POBOŻNEGO MUŁŁY komendanta mogłoby posłużyć za przypowieść o losach pasztuńskich plemion z afgańsko-pakistańskiego pogranicza. O tej, zdawałoby się, przeklętej krainie oraz o ludziach skazanych na wojny, fanatyzm, zdradę, nędzę i poniewierkę.

Zginął w środku nocy, tuż po kolacji spożytej z partyzantami w górskim obozowisku, po afgańskiej stronie granicy. Tak jak muzułmanie na całym świecie, talibowie obchodzili ramadan, miesiąc postu, podczas którego od świtu do zmierzchu nie wolno jeść ani pić i dopiero po zmroku można zasiąść do wieczerzy. Po posiłku i naradzie Fazlullah pożegnał się i zbierał do drogi. W tym momencie auto, w którym siedział, trafiły amerykańskie rakiety. Razem z emirem zginęła jego gwardia przyboczna, najwierniejsi towarzysze broni, bez których nie ruszał się na krok. Jeszcze przed świtem, zgodnie z islamskim obrządkiem, wszystkich pogrzebano na pobliskim cmentarzu.

„Mułła Radio”

Emir musiał się spodziewać, że śmierć przyjdzie po niego w taki sposób. W lutym wystrzelone amerykańskie rakiety roztrzaskały auto, którym jechał jego zastępca Sadžna Mehsud. W marcu Amerykanie zabili – sądząc, że strzelają do emira – jego syna Abdullaha wraz z dwoma tuzinami partyzantów. Wytropili go w afgańskim Kunarze, górzystym i lesistym, gdzie po ucieczce z leżącego za miedzą Pakistanu Fazlullah rozbił partyzancki obóz.

Od amerykańskich rakiet zginęli też obaj jego poprzednicy: pierwszy emir pakistańskich talibów Bajtullah Mehsud (w 2009 r.) i jego następca Hakimul-

lah (w 2013 r.). A także komendant Nek Mohammed (w 2004 r.), który był dla nich obu wzorem. Żaden nie dożył czterdziestki. Tymczasem Fazlullah liczył już 44 lata. W marcu za jego głowę Amerykanie wyznaczili 5 mln dolarów nagrody. Taka fortuna nawet świętego mogła zwieść na pokuszenie.

– Zanim nie zaczął wojny i nie ogłosił go emirem, mało kto u nas o nim słyszał. Akurat ja go znałem, bo jego stryj pracował u mnie jako stróż nocny – opowiadał mi przed laty o mulle Fazlullahu Nissar Chan, potomek chanów z pasztuńskiego plemienia Jusufzajów, zamieszkującego dolinę Swatu i Malakand. – W mieście miano go za dziwaka, ale po wsiach ludzie go słuchali i mu wierzyli. Zwłaszcza kobiety. Oddawały mu klejnoty, a on kupował za nie karabiny. Przewalali go „Mułłą Radiem”, bo założył rozgłośnię i nadawał przez nią swoje kazania, w których wzywał do świętej wojny.

Pasztuńskie rezerwy

Nissara Chana poznałem w Mingorze, dokąd przyjechałem w orszaku weselnym jako gość znajomego pasztuńskiego dziennikarza. W dolinie Swatu, zielonej i spokojnej, będącej do niedawna ulubionym miejscem odpoczynku dla pakistańskich wojskowych, urzędników i kupców, trwała wojna. Żołnierze nie wpuszczali tam cudzoziemców, a partyzanci wszystkich obcych mieli za szpiegów i wrogów.

Nissar Chan, kuzyn pana młodego, dla Fazlullaha i jego mudżahedinów miał tylko pogardę i niechęć. Uważał ich za parweniuszy i uzurpatorów. Tak samo myśleli malikowie i serdarowie [rozmaitej rangi wodzowie, starszyzna plemienna – red.] Jusufzajów i innych pasztuńskich →

→ plemion z obu stron afgańsko-pakistańskiej granicy.

Pasztunowie – podobnie jak Afganistan – nigdy tej granicy nie uznali. Wykreślił ją arbitralnie na mapie brytyjski dyplomata sir Mortimer Durand. Oni uważają ją za koronny dowód krzywd, jakich doznali od obcych. Brytyjczykom, władcom Indii, nigdy nie udało się podbić wojowniczych Pasztunów, postanowili więc się z nimi dogadać. Rozdzielili ich ziemie, by z południowej ich części stworzyć strefę buforową, strzegącą Indii przed zakusami Rosji. Ale obiecali Pasztunom, że jeśli wyrekną się napaści na kupieckie karawany i kolumny wojsk na przełęczach Hindukuszu, to zostawią ich w spokoju i nie będą się wtrącać w ich sprawy.

W rezultacie na pasztuńskich ziemiach nie pojawili się poborcy podatków, sędziowie, policjanci ani partie polityczne (nie urządzano tam wyborów, posłów do parlamentu wyznaczały wodzowie). Ale nie zawitała też nowoczesność wraz z jej wynalazkami. Dolina Swatu, Malakand, Kohat czy Dir zostały włączone do pakistańskiego państwa, ale i tak zachowały szeroką autonomię. Resztę Terytoriów Wolnych Plemion Pasztuńskich rozwiązano dopiero niedawno, w maju 2018 r., i wcielono do prowincji Pasztuńsko-Chajberskiej, jednej z czterech, jakie składają się na Pakistan (pozostałe to Pendżab, Sindh i Beludżystan).

Pozostawione same sobie Terytoria Wolnych Plemion Pasztuńskich przepoczwarzyły się w rezerваты, w których obowiązywało wyłącznie plemienne prawo pasztunwali i Koran, a władzę sprawowała rodowa starszyzna, nadzorowana tylko przez urzędników przysyłanych z Islamabadu. Jedynym konkurentem chanów do rządu dusz nad Pasztunami byli mułlowie, wspierani dyskretnie przez kolejne pakistańskie rządy, lękające się groźby pasztuńskiej irredenty i zabiegające, aby braterstwo wiary przeważało u plemieńców nad więzami krwi.

Marny dowódca, świecący kaznodzieja

Najlepszą pożywką dla religijnego fanatyzmu okazały się afgańskie wojny, które toczą się nieprzerwanie już czwarte dziesięciolecie.

Pakistańscy wojskowi zawsze się w nich wtrącali – i zawsze wspierali w nich te afgańskie stronnictwa, które gorliwiej odwoływały się do religii. W latach 80. XX w.,

pomagając mudżahedinom i rozdzielając między nich amerykańskie dolary i wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, Pakistańczycy skrupulatnie pomijali monarchistów, ale nie zdarzało im się zostawiać z pustymi rękami zwolenników świętej wojny.

Afgańska wojna okazała się brzemiennea także dla losów mułły Fazlullaha z doliny Swatu. W tej z lat 80., z armią sowiecką, jeszcze nie walczył – był za młody. Bił się w niej za to jego nauczyciel i przyszyły teść – mułła Sufi Mohammed, który na czele własnego oddziału wyprawił się na afgańską stronę. Gdy jesienią 2001 r. na rządzących Afganistanem talibów uderzyli Amerykanie, mułła Sufi wybrał się znów na wojnę. Pasztuni z pakistańskiej strony granicy zawsze szli na pomoc rodakom z Afganistanu i przyjmowali ich w swoich wioskach, dawali schronienie i kryjówkę.

Po powrocie z wyprawy wojennej przeciw Sowietaom, upojony dżihadem Sufi zaczął zaprowadzać – na czele własnego wojska – boże porządki w dolinie Swatu. W swych medresach wychowywał uczniów na mudżahedinów, gościł afgańskich talibów, a także partyzantów z indyjskiej części Kaszmiru, Arabów z terrorystycznej międzynarodówki Al-Kaidy.

Rządzący z Islamabadu pozwalali mu na wszystko, póki zadowalał się własnym podwórkiem, tj. doliną Swatu. Gdy jednak po inwazji Amerykanów na afgańskich talibów wyruszył wraz Fazlullahem (już zięciem) za miedzę, by wspierać talibów, po powrocie do domu został przez Pakistańczyków aresztowany i skazany na siedem lat więzienia. Fazlullah także wylądował za kratami. Ale po półtora roku wyszedł na wolność – i przejął po teściu meczety, medresy oraz wojsko. Założył też własną rozgłośnię – tę, dzięki której zyskał przydomek. Podobnie jak teść, „Mułła Radio” okazał się marnym żołnierzem i jeszcze gorszym dowódcą, ale świetnym mówcą i fanatycznym kaznodzieją.

Fazlullah i jego dolina

Kontynuując dzieło teścia, „Mułła Radio” przerobił dolinę Swatu na wzór i podobieństwo Afganistanu pod rządami talibów – z policją obyczajową, kamieniowaniem cudzołożników, publiczną chłostą, obowiązkowym rozdziałem płci, zakazem muzyki i wszelkiej rozrywki. Buntował nawet chłopów przeciw kampanii szczepień przeciwko polio, prowadzonej przez pakistański rząd i zachodnich

lekarzy. Wmówił mieszkańcom doliny, że szczepienia są spiskiem niewiernych, mającym uczynić muzułmanów bezpłodnymi. Wzorując się na afgańskich talibach, próbował nawet wysadzić w powietrze siedmiometrowy, wykuty w skałę posąg Buddy.

Pod rządami Fazlullaha dolina Swatu stała się jednym z emiratów pakistańskich talibów, jakich wiele wyrosło w tamtych czasach na Terytorium Wolnych Plemion Pasztuńskich. Tworzyli je muzułmańscy duchowni, wspierający afgańskich braci i udzielający im u siebie schronienia.

Ówczesny prezydent Pakistanu, wojskowy dyktator generał Pervez Musharraf, patrzył na to przez palce. Postawiony pod murem przez Amerykanów zgodził się pomóc im w wojnie z afgańskimi talibami, których przez całe lata wspierał. Żał mu jednak było wytracić niedawnych protegowanych. Bał się też narazić rodzimym mułłom, którzy w 2002 r. – na fali powszechnej w Pakistanie niechęci do USA – wygrali wybory stanowe i przejęli władzę w Prowincji Granicznej (dziś Pasztuńsko-Chajberskiej) oraz weszli do koalicyjnego rządu w Beludżystanie.

W Pakistanie mówiono w tamtych latach, że ojcem chrzestnym wyborczych sukcesów miejscowych mułłów był Musharraf, który wspierał ich dyskretnie przeciwko starym świeckim partiom, aby przekonać Zachód, iż pospieszne wprowadzenie demokracji poskutkuje dojściem do władzy religijnych fanatyków.

Pakistańska wojna domowa

Pod koniec 2007 r., idąc za radą afgańskich braci, pakistańscy talibowie postanowili się zjednoczyć i utworzyć własny emirat. Na pierwszego przywódcę wybrali Bajtullaha z plemienia Mehsudów z Południowego Waziristanu. Dolina Swatu została przyłączona do tego talibskiego emiratu. A gdy władze z Islamabadu, naciskane przez Amerykanów, postanowiły w końcu ukroczyć samowolę mułłów, talibowie i Fazlullah wydali im otwartą wojnę.

Pakistańscy żołnierze, posłani do pacyfikowania Terytoriów Wolnych Plemion Pasztuńskich, ginęli w zasadzkach i zamachach. Zamachowcy-samobójcy detonowali bomby w Karaczi, Islamabadzie, Peszawarze.

W grudniu 2007 r., w przeddzień wyborów i powrotu do władzy, w zamachu zginęła Benazir Bhutto, najbardziej znana z pakistańskich polityków.





Mufta Fazlullah (w środku, z podniesioną ręką) ze swoimi partyzantami, zdjęcie niedatowane

Po latach oszacowano, że w prawie 10-letniej wojnie z talibami w Pakistanie zginęło ponad 50 tys. ludzi, a ponad dwa miliony straciły dach nad głową. W Islamabadzie uznano to za najgorszą katastrofę humanitarną od czasu rzezi religijnych z 1947 r., jakie towarzyszyły narodzinom tego kraju po podziale brytyjskich Indii.

Na początku wojny partyzanci „Mufta Radia” nie wpuścili pakistańskiego wojska do doliny Swatu, a nawet sami ruszyli do natarcia. Gdy podeszli pod miasto Buner, odległe już tylko o kilka godzin jazdy autem od Islamabadu, generałowie uznali, że żarty się skończyły. Do ofensywy na Swat ściągnięto najlepsze oddziały z granicy z Indiami (w pewnej chwili w wojnie z talibami uczestniczyło ponad 100 tys. żołnierzy, jedna czwarta pakistańskiej armii). W 2009 r. „Mufta Radio” i jego partyzanci opuścili dolinę Swatu i uciekli do Nuristanu, tuż za afgańską miedzę. Jego rozgłośnia przestała nadawać.

Rozpad talibskiego emiratu

Z afgańskich kryjówek talibowie „Mufta Radia” przekradali się na pakistańską stronę, by zabijać lokalnych wodzów układających się z władzami, podkładać bomby i urządzać zasadzki. W jednej, w czerwcu 2012 r., wzięli do niewoli i następnie ścięli 17 pakistańskich żołnierzy. Jesienią 2012 r. emir osobiście wydał wyrok śmierci na 15-letnią Malalę Jusufzaj, która stała się symbolem walki o prawo dziewcząt do nauki. Ciężko ranna w głowę Malala przeżyła zamach, a w 2014 r. została nagrodzona Pokojowym Noblem.

W 2013 r. partyzanci „Mufta Radia” zabili pakistańskiego generała, który dowodził pacyfikacją doliny Swatu.

Dwa miesiące później rakiety z amerykańskiego samolotu bezzałogowego zabiły Hakimullaha, naczelnego emira pakistańskich talibów. Jego następcą został wybrany niespodziewanie „Mufta Radio”. Szybko okazało się, że jego awans to początek upadku pakistańskich talibów: ich zjednoczony emirat się rozpadł.

Najpierw odłączyli się Mehsudowie – z nich wywodzili się dwaj pierwsi emirowie, więc ani myśleli słuchać rozkazów Jusufzajów, których mieli za zniechęcających mędrków. Potem odeszli Wazirowie, rywalizujący z Mehsudami o miano najwaleczniejszych wśród Pasztunów. Potem służbę „Mulle Radiu” wypowiedzieli talibowie z Kurramu, Mohmandu, Chajberu, Orakzaju, Badżauru, Peszawaru. Gromieni przez pakistańskie wojsko, wybijani przez amerykańskie bezzałogowce, przemakali na afgańską stronę, przystając do tamtejszej filii tzw. Państwa Islamskiego (tego znanego Tygrysu i Eufratu).

Upadek pakistańskich talibów przypieczętowała ich jedyna w zasadzie zbrojna operacja, przeprowadzona na rozkaz nowego emira. W grudniu 2014 r. na polecenie „Mufta Radia” zamachowcy zaatakowali szkołę w miasteczku garnizonowym w Peszawarze. Zginęło ponad 150 osób, głównie uczniów. Pakistańscy wojskowi poprzysięgli „Mulle Radiu” i jego talibom zemstę.

Dokonał jej teraz amerykański samolot bezzałogowy.

Kto i w co wierzy

Emir pakistańskich talibów zginął ostatniego dnia ramadanu, w przeddzień pierwszego w tej wojnie trzydniowego zawieszenia broni, ogłoszonego wspólnie przez kabulski rząd i talibów na Święto Przerwania Postu, Id al-Fitr. Korzystając z zapadłej na frontach ciszy, liczni talibowie mogli – bez broni – po raz pierwszy od lat odwiedzić rodzinne miasta i wioski. Świat obiegły zdjęcia partyzantów i ich wrogów, afgańskich żołnierzy, wymieniających świąteczne uściski i pozdrowienia. Pojawiły się przepowiednie, że ten rozejm może przerodzić się w trwały pokój.

Z wieścią o śmierci „Mufta Radia” afgański prezydent Aszraf Ghani zadzwonił do pakistańskiego premiera Nasira ul-Malikiego. A także do dowódcy pakistańskiej armii gen. Kamara Javeda Bajwy, który kilka dni wcześniej gościł w Kabulu i rozmawiał z Afgańczykami i Amerykanami o szansach na pokój z talibami. W telefonicznych rozmowach z Pakistańczykami afgański prezydent wzywał, aby i oni wyświadczyli mu przysługę i doprowadzili afgańskich talibów do stołu rokowań.

Afgańczycy i Amerykanie od lat mają pretensje do Pakistanu, że choć jest ich sojusznikiem w wojnie z talibami, to za razem im pomaga. Pakistańczycy odwzajemniają się żalami, że wskutek przymierza z USA afgańska wojna przelała się do ich kraju. Oskarżają też Afgańczyków, że dają schronienie pakistańskim talibom i wysługują się nimi, by szkodzić Islamabadowi. Twierdzą, że Amerykanie wycofali swe wojska z afgańskich przygranicznych prowincji Kunar i Nuristan już w 2009 r., by oddać je na górskie kryjówki pakistańskim talibom i „Mulle Radiu”. Pakistańczycy, dzielący rodzimych talibów na „dobrych” (wspierających afgańskich braci) i „złych” (zwalczających pakistańskie państwo) utrzymywali nawet, że Amerykanie specjalnie zabili Hakimullaha, by zastąpić go „Muftą Radiem”, będącym – według nich – marionetką afgańskiego wywiadu.

W Pakistanie, gdzie ludzie nie dają wiary w zbiegi okoliczności, nie brak teraz głosów, że śmierć „Mufta Radia” – z rąk Amerykanów na prośbę Afgańczyków – mogła być z ich strony podarkiem dla Pakistańczyków na Święto Przerwania Postu. Aktem dobrej woli i chęci pojednania. A także zachętą, by licytację krzywd i pretensji zastąpić licytacją przysług – wzajemnych i dla wszystkich korzystnych.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Dzieci w internowaniu

JAN SMOLEŃSKI

Historia z rozdzielaniem rodzin migrantów skupia jak w soczewce wszystkie kłopoty administracji Trumpa: niechęć do ustępstw i brak profesjonalizmu, podlane sosem z rozdętego ego prezydenta.

PO WIELOKROTNYCH ZAPEWNIENIACH, że tylko Kongres może powstrzymać odbieranie dzieci rodzicom, których straż graniczna USA zatrzymała pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy z Meksykiem, w minionym tygodniu prezydent Donald Trump w końcu podpisał rozporządzenie mające zakończyć ten proceder.

Dokument to niejasny: nie wspomina o już odebranych dzieciach, zaś jego skutki mogą być niezgodne z prawem – w USA nie wolno przetrzymywać dzieci w areszcie przez długi czas, nawet z rodzicami. Administracja Trumpa musiałaby więc wypuszczać zatrzymane rodziny, a to z kolei jest sprzeczne z polityką „zera tolerancji”, ogłoszoną w kwietniu przez szefa Departamentu Sprawiedliwości Jeffa Sessionsa.

A to właśnie decyzja Sessionsa była pierwotną przyczyną rozdzielania rodzin.

Oburzenie rosło stopniowo. Z każdym doniesieniem medialnym opinia publiczna w USA była coraz bardziej zszokowana. Najpierw okazało się, że straż graniczna odbiera dzieci zatrzymanym rodzinom. Potem, że dzieci trzymane są w klatkach (temu określeniu nie sprzeciwiła się nawet sama straż). W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że odbierane są nawet niemowlęta; najmłodsze miało osiem miesięcy. W sumie taki los spotkał ponad 2300 dzieci.

Niechlubne dziedzictwo

Zdjęcia dzieci przetrzymywanych za drucianą siatką zestawiano z fotografiami dzieci w obozowych pasiakach za drutami niemieckich kacetów. Zapytany o to porównanie, Sessions stwierdził, że jest nieuzasadnione, gdyż „nazistom chodziło o to, by powstrzymać Żydów przed wyjazdem”, a administracji Trumpa chodzi o przeczecie o to, by migrantów powstrzymać przed wjazdem, tych zaś, którzy wjechali, deportować.

Nie trzeba porównać do nazistowskich kacetów – przypadek ten przywołuje skojarzenia z najbardziej haniebnymi epizodami w historii USA. Przed wojną secesyjną (1861-65) niektórzy biali hodowali swoich czarnych niewolników tak, jak dziś hoduje się rasowe psy lub konie wyścigowe. „Krzyżowali” ze sobą mężczyzn i kobiety o pożądanym cechach, a ich potomstwo wykorzystywali na plantacjach lub sprzedawali. Celem był oczywiście zysk.

Dzieci były odbierane również rdzennym Amerykanom. Wysyłano je do szkół z internatem, gdzie miały zostać „ucywilizowane”. Był to eufemizm określający odcięcie ich od kultury przodków. Taka praktyka – obok eksterminacji, przesiedleń i przymusowej sterylizacji kobiet – była elementem ludobójstwa dokonanego na rdzennych Amerykanach.

George Takei, aktor znany z serialu „Star Trek”, napisał, że podczas internowania Amerykanów japońskiego pochodzenia w czasie II wojny światowej przynajmniej nie rozdzielano rodzin. To prawda, choć i tu są paralele: wtedy też tłumaczono, że internowani mają się dobrze, a dzieci są pod wyjątkowo dobrą opieką.

Nie bez znaczenia jest element rasowy: za każdym razem chodziło o osoby o odmiennym kolorze skóry, których nie uznawano za pełnoprawnych członków społeczeństwa USA. W tym kontekście oburzenie, jakie wywołało teraz odbieranie dzieci na granicy z Meksykiem, staje się bardziej zrozumiałe.

„To płaczący aktorzy”

Gdy w większości mediów w USA pojawiały się głosy oburzenia, skupiona wokół Fox News prawica – popierająca Trumpa – wyciągnęła znany arsenał przeinaczeń, oskarżeń i kpin.

Prezenter Steve Doocy stwierdził na antenie Fox News, że to, co widać na zdjęciach, to nie klatki, lecz boksy ze ścianami

z drucianej siatki. Nawet straż graniczna była innego zdania: w oświadczeniu niechętnie przyznała, że określenie „klatki” nie jest nietrafne – choć zaznaczono, że trzymani w nich ludzie nie są traktowani jak zwierzęta.

Z kolei Ann Coulter – dziennikarka publikująca m.in. na Breitbart News, zwolenniczka budowy muru na granicy z Meksykiem, krytykująca Trumpa za brak postępów w tej materii – powiedziała, również na antenie Fox News, że płaczące dzieci to aktorzy przeszkoleni przez lewicę i liberałów.

Natomiast Corey Lewandowski, były doradca sztabu wyborczego Trumpa, wyśmiał (także w Fox News) informację o odebraniu rodzicom dziesięcioletniej dziewczynki z zespołem Downa. Lewandowski dał się poznać jako mało taktowny polityk: pracę w sztabie stracił po tym, jak wyszło na jaw, że zaatakował fizycznie dwójkę dziennikarzy zadających Trumpowi niewygodne pytania. Ale lekceważenie dla cierpienia nie jest obce również osobom z prezydenckiego otoczenia: jeszcze w połowie maja szef personelu Białego Domu John Kelly stwierdził, że rozdzielanie rodzin nie jest okrutne, gdyż dzieci „trafią do rodzin zastępczych, czy gdzie tam”.

Co kogo obchodzi

Historia z rozdzielaniem rodzin pokazuje jak w soczewce wszystkie kłopoty, z którymi boryka się administracja Trumpa: niechęć do ustępstw i brak profesjonalizmu, podlane sosem z rozdętego prezydenckiego ego.

Od pewnego czasu Trump próbuje przekonać Kongres do sfinansowania budowy muru na granicy z Meksykiem, przeznaczenia większych środków na wzmocnienie kontroli granic i ograniczenia legalnej imigracji. Poparcia dla tych pomysłów nie udało się mu jednak zdobyć nawet we własnej Partii Republikańskiej, więc rozdzielanie rodzin – które, jak do ostatniej chwili przekonywał Trump, było wynikiem prawa przegłosowanego przez Partię Demokratyczną – miało być kartą przetargową. Chodziło o to, by doniesienia medialne zmusiły członków Kongresu do zgody na wszystkie postulaty prezydenta.

Do tego dochodzi ocierający się o amatorszczyznę brak spójnego stanowiska dotyczącego podjętych przez administrację decyzji i działań. Najpierw ogłoszono politykę „zero tolerancji”, której efektem było odbieranie dzieci. Gdy w mediach wybu-



HANDOUT / AFP / EAST NEWS

Jeden z ośrodków straży granicznej USA, w których przetrzymywane są dzieci oddzielone od rodziców, McAllen, Teksas, 17 czerwca 2018 r.

chła burza, Trump i Sessions twierdzili, że tylko egzekwują istniejące prawo. Potem doradczyni prezydenta Kellyanne Conway powiedziała, że nikt nigdy takich rzeczy nie mówił.

Szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Kirstjen Nielsen zaprzeczyła nawet sama sobie. Stwierdziła, że żadna polityka rozdzielania rodzin nie istnieje – podczas gdy kilka tygodni wcześniej przyznała, że jest to nieuchronny skutek wprowadzonej wiosną polityki „zera tolerancji” dla podejrzanych o nielegalne przekroczenie granicy.

W całym tym kontekście wizerunkowa wpadka z Melanią Trump w roli głównej – pierwsza dama pojechała odwiedzić ośrodki dla imigrantów-dzieci w kurtce z napisem „Mnie to naprawdę nie obchodzi. A Ciebie?” – wydaje się najmniejszym problemem. Choć i tu udało się wysłać dwie sprzeczne wiadomości. Otóż najpierw rzeczniczka Melanii stwierdziła, że kurtka to kurtka i doszukiwanie się w niej przesłań to nadinterpretacja. Potem sam Trump wyjaśnił, że napis na kurtce jednak niósł pewne przesłanie. Jego zdaniem pierwszej damie chodziło o media podające fake newsy. Melania miała zrozumieć, jak nieuczciwe są media, i to one już jej nie

obchodzą – tak napisał Donald na Twitterze.

Przerażająca, okropna, haniebna

To wszystko potwierdza rzecz już znana: polityka Białego Domu w dużej mierze jest dyktowana nie przez względy pragmatyczne, lecz przez ego Trumpa.

Ale zawsze idący w zaparte prezydent tym razem przecenił swą siłę przekonywania. Większość Amerykanów sprzeciwia się odbieraniu dzieci. Coraz wyraźniejsze jest też pęknięcie wśród Republikanów. Wcześniej za podejście do imigracji Trumpa krytykował republikański senator z Arizony Jeff Flake. Na fali doniesień o odbieraniu dzieci o krok dalej poszedł Steve Schmidt, były doradca Busha: w emocjonalnym wpisie na Twitterze oświadczył, że odchodzi z Partii Republikańskiej, i wezwał do głosowania na Demokratów w nadchodzących wyborach.

A to nie koniec. Religijna prawica, która dotąd wspierała Trumpa – mimo oskarżeń o jego napaści seksualne i romanse – skrytykowała odbieranie dzieci. Wielebny Samuel Rodriguez, który prowadził modlitwę podczas inauguracji prezydentury Trumpa, podpisał list, w którym politykę

rozdzielania rodzin nazwano „okropną”. Pastor Franklin Graham, kolejny wierny „trumpista”, określił ją jako „przerażającą” i „haniebną”. Episkopat katolicki i licząca 15 mln członków Południowa Konwencja Baptystyczna (największa protestancka denominacja w USA) też krytycznie odniosły się do tego proceduru.

Jesienne wybory uzupełniające pokażą, czy była to kropla, która przepełniła czarę. Pewne jest jednak, że walka o politykę imigracyjną w Stanach jeszcze się nie skończyła. Trump już wcześniej próbował wykorzystać osoby w trudnej sytuacji do rozgrywek – chodzi o tzw. marzycieli, czyli tych, którzy jako nieletni nielegalnie przyjechali do USA. Rozporządzenie z czasów prezydentury Obamy pozwalało im na zamieszkanie w Stanach bez groźby deportacji, jeśli zarejestrowali się w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zyskiwali też pozwolenie na pracę, choć nie była to droga do obywatelstwa. Trump cofnął to rozporządzenie, ale – na szczęście dla „marzycieli” – sąd uchylił jego decyzję.

Prezydent dotąd nie zbudował muru, który obiecał podczas kampanii. Niewykluczone, że znów wykorzysta najsłabszych jako zakładników w swojej grze. ©

Burza nad Dasziszą

TEKST I ZDJĘCIA
PAWEŁ PIENIAŻEK Z SYRII

Kurdyjscy i arabscy bojownicy z Syryjskich Sił Demokratycznych zajęli Dasziszę – kolejne miasto we wschodniej części kraju, które dotąd kontrolowało tzw. Państwo Islamskie. Cena zwycięstwa jest wysoka.

HUCZĄ MOŹDZIERZE, WYRZUCAJĄC z siebie kolejne pociski. Załogi działek przeciwlotniczych i ciężkich karabinów maszynowych DSzK ustawionych na pickupach, bojownik z karabinem na wieżyczce opancerzonego humvee – wszyscy ostrzeliwują wrogie pozycje oddalone o kilkaset metrów. Nad trafionymi budynkami unosi się dym. Ciągłe odgłosy strzałów i wybuchów niosą się po półpustynnej równinie, mieszają z warkotem helikopterów i odrzutowych samolotów, które krążą nad okolicą.

34-letnia Ronahî dowodzi Kobiecymi Jednostkami Ochrony (YPJ). Wchodzą one w skład Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), wspieranych przez międzynarodową koalicję ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Ronahî przyjechała z całym oddziałem bojowniczek. Trzy z nich stanowią obsługę jednego z karabinów maszynowych. – Daesh nie jest w stanie walczyć przeciwko nam, gdy dysponujemy taką bronią – mówi kobieta, używa arabskiego określenia na Państwo Islamskie (IS), o pejoratywnej konotacji.

Mimo trwających ostrzałów, nie czuć charakterystycznego napięcia czy strachu, typowych dla strefy wojennej. Akcja miesza się ze spokojem. Bojownicy SDF, kobiety i mężczyźni, siedzą spokojnie pod nielicznymi drzewami lub po prostu na piachu, czekają na rozkazy. Rozmawiają, śmieją się. Nie wyglądają na przejętych tym, co się dzieje dookoła. Nawet załogi na pickupach ciągle się podśmiewują, spo-



Kurdyjskie żołnierki z obsługi ciężkiego karabinu maszynowego, czerwiec 2018 r.



Żołnierki SDF czekają na rozkazy. Poniżej: żołnierze SDF w drodze na front pod Dasziszą.



kojnie ładują broń i nigdzie się nie spieszą. Wiedzą, że nic im nie grozi. IS, które w latach 2014-15 kontrolowało w Iraku i Syrii terytoria o powierzchni Wielkiej Brytanii, teraz jest niemal bezbronne.

WSPARCIE ZZA GRANICY Na linię frontu jechaliśmy w konwoju kilku pojazdów. Mnie wsadzają do transportera opancerzonego. SDF otrzymały go od amerykańskich sojuszników, podobnie jak wiele innego sprzętu i pojazdów.

Przed dotarciem na front zatrzymaliśmy się w jednej z baz, gdzie do operacji szykowali się żołnierze koalicji. Oficer prasowy od razu zastrzegł, że nie można ich fotografować, rozmawiać z nimi, a najlepiej w ogóle nie podchodzić zbyt blisko. Niektórzy mają przyłączone do hełmów lub mundurów naszywki YPG i SDF.

W 2014 r. Stany Zjednoczone postawiły na Kurdów i Kurdyjki z YPG (Powszechne Jednostki Ochrony) i YPJ.

W trwającej od 2011 r. wojnie w Syrii to oni okazali się najsukcesowniejszą siłą w walce z IS. Z czasem kurdyjskie oddziały zawiązały sojusz z arabskimi milicjami – to właśnie one tworzą dziś wspólnie SDF. Są wspierani z powietrza, ale też z lądu, przez międzynarodową koalicję. W Syrii znajduje się ok. 2 tys. amerykańskich żołnierzy, jest również kontyngent francuski.

Pozostałe państwa nie ujawniają informacji na temat obecności swoich żołnierzy. Nieoficjalnie bojownicy SDF przyznają, że w Syrii są także Brytyjczycy, a od niedawna również Włosi.

DŹIHADYŚCI „DOBRZY” I „ŹLI” 21-letni dowódca oddziału, który nosi imię „męczennika Nadala” („męczennikami” nazywają swoich poległych), przedstawia się jako Gabar Hasaki. To jedna z arabskich grup, walcząca pod sztandarem SDF. – Każdego dnia idziemy do przodu, aby wyzwolić nasze terytorium, kobiety i dzieci – mówi chłopak, wyraźnie pewny siebie.

Gabar sprawdza na tablecie, jak daleko znajdują się dżihadysty. Dowódcy są wyposażeni w precyzyjne mapy, na których zaznaczone są pozycje SDF i ich przeciwników. Mimo młodego wieku, Gabar walczy już od sześciu lat. Weteran licznych kampanii przeciwko IS przyznaje, że teraz walka jest dużo prostsza, a wróg stawia coraz słabszy opór.

Gabar tłumaczy, że są dwie kategorie dżihadystów. Pierwsza to bojownicy za-



Żołnierze SDF ostrzeliwują pozycje tzw. Państwa Islamskiego pod Dasziszą, czerwiec 2018 r.

graniczni: oni są motywowani głęboką wiarą w samozwańczy kalifat, „islamskie państwo boże”, którego powstanie ogłoszono w 2014 r. To oni mają być najbardziej niebezpieczni, to oni walczą z największym zacięciem. Druga kategoria to miejscowi – ich Gabar określa mianem „dobrych ludzi”, którzy zbłądzili.

– Według danych naszego wywiadu większość z nich to Irakijczycy. Część już opuściła Dasziszę wraz z rodzinami – mówi.

DASZISZA: KOLEJNY ETAP Właśnie ta miejscowość jest głównym celem drugiej fazy operacji pod kryptonimem „Burza Dżaziry”. Małe miasto we wschodniej Syrii, w prowincji Hasaka, leżące tylko 8 km od irackiej granicy. Miało służyć IS do przetrwania ludzi i broni.

Celem „Burzy Dżaziry” jest zajęcie – w czterech etapach – wszystkich terytoriów kontrolowanych przez IS na wschodnim brzegu Eufratu. Finałem ma być bitwa o miasto Hadżin [patrz jeden z poprzednich reportażów autora z Syrii, „TP” nr 22 – red.].

Gdy znajduję się na pozycjach, bojownicy z grupy, którą dowodzi Gabar, ruszają do ataku. W trakcie mojego pobytu na froncie nie napotykałam żadnego oporu. Następnego dnia Dasziszę zostaje zajęta przez siły SDF.

GORZKA CENA ZWYCIĘSTWA Tuż po ogłoszeniu tej informacji wraz z oficerem prasowym i grupą dziennikarzy jedziemy na północny kraniec Daszisy. Do samego miasta nie możemy wejść, rozminowujemy saperzy. Bojownicy SDF przed wyjściem z transportera opancerzonego ostrzegają, by nie schodzić z asfaltowej drogi. Na razie tylko ona jest bezpieczna. IS słynie z bomb pułapek, które rozstawia w ogromnych ilościach i w najmniej spodziewanych miejscach.

Jak wyjaśnia 29-letni rzecznik prasowy YPG Mervan Qamişlo, to jednak nie koniec operacji. W najbliższym czasie siły SDF planują zająć terytoria aż do granicy z Irakiem.

Droga do Daszisy wiedzie przez ruiny. Budynki, które od pocisków i bomb składały się niczym karty, ciągną się jeden za drugim.

Na murach i tablicach sporadycznie pojawiają się namalowane lub naklejone czarne flagi IS, których jeszcze nikt nie zdążył zamazać. W mijanych miejscowościach hula tylko wiatr, nie ma żadnych mieszkańców.

Dasziszę nie wygląda lepiej. W jej północnej części dawniej znajdowały się liczne sklepy. Teraz rzadko leży tam kamień na kamieniu. Trudno sobie wyobrazić, by to miasto wróciło kiedyś do życia. ©



Ogród Toma Masseya nawiązujący do kryzysu migracyjnego, Hampton Court, Londyn, 2016 r.

Inspiracja z nasionka

TEKST **PATRYCJA BUKALSKA**, ZDJĘCIA **WICEK SOSNA** Z LONDYNU

To nie tylko najbardziej prestiżowa wystawa ogrodnicza świata. Chelsea Flower Show jest także lustrem, w którym odbija się współczesność.

CO ROKU POWTARZAJĄ SIĘ TE SAME RYTUAŁY: zaczyna się od rozkopanej ziemi, aby potem w ciągu tygodnia powstały oszałamiające ogrody. Potem oceniają je sędziowie, przyznawane są nagrody, alejkami przepychają się tłumy odwiedzających, dziennikarze robią wywiady, fotografowie walczą o dobre ujęcia (kwiatów lub celebrytów). Trochę szampana, trochę zmęczenia. Dla jednych najważniejsze są wydarzenia towarzyskie, dla innych – ogrodnicze święto.

Po niecałym tygodniu tego szaleństwa wszystko cichnie, rośliny są wyprzedawane, ogrody likwidowane, a czasem przenoszone w inne miejsce. Pozostaje zapis trendów, ekstrawagancji, pomyłek i sukcesów. Zapomina się, że każdy ogród stworzyli konkretni ludzie, którzy często zostali popchnięci do tego przez jeszcze innych ludzi, jakich napotkali na swej drodze.

Chelsea Flower Show to święto kwiatów. Ale równie dobrze mogłoby to być święto niezwykłych historii.

Historia pierwsza: Tom i uchodźcy

Pamiętam tamten ogród. Prezentowany dwa lata wcześniej na innej wystawie, w Hampton Court Palace Flower Show. Kryzys uchodźczy w Europie sięgnął wtedy apogeum.

Nazwany „Ogrodem Straży Granicznej” był niepokojący. Patrzyłam na niego z nieufnością. Bo ogród to przecież miejsce, gdzie chcemy się odprężyć. Czy jednak można się zrelaksować, jeśli siedzimy wprawdzie w oazie kwiatów, ale za nią rozciąga się spieczona słońcem ziemia, ogrodzenie z drutu kolczastego i punkty kontrolne? Czy w takim miejscu chcemy być? Czy to jeszcze ogród-

-oaza, czy już więzienie, które tworzymy w lęku przed tym, co jest na zewnątrz? Może siedząc wśród kwiatów, wolimy odwrócić wzrok, by nie widzieć tego, co poza drutami, które rozciągnęliśmy? To były ważne pytania.

Tom Massey był wtedy debiutującym projektantem, ale jego ogród obsypano nagrodami. Dwa lata później, na Chelsea Flower Show, Tom wrócił z innym ogrodem, choć na ten sam temat. Zaprojektowany dla Lemon Tree Trust – organizacji pomagającej uchodźcom – został zainspirowany determinacją syryjskich uciekinierów z obozu Domiz w irackim Kurdystanie. Na początku miało przebywać w nim tysiąc rodzin. Teraz jest ponad 30 tys. ludzi i są tam znacznie dłużej, niż początkowo myśleli.

Wokół ogrodu Toma unosił się zapach jaśminu, drzewko cytrynowe pośrodku ugięło się pod ciężarem owoców. Były też figi i granaty. – Damaszek jest pełen jaśminów. Ten zapach to zapach domu, za którym się tęskni – mówił Tom – Chciałem wykorzystać rośliny, które przenoszą wspomnienia.

Zanim zaczął swój projekt, pojechał do Domiz. Rozmawiał z ludźmi, oni pomagali mu wybrać odpowiednie rośliny. – Zobaczyłem, jak ważne są tam najmniejsze ogródki, nawet te na piasku. Po przybyciu do obozu, gdy tylko to możliwe, uchodźcy

zaczynają sadzić rośliny. Niektórzy, kiedy opuszczali swoje domy, zabrali ze sobą nasiona – opowiadał Tom.

Ogród w obozie uchodźców to źródło jedzenia, ale i piękna, odrobiny harmonii i stałości. Dlatego są tam także róże, jakże niepraktyczne kwiaty. Taki ogród to wyraz odwagi i wiary w przyszłość, bo przecież gdy sadzimy nasionka, to liczymy, że doczekamy zbiorów, że będziemy w tym samym miejscu, gdy pojawią się kwiaty i owoce.

To dowód na pomysłowość: za przykładem uchodźców Tom zasadził warzywa w plastikowych butelkach zawieszonych na ogrodzeniu i w dziurach betonowych bloków. Każde miejsce można wykorzystać, gdy ma się niewiele.

– Ogród w Hampton Court był oświadczeniem, deklaracją. Ten jest inny... – mówił Tom. – Ma opowiadać o sile ogrodu, o tym, jak dzięki pracy w nim możemy poczuć się lepiej, odzyskać energię.

Historia druga: baronessa i statek

Baronessa Floella Benjamin stała przy swoim ogrodzie. Ciemnoskóra, uśmiechnięta i radosna, zagadywała zwiedzających. W jaskraworóżowej sukience i srebrzystych butach na obcasach rzucała się w oczy.

Być może podobnie przyciągała uwagę w latach 60. XX w., gdy jako dziecko przy-

była do Wielkiej Brytanii z Trynidadu. – Wtedy wszystko wydawało mi się szare, a zwłaszcza ludzie. Ubierali się na szaro, czarno albo granatowo – wspominała teraz. – Myślę, że Brytyjczycy zyskali na kolorach, które przywieźliśmy ze sobą. Nawet królowa wybiera teraz zdecydowane mocne barwy.

Baronessa Benjamin – ten tytuł przyznano jej w 2010 r. – urodziła się na Karaibach. Najpierw do Wielkiej Brytanii pojechał jej ojciec, muzyk jazzowy. Potem ściągnął rodzinę. Pewnie nie spodziewał się, że jego córka osiągnie tak wiele. Floella Benjamin jest aktorką, piosenkarką, prezenterką telewizyjną, autorką książek dla dzieci, producentką filmową – lista jej aktywności jest długa.

Dwa lata temu zapragnęła stworzyć ogród. Nie dla siebie, lecz po to, aby upamiętnić tzw. Pokolenie Windrush. Ogród był gotowy w tym roku – na 70. rocznicę przybycia statku „Empire Windrush” do portu w Tilbury. Na pokładzie tego i innych okrętów do Wielkiej Brytanii przybywali ludzie z Jamajki, Trynidadu czy Tobago, wtedy jeszcze brytyjskich kolonii. Po II wojnie światowej poobijane Imperium Brytyjskie potrzebowało rąk do pracy, by odbudować swą kolebkę i oni odpowiedzieli na wezwanie. Trudno powiedzieć, ilu dokładnie ich było (dzieci często nie miały paszportów i podróżowały dzięki dokumentom rodziców).

W 1971 r. wszystkim przybyłym przyznano prawo pobytu, ale nie wydano potwierdzających dokumentów. Nie były wtedy potrzebne.

Ale w 2012 r. zmieniono prawo imigracyjne, a w kolejnych latach – na fali brexitowej – zaczęto coraz mocniej zacieśniać kontrolę nad imigracją. Ludzie z Pokolenia Windrush, nie mogąc udowodnić, że ich pobyt jest legalny, tracili pracę czy dostęp do opieki zdrowotnej. W końcu zaczęła im grozić deportacja – do kraju, który opuścili jako dzieci, i którego nie znają. Prasa publikowała historie ludzi, którzy po 60 latach życia w Wielkiej Brytanii usłyszeli, że są tu nielegalnie, ale rząd pozostawał niewzruszony. Aż do wiosny tego roku, gdy zareagowali przywódcy państw karaibskich, a brytyjscy dziennikarze opisali, jak w 2010 r. w ministerstwie zniszczono karty zejścia na ląd Pokolenia Windrush – czasem jedyny dowód, że przybyli przed 1971 r.

Pani premier łagodziła ton, pani minister spraw wewnętrznych przepraszała, a cały skandal pokazał, jak niewiele w gruncie rzeczy wiadomo o tamtym epizodzie imigracyjnym. Oczywiście, kiedy dwa lata temu baronessa Floella Benjamin siedziała z ogrodnikami i myślała, jak zbudować idealny ogród, który będzie piękny i bogaty w symbole, nie mogła przewidzieć rozmiarów tego skandalu. Chciała jednak – jak czas pokazał, słusznie – przypomnieć o Pokoleniu Windrush. Oraz o tym, jak wiele Brytyjczycy mu zawdzięczają.

– Ci ludzie przybyli do Wielkiej Brytanii, bo chcieli przyczynić się do jej odbudowy, bo czuli się jej częścią – podkreślał podczas otwarcia ogrodu Seth George Ramocan, wysoki komisarz Jamajki w Zjednoczonym Królestwie. – Ich historia to część historii Wielkiej Brytanii.

Tę historię, a zwłaszcza historie poszczególnych przybyszów, pokazano w ogrodzie baronessy: znalazły się tu np. zdjęcia pasażerów „Empire Windrush”. Jak Sama Kinga, który zaciągnął się do brytyjskiej armii w 1944 r., później wrócił na Jamajkę, ale postanowił znów popłynąć do Anglii. Pracował w RAF, a w latach 80. został burmistrzem londyńskiej dzielnicy Southwark. Jest też zdjęcie Lucildy Harris, która osiadła w Brixton – doskonale pamiętała dziury po niemieckich bombach.

W ogrodzie było również to, co przywieźli ze sobą przybysze z Karaibów: kolory, kwiaty, ale i nieznane wcześniej →



Baronessa Floella Benjamin (w różowej sukni) prezentuje swój ogród poświęcony mieszkańcom Karaibów, którzy po 1945 r. przybyli odbudowywać Wielką Brytanię, czerwiec 2018 r.



Michelle i jej chodaki; kilkaset par podarowano dzieciom uchodźców w Grecji; czerwiec 2018 r.

→ na Wyspach warzywa. Niektórzy zabierali w podróż nasiona, by móc jeść to, co w domu. Popularne były wśród nich ogródki działkowe. – Ogrodniczką była moja mama – mówiła teraz baronessa. – Myślę, że ten ogród by się jej podobał.

W jej ogrodzie była również gitara – imigranci lubili muzykę. Były rysunki dzieci, a także figurki pasażerów na pokładzie statku – wśród nich przyszłej baronessy. Tamta podróż przez ocean wymagała odwagi i wiary w siebie oraz w przyszłość. A ułożenie sobie życia w nowym kraju – wiele determinacji.

– Chciałabym, aby ludzie poculi, że wszystko jest możliwe. To jest nasze przesłanie dla przyszłych pokoleń – podkreślała teraz Floella Benjamin.

Jej ogród zbudowano we współpracy z radą miejską Birmingham. Po wystawie został tam przeniesiony.

Historia trzecia: tata i chodaki

Za wielkimi pokazowymi ogrodami ciągnęła się alejka pełna wystawców – bo Chelsea Flower Show to nie tylko ogrodniczy kunszt, ale też ogrodniczy biznes.

Można było kupić kilkumetrowego konia z drewna, jedwabne szale, słomkowe kapelusze i w ogóle wszystko, co kojarzy się z ogrodem czy relaksem na wsi. Były też ogrodowe chodaki, podobne nieco do

tych, które noszą lekarze i pielęgniarki. Ale, oczywiście, w kwiatki. Były modele w tulipany, w łąkę, w słoneczniki i jeżyny. Wodoodporne, lekkie i wygodne, cieszyły się powodzeniem.

Na stoisku dyżurowała Michelle. Układała różne modele w równym rzędzie i opowiadała, jak to wszystko się zaczęło 11 lat temu. Bo zaczęło się od ogrodu lub raczej w ogrodzie. – Mój ojciec miał biuro w szopie w ogrodzie. Kiedy padało, a trzeba było mu coś zanieść albo go zawołać, zawsze był problem z butami. Pobiec w kapciach i je przemoczyć? Wkładać gumowce? – wspominała kobieta. – Któregoś z tych szarych dni, gdy wilgoć wisi w powietrzu, narodził się pomysł nieprzemakalnych chodaków. Można je wsunąć na nogi w sekundę, bez problemu chodzić po mokrej trawie. Są idealne dla ogrodnika.

„Backdoorshoes”, „buty przy tylnym wyjściu” – tak się nazywają – zawsze są pod ręką, gdy musimy na chwilę wyjść do ogrodu za domem.

Do stworzenia wzorów posłużyły zdjęcia kwiatów i łąk z okolicy, gdzie znajduje się firma. Co roku powstają nowe modele, a buty mają swych fanów. Ostatnio 400 par – modeli dziecięcych – przekazano do obozu uchodźców Alexandria w Grecji.

Firma pozostaje przedsięwzięciem rodzinnym, zakorzenionym w przydomowym ogródku.

Historia czwarta: przypadkowe spotkania

Każdy, kto przychodzi na wystawę w Chelsea, ma swoje powiązane z kwiatami i ogrodami doświadczenie. Inaczej by go tam nie było.

Są to czasem historie przejmujące – jeden z ogrodów miał zwracać uwagę na problemy osób dotkniętych epilepsją (w Wielkiej Brytanii jest ich ponad pół miliona). Inspiracją była historia cierpiącej na tę chorobę Jenny, córki artysty Williama Morrisa pod koniec XIX w. Opowiedziała ją pisarka i dziennikarka Leslie Forbes. Wkrótce po wydaniu książki autorka sama zmarła z powodu epilepsji. Teraz ogród zaprojektowała jej przyjaciółka Kati Crome.

Czasem historie są zabawne. Np. Janet na swojej torebce ma nadruk zdjęcia pięknego ogródka przed typowym angielskim pubem. Okazało się, że pub kiedyś należał do niej, teraz przeszła na emeryturę i ktoś inny go prowadzi. Nie ma już przed nim takich kwiatów jak kiedyś. Janet trochę tej przeszłości szkoda, więc zrobiła sobie taką pamiątkę i w ten sposób jej dawny ogródek jest zawsze z nią.

Spotkałam też Petera, pasjonata hortensji, który niczym dawny „łowcy roślin” stara się zebrać wszystkie istniejące odmiany. Opowiadał, że jedna, na której mu zależy, jest chyba w posiadaniu pewnej ogrodniczki w Polsce. Na razie prowadzi korespondencję.

Epilog: jedno pragnienie

I tak oto między ogrodami płyną opowieści.

Pomysł Toma Massey'a na ogród przywołujący potrzeby uchodźców już wywołał reakcję: prestiżowe Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze, które organizuje wystawę w Chelsea, wysłało do obozu uchodźców w Domiz dwa tysiące paczek z nasionami (ogórki, papryki, słoneczniki, nagietki...).

Przewodnicząca Towarzystwa Sue Biggs przypomniała sobie przy tej okazji, że sto lat wcześniej, w 1918 r., nasiona wysyłało brytyjskim jeńcom w obozach w Niemczech. – Dwie grupy ludzi, w odstępie stu lat, jedna w Niemczech, druga w Iraku – mówiła pani Biggs. – I to samo podstawowe ludzkie pragnienie, aby coś pielęgnować, uprawiać, nawet w strasznych okolicznościach.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Znikający punkt 2



NO W KOŃCU POJECHAŁEM. LATA TO TRWAŁO. Tam już stracili nadzieję, bo co napisali, żebym przyjechał, to im odpowiadałem: nie mogę, nie mam czasu, do Mołdawii jadę, do Zaleszczyk, na pustynię jakąś albo na step bezludny. „Ale ten Kiszyniów to można przecież przełożyć” – odpisywali. A ja na to, że w żadnym wypadku, Kiszyniowa się nie przekłada i tak dalej, bo mi się zwyczajnie nie chciało jechać. Najpierw dlatego, że naprawdę mi się nie chciało, a potem dlatego, że wszyscy mówili, że powinienem, że trzeba, że jak to tak: nie jechać do Francji?

Wydawca się w końcu obraził, że nic, tylko ten Kiszyniów i Ulan-Ude. Niewiele mnie to obeszło, bo cóż ja z Paryżem miałem wspólnego? Nic. W dalekiej młodości czytałem surrealistów i mi się przez jakiś czas podobali. Gdy wyszedłem z więzienia, przez jakiś czas czytałem Geneta i też mi się podobał. A potem już nie czytałem, tylko byłem zajęty własnymi sprawami. I tyle tej Francji w moim życiu było. No ale w końcu pojechałem. Miałem nowego wydawcę. Dostałem przyzwoitą nagrodę do odebrania w pięknym ponoć mieście Saint-Malo, z którego niegdyś wypływali korsarze, by łupić angielskie i hiszpańskie okręty. Sprawdziłem w necie, że miasto niewielkie.

Dwa tysiące pięćdziesiąt kilometrów, czyli 19 godzin od domu. Przynajmniej doświadczyć rozległości naszego kontynentu – tak sobie myślałem. Wydawca sugerował samolot, ale podziękowałem. Jechałem w końcu na festiwal literatury podróżniczej, a nie ma głupszego sposobu podróżowania niż samolot. Na dodatek patronem tej mojej nagrody był Nicolas Bouvier, który z kolegą w 1953 r. fiat topolino zajeżdżał z Europy do Pakistanu. Fiat topolino miał 3 metry długości, pojemność 0,6 litra i 16 koni. Widziałem fotografie. Jechali obławowani kanistrami z benzyną. Książek patrona nagrody nie czytałem, więc pomyślałem, że jak śmignę te 19 godzin autostradami, to jednak jakiś, powiedzmy, hołd będzie. Za tę wyprawę do Pakistanu 16-konną furą.

Tak się złożyło, że ruszałem z Torunia, więc trzysta mniej wychodziło. Wstałem o wpół do szóstej, wziąłem prysznic i pojechałem. Piętnastką przez Polskę powiatową. Trochę padało, więc mgliście, niewyraźnie o poranku było. Z dała wieże gnieźnieńskiej katedry się przebijają. Więc z kolebki polskiego chrześcijaństwa do kolebki europejskiego. Do najstarszej córki Kościoła. Był maj. Po wsiach pod kapliczkami babki i wnuczki odmawiały Loretańską. W dzisiejszych czasach musiało to wyglądać już nieco pogańsko. A zatem jechałem jak barbarzyńca do ogrodu. Wcale mnie to nie martwiło. Stałem na stacji po śniadanie z hot doga i kawy. Ekspresówką pojechałem w stronę A2. Na autostradzie poczułem, że mam słabo wyważone koła. Między 110 a 130 kierownica lekko wibrowała. Uspokajało się

koło 140. No więc jechałem 140 albo 150 i pomyślałem, że po prostu będę szybciej.

Myślałem też o patronie, który swoim 16-konnym, obławowanym topolino musiał się wspinać na pakistańskie przełęcze. Jeździłem po Pamirze i wiem, jak to jest, gdy silnikowi zaczyna brakować powietrza. I to silnikowi, który ma dziesięć razy więcej mocy niż jego „myszka”. A tutaj był martwy luksus autostrady. Polska nie wiedzieć kiedy zmieniła się w Niemcy. Stał tylko jeden radiowóz, a chłopaki chyba w nim drzemali.

Jechałem i czytałem drogowskazy na rozjazdach. Wszędzie byłem. Frankfurt, Berlin, Brunszwik, Hanower, Bielefeld, Osnabrück, Brema, Hamburg, Getynga, Kassel, Dortmund, Hamm, Kolonia, Düsseldorf, Bonn, Akwizgran. Wszędzie spałem w hotelu, a rano, skacowany, wlokłem się na dworzec albo lotnisko. Koszta niemieckiej kariery. W Pamirze i na Gobi było źle. Nikt na mnie nie czekał, nie musiałem nikomu nic czytać i nie miałem kaca. Teraz melancholijnie wspominałem i żegnałem mijane miasta. Jedziesz do Francji, mówiłem sobie po cichu. Francja nic ci nie zrobiła, nie zburzyła ci kraju, nie wymordowała ci Żydów, nie sprzedaje ci 15-letnich golfów i passatów, którymi musi się obejść twoja ojczyzna. Raz się zjawiała jakiś czas temu, bo była akurat w drodze do Rosji, ale przecież do Rosji nie ma innej drogi. Do obcego kraju jedziesz i niczym nie musisz się przejmować. Czytałeś w dalekiej młodości surrealistów, w porządku, ale ani Eluard, ani Breton, ani Aragon nie mieli potem wielkiego wpływu na twoją słowiańską duszę. Cóż, adolescencja w osiedlowej bibliotece bez nadzoru dorosłych.

Tak więc jechałem bez uprzedzeń jak na prawdziwe wakacje. Prosto z moich gór i lasów, gdzie żyły wilki i niedźwiedzie, a historycy wciąż nie są pewni, czy 500 lat temu żyli tu w ogóle jacyś ludzie, czy była jakaś cywilizacja. Jechałem niemieckim samochodem przez Niemcy po francuskie kulturalne honory. Ze środka puszczy jechałem i cieszyłem się na myśl, że nareszcie się dowiem, skąd przyszła cywilizacja, której jestem dzieckiem. Saint-Malo nie było wprawdzie ścisłym Śródziemnomorzem, bo to jednak La Manche, wygwizdów między Atlantykami i Morzem Północnym, ale nie bądzmy drobiazgowi. Z perspektywy Wołowca wyglądało to jak Cesarstwo Rzymskie, Egipt Ptolomeuszów i Hellada razem wzięte. Więc gnałem swoje 150 przez Westfalię i mówiłem w duchu: „Ach, moje kochane Niemcy, dziś jestem u was tylko przejazdem i musicie się z tym pogodzić”. Zostawiłem tutaj okruch serca i skrawek duszy, ale teraz tylko się gdzieś prześpię. Chociaż najchętniej jechałbym bez przerwy, jak słynny Kowalski z Denver do San Francisco. 1200 mil, czyli mniej więcej tyle samo co z Wołowca do Saint-Malo. No ale nie byłem tak słynny i już nie taki młody. No i nie miałem tych wszystkich fajnych proszków, które łykał niczym witaminę C. Aha, no i nie miałem dodge’a challenger’a.

Dlatego jednak stanąłem tuż przed belgijską granicą w tanim hotelu z wielkim parkingiem dla ciężarówek. Prawie wszystkie miały polskie blachy. I tabliczki za szybami, że Seba, Mundek albo Patryk. Na autostradzie też tak było. Wyprzedziłem może i tysiąc naszych tirów. Wyglądało to tak, jakby przez Niemcy jechał polski pociąg bez końca. Teraz powoli układali się do snu. Zaciągali zasłanki w kabinach, coś tam pichcili albo kupowali piwo na stacji benzynowej. Tak. Byliśmy czumakami współczesnej Europy. Tylko zamiast soli i suszonych ryb z Krymu woziliśmy jakiś paździerz dla wygłodniałych społeczeństw konsumpcyjnych. Zasnąłem od razu. ©



Z lewej: **DARIUSZ KOSIŃSKI**, Festiwal Pestka, Jelenia Góra

FOT. TOMASZ RACZYŃSKI / FESTIWAL PESTKA



Z prawej: **ANNA DZIEWIT-MELLER**, I LO w Sokotowie Podlaskim

FOT. ARCHIWUM SZKOŁY



Spotkanie z **KATARZYŃĄ KUBISIOWSKĄ**,

II LO w Rabce-Zdroju FOT. ARCHIWUM SZKOŁY



AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO podczas festiwalu Pestka,

Jelenia Góra FOT. ARCHIWUM SZKOŁY



MAGDALENA HEYDEL

o „Jądrze ciemności”,
LO w Andrychowie

FOT. ARCHIWUM SZKOŁY

ZACZYTANYCH WAKACJI!

Kolejny cykl „Lekcji czytania” za nami, a przed nami – doskonały czas na nadrobienie książkowych zaległości. Dzięki naszym partnerom i mecenasom od września ubiegłego roku do końca czerwca odbyło się w sumie ponad 60 spotkań; ostatnie z nich – z Ryszardem Koziółkiem i „Latarnikiem” Henryka Sienkiewicza – 19 czerwca w Zakładzie Karnym w Jastrzębiu-Zdroju.

W ciągu ostatniego roku szkolnego uczestniczyliśmy m.in. w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów i Kultury Awangardowej PESTKA, odbywającym się w Jeleniej Górze, gdańskim Festiwalu Europejski Poeta Wolności, bydgoskim Festiwalu Literatury „Prze-czytani”, w krakowskich Urodzinach Lema czy w Tyskim Festiwalu Słowa LOGOS FEST oraz naturalnie w Festiwalu Copernicus i Festiwalu Conrada. Odwiedzaliśmy także (ponownie)

gościnne progi gdańskiej Biblioteki Europejskiego Centrum Solidarności. Na dłużej – mamy nadzieję – zagościliśmy też w cyklu spotkań organizowanym w zgierskim Parku Kulturowym Miasto Tkaczy oraz podczas chojnickiej Wiosny Literackiej. Dziękujemy za zaproszenia na wszystkie te fantastyczne imprezy!

Poza tym odwiedziliśmy: Olecko, Ełk, Żywiec, Koźmin Wlkp., Kielce, Niepołomice, Żuromin, Rypin, Sieradz, Lublin, Gryfice, Bełchatów, Zduńską Wólę, Łochów, Tarnowskie Góry, Gorzów Wlkp., Warszawę, Człuchów, Sokołów Podlaski, Opole, Andrychów i Rabkę-Zdrój.

W ubiegłym roku królował Joseph Conrad – w ramach obchodów Roku Conrada w całej Polsce odbyło się 25 spotkań w cyklu „Lekcje czytania Conrada 2017”, który zrealizowaliśmy





Spotkanie z **WOJCIECHEM BONOWICZEM**, LO w Odolanowie
FOT. ARCHIWUM SZKOŁY



Powyżej: **MICHAŁ LACHMAN**, Zgierz
FOT. ARCHIWUM MIASTA ZGIERZ
Z lewej: **MIKOŁAJ GRYNBERG**, II LO w Chojnicach
FOT. ARCHIWUM SZKOŁY



KRYSZYNA DĄBROWSKA na festiwalu Europejski Poeta Wolności FOT. EPW / IKM GDAŃSK



GRZEGORZ JANKOWICZ z uczniami ZS nr 3, Jastrzębie-Zdrój FOT. ARCHIWUM SZKOŁY

w ścisłej współpracy z Krakowskim Biurem Festiwalowym. Tegorocznymi tematami spotkań była także twórczość Franza Kafki, Stanisława Lema, Czesława Miłosza, Hansa Christiana Andersena, Fiodora Dostojewskiego, Witolda Gombrowicza, Chinuy Achebego, Stanisława Wyspiańskiego, Brunona Jasińskiego, Elizabeth Bishop, Juliana Tuwima, Cypriana Kamila Norwida, Swietłany Aleksijewicz, Wojciecha Młynarskiego, Michała Hellera, Ełgara Kereta, Jerzego Pilcha, Zbigniewa Herberta czy Pawła Sołtysa.

Nasze zaproszenie do rozmowy z uczestnikami „Lekcji” przyjęło grono znakomitych pisarzy, literaturoznawców, tłumaczy i dziennikarzy, m.in.: Wojciech Bonowicz, Stefan Chwin, Przemysław Czapliński, Krystyna Dąbrowska, Maria Dąbrowska-Majewska, Anna Dziewit-Meller, Mikołaj Grynberg, Magdalena Heydel, Jakub Kornhauser, Dariusz Kosiński, Ryszard Kosiński, Katarzyna Kubisiowska, Łukasz Kwiatek, Inga Iwaszów, Grzegorz Jankowicz, Jerzy Jarniewicz, Michał Lachman, Łukasz Lamża, Małgorzata

Łukasiewicz, Michał Paweł Markowski, Grzegorz Olszański, Michał Olszewski, Wojciech Orliński, Piotr Paziński, Jerzy Sosnowski, Piotr Śliwiński, Maciej Świerkocki, Agnieszka Wolny-Hamkało i Marcin Żyła.

Szczególnie dziękujemy Uniwersytetowi Łódzkiemu, który od lat jest naszym partnerem i mecenasem. Wyrazy wdzięczności kierujemy także do Krakowskiego Biura Festiwalowego i Krakowa Miasta Literatury UNESCO, drukarni Quad Graphics, SALESmanago oraz do wszystkich osób i instytucji zaangażowanych w pozyskanie środków i organizację „Lekcji czytania”.

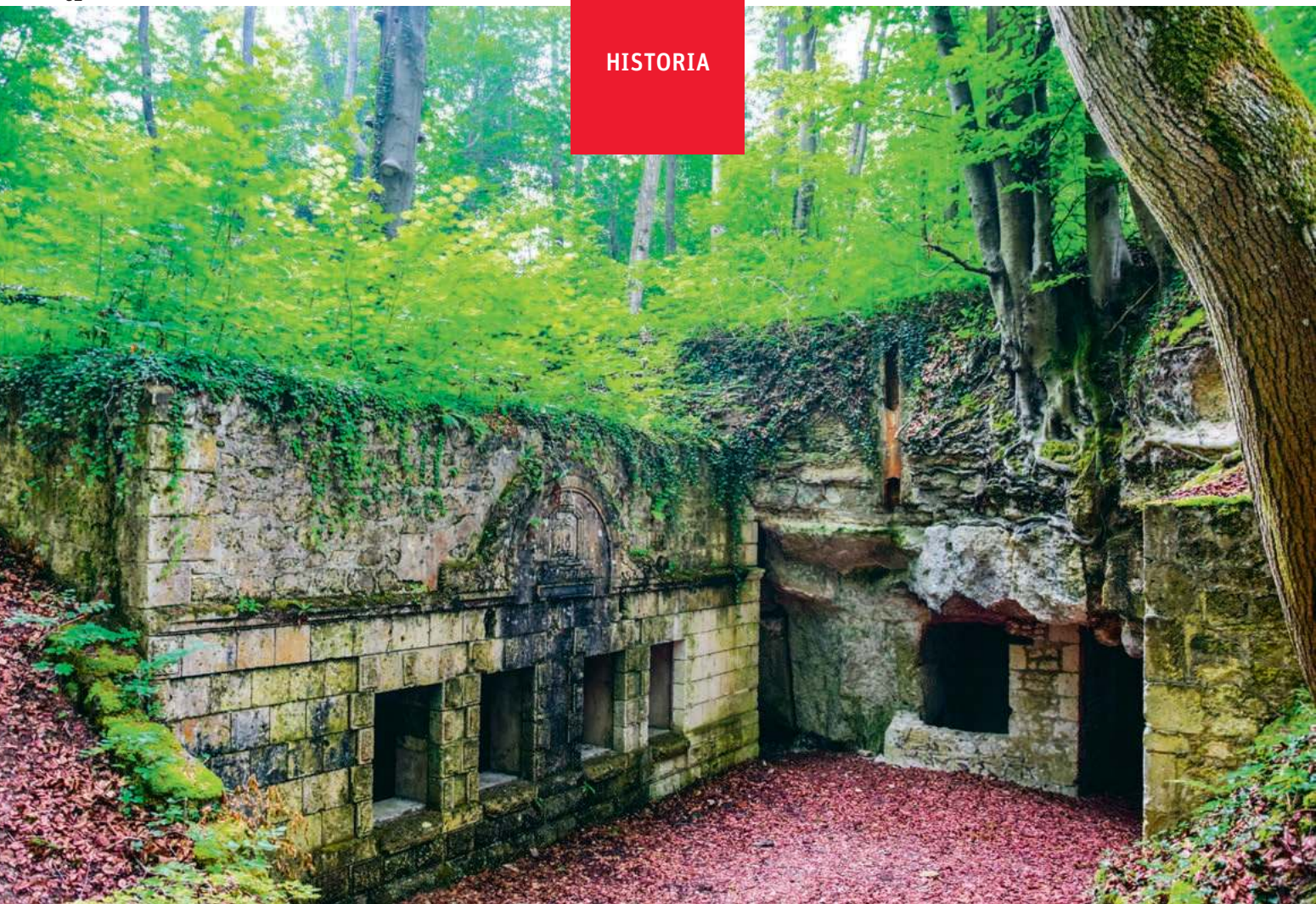
W sposób wyjątkowy dziękujemy tym, bez których nasza akcja nie miałaby racji bytu – czyli wszystkim zaczytanym i kochającym literaturę uczestnikom. Czas sięgnąć po wakacyjne lektury i przygotować się na kolejne literackie wyzwania, które wrócą wraz z „Lekcjami” w nowym roku szkolnym!



Operator Programu
Kraków Miasto Literatury UNESCO



Spotkania w roku 2018 odbywały się mimo odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wciąż wiele instytucji zgłasza się z prośbą o zorganizowanie „Lekcji czytania” u siebie. Dlatego nieodmiennie zachęcamy do kontaktu z Fundacją Tygodnika Powszechnego (fundacja@tygodnik.com.pl) osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną.



Wejście do schronu będącego stanowiskiem dowodzenia z czasów I wojny światowej, Pikardia, czerwiec 2018 r.

CZERWONE MAKI NA POLACH PIKARDII

To gratka dla poszukiwaczy śladów I wojny światowej: na północ od Paryża można zwiedzić imponujące skalne fortyfikacje albo legendarny wagon, w którym w 1918 r. podpisano rozejm.

TEKST I ZDJĘCIA: **SZYMON ŁUCYK** Z COMPIÈGNE (FRANCJA)

ZJEŹDŹAMY Z GŁADKIEJ SZOSY, MIJAMY ostatnie zabudowania. Pośród rozkwieconej łąki przemierzamy polną drogę. Jeep coraz mocniej podskakuje na wybojach. Wokół zaczyna się puszcza z rozłożystymi bukami i dębami. Niektóre

z drzew mają ponad sto lat, muszą więc pamiętać tamtą wojnę – przez ówczesnych nazwaną Wielką Wojną.

Stajemy przed furtką. Dalej jest prywatny las, dalej biegnie już tylko leśna ścieżka. Wzdłuż drożki ziemia jest mocno

zryta – znak, że dziki odwiedzają chętnie ten zakątek. Wreszcie zza drzew świta polana. Jesteśmy! Przed nami wejście do wapiennej jaskini-kamieniołomu. Miejsca, które w okresie 1914-18 służyły za schron dla żołnierzy.

„Chrystus miłuje Franków”

Wchodzimy do jaskini. Egipskie ciemności, włączamy latarki. Górą biegną stare kable elektryczne, może sprzed stu lat – stacjonujące tu oddziały potrzebowały oświetlenia. Minuty mijają. Przemierzamy długie, wysokie korytarze. Łatwo zabłądzić. Wreszcie nasz przewodnik woła: „Jest, tutaj!”.

Przed oczami ukazują się krata i kłódka, a za nią wyrzeźbiony w skale ołtarz. Na górze wyryty w skale napis: „*Vive le Christ qui aime les Francs*” („Niech żyje Chrystus, który miłuje Franków”). Podziemna kaplica zachowała się w znakomitym stanie. Dziś jest chroniona przed intruzami i można ją zwiedzać tylko za zgodą prywatnego właściciela.

– Tę skalną kaplicę w jaskini, jak wiele innych, wyrzeźbili chroniący się w niej francuscy żołnierze. Była miejscem modlitw przed pójściem do boju. W 1914 i 1918 roku tuż obok przechodził front – tłumaczy Caroline Fontaine, historyczka i dyrektorka Międzynarodowego Centrum Badań przy Memoriale Wielkiej Wojny w Péronne.

W tym regionie kamieniołomy od wieków dostarczały budulca. Łatwo to zauważyć, gdy jedzie się przez tutejsze wioski: wszędzie kamienne domki. Prawie nie widać budynków z czerwonej cegły, tak charakterystycznych dla północnej Francji.

Gdy w 1914 r. dotarł tu front, okolicę rujnował ostrzał artyleryjski. Ludność porzucała domy i kryła się w grotach powstałych w wyniku eksploatacji kamienia. Innych grot używało wojsko. W całej Pikardii w roli takich schronów wykorzystywano dziesiątki starych kamieniołomów.

Wychodzimy na powierzchnię. I oto znów niespodzianka: napotykamy wejście do innego zamieszkanego niegdyś kamieniołomu. Widnieje przy nim starannie wyryty w kamieniu napis z ornamentami: „98. Pułk Piechoty” – i nazwisko jego dowódcy, podpułkownika (pułkownika?) Reboula. To miejsce służyło więc jako kwatera dowódcy.

Kamienne sklepienia groty podtrzymują żelazne filary, zamocowane tu przez dawnych mieszkańców. W jednym z pomieszczeń widać relikty kominka. Czy był tu salon, jadalnia, a może pokój oficera? Trudno zgadnąć.

Po chwili okazuje się, że lokal z kominem nie jest całkiem pusty. Od ściany odrywa się nagle niewielki kształt i przefruwa przez otwór na drugą stronę. Hałasy

zbudziły lokatora – nietoperza. Oprócz niego była wojskową kwaterę odwiedzają też inni goście, pewnie tak jak on lubiący nocne życie – jeśli wnosić ze śladów biwaku i namazanych na murach graffiti.

Ostatnie ofensywy kajzera

Tajemnicze prywatne kamieniołomy, które zwiedziłem dzięki uprzejmości ich właściciela, znajdują się ok. 100 km na północny wschód od Paryża, w departamencie Aisne (nazwa pochodzi od tamtejszej rzeki), blisko miasta Soissons.

Podobne naturalne kryjówki można oglądać także na dalekiej północy Francji. Słynne są np. kamieniołomy Wellingtona w Arras, które w czasie Wielkiej Wojny zamieszkiwali żołnierze brytyjscy. Powstało tam podziemne miasto, także z bieżącą wodą, polowym szpitalem, kuchniami, toaletami i kapliczkami. Rezydowało w nim, w oczekiwaniu na przygotowywaną ofensywę aliantów w 1917 r., ponad 20 tys. żołnierzy!

Jaskinie, które oglądaliśmy w Pikardii, są mniejsze od tych w Arras, ale równie ciekawe. Leżą bowiem na terenach, gdzie sto lat temu, wiosną i latem 1918 r., ważyły się losy wojny na froncie zachodnim.

Wojska niemieckie – wzmocnione dywizjami przerzuconymi z frontu wschodniego (po tym, jak na początku 1918 r. Berlin i Wiedeń podpisały pokój z Rosją bolszewicką) – podjęły wtedy ostatnie wielkie ofensywy. I znowu – jak we wrześniu 1914 r. – zbliżyły się na przedpolu Paryża. Cztery lata wcześniej niemiecki plan „wojny błyskawicznej” uderemniła bitwa nad Marną (okrzyknięta później cudem nad Marną). Po raz kolejny niemiecka ofensywa poważnie zagroziła stolicy Francji wiosną 1918 r. Szala zwycięstwa wydawała się wtedy przechylać na stronę armii kajzera.

– Między marcem i lipcem 1918 r. panował we Francji ogromny niepokój co do losów wojny. Francuski sztab generalny spodziewał się, że wojna skończy się najwcześniej w 1919 r. – mówi „Tygodnikowi” Nicolas Beaupré, historyk z Uniwersytetu Blaise Pascal w Clermont-Ferrand, znawca I wojny światowej i relacji francusko-niemieckich.

Poczuć się jak generał

Historycy podkreślają, że o triumfie aliantów rozstrzygnęło zaangażowanie się armii amerykańskiej wiosną i latem 1918 r. w kontrofensywę lądową. Sojusznik zza

oceanu miał ogromne zasoby ludzkie – w latach 1917-18 do Europy przybyło ok. 2 mln amerykańskich żołnierzy – i rezerwy materiałowe.

Kluczowy moment działań na froncie zachodnim nadszedł w połowie lipca 1918 r. Niemcy próbowali wtedy po raz kolejny przebić się w stronę francuskiej stolicy, ale zostali odparci przez wojska alianckie. Zaraz potem zaczęła się kontr-ofensywa: tzw. druga batalia nad Marną, która trwała trzy tygodnie.

Decydujące uderzenie dywizji francuskich i amerykańskich nastąpiło o świcie 18 lipca, na odcinku frontu o długości 55 km. Atak rozpoczął się o godzinie 4.35, pod osłoną lasu i porannej mgły. Na czele natarcia ruszyło 470 czołgów, wspieranych przez samoloty, za nimi piechota. Niemcy zostali zmuszeni do gwałtownego odwrotu. To był początek końca wojny.

25 i 26 lipca alianci wyrwali z rąk Niemców inny ważny punkt – wzgórze Chalmont i kontynuowali wypieranie przeciwnika na wschód. Na miejscu tego wzgórza stoi dziś monumentalny pomnik nazwany „Duchy”, autorstwa francuskiego twórcy polskiego pochodzenia Paula Landowskiego [patrz ramka obok – red.].

Zwycięską ofensywą, rozpoczętą 18 lipca, dowodził francuski generał Charles Mangin. Postępy swych wojsk śledził z wysokości na 25 metrów drewnianej wieży obserwacyjnej w lasach Retz. W okresie międzywojennym wieża runęła po nawalnięciu i przez wiele lat w tym miejscu widniała tylko pamiątkowa tablica.

W 2018 r., z okazji stulecia zakończenia Wielkiej Wojny, zrekonstruowano ten widowiskowy obiekt: ma oryginalną wysokość i 8 poziomów. Każdy chętny może wejść na szczyt wieży, spojrzeć przez lunetę na okolicę i poczuć się przez chwilę generałem (jeśli ma taką potrzebę).

Na każdym z pięter są informacje: nie tylko o wojnie 1914-18 i samej bitwie, ale też o florze i faunie otaczających lasów – niegdyś łowieckich domen francuskich królów. Przybywają tu chętnie tak miłośnicy przyrody, jak i pasjonaci historii.

Czerwone maki, błękitne chabry

Gdy wyjeżdżamy rowerem z Compiègne w stronę Polany Rozejmu, droga prowadzi wzdłuż rzeki Aisne. Mijamy szarawą strefę przemysłową. Po obu stronach stoją zadbane jednopiętrowe domki. Nagle, gdy docieramy do śluzy, po prawej stronie pojawia się łąka, a na niej – morze czerwieni. ➔

→ Maki, morze maków, jak okiem sięgnąć.
Czy kwitły w tym miejscu sto lat temu?

„Na polach Flandrii kwitną maki / między krzyżami, rząd przy rzedzie” – pisał kanadyjski uczestnik tej wojny w słynnym wierszu „In Flanders Fields”. Za sprawą tego wiersza do dziś w Wielkiej Brytanii przypina się sztuczne maki na pamiątkę tej wojny i ku pamięci jej ofiar (podczas I wojny światowej zginęło niemal dwukrotnie więcej brytyjskich żołnierzy niż w czasie II wojny światowej).

Gdy idzie o kwiatową symbolikę, we Francji jest inaczej: tutaj podobną rolę pełnią inne polne kwiaty, chabry – kolorem przypominające błękit ówczesnych francuskich mundurów.

Teraz, gdy widzimy przy ścieżce rowerowej dzikie czerwone maki, powracają strofy żołnierskiego wiersza. Bo jesteśmy dokładnie obok miejsca, w którym sto lat temu, w kolejowym wagonie, podpisano zawieszenie broni kończące wojnę na froncie zachodnim. W lasach pod Compiègne, 80 km na północ od Paryża.

W wagonie marszałka

Jak to się stało, że w tym właśnie leśnym zakątku rozegrał się finał zmagania na froncie zachodnim?

Pod koniec 1918 r. kwatera główna marszałka Ferdinanda Focha, dowódcy wszystkich wojsk alianckich, mieściła się w Senlis, 50 km na północny wschód od Paryża. Teoretycznie negocjacje mogłyby odbyć się tam. Ale Foch nie chciał toczyć rokowań w tym mieście. Obawiał się, że przybycie niemieckich wysłanników może wywołać zamieszki. Mieszkańcy Senlis mieli w pamięci to, że na początku wojny armia niemiecka rozstrzelała burmistrza i kilku jeńców. Poza tym Foch chciał odbyć rozmowy w sekretnym miejscu, z dala od zgiełku i ciekawskiej prasy.

Wybór padł na leżący w pobliżu jego kwatery las w Compiègne, połączony torami dla artylerii z pobliskim dworcem kolejowym w Rethondes. Tam właśnie przyjechały dwa pociągi: 7 listopada z delegacją francusko-brytyjską i 8 listopada z niemiecką. Rozmowy toczyły się w wa-

gonie restauracyjnym marszałka Focha przekształconym w biuro. Przy stole zasiadł Foch jako przewodniczący delegacji, a towarzyszył mu m.in. brytyjski admirał sir Rosslyn Wemyss oraz szef delegacji Niemiec, sekretarz stanu Matthias Erzberger.

11 listopada, dwa dni po upadku Cesarstwa Niemieckiego i proklamowaniu Republiki (nazwanej Weimarską), Niemcy zgodzili się na zawieszenie broni na warunkach podyktowanych przez aliantów. Rozejm podpisano o godzinie 5.30.

– Fakt, że formalnie rzecz biorąc ze strony Niemiec za kapitulację odpowiadała już Republika, a nie jeszcze Cesarstwo, został potem wykorzystany przez propagandę nazistów, aby winą za klęskę obciążyć demokratyczną rewolucję. A przecież było odwrotnie: to klęska militarna Cesarstwa zrodziła Republikę – mówi Nicolas Beaupré. Niemiecki sygnatariusz rozejmu, Erzberger, zginął w 1921 r. zamordowany przez rodzimą skrajną prawicę.

Śladami I wojny światowej

We Francji jest dużo miejsc związanych z Wielką Wojną. Oto kilka położonych w Pikardii (w promieniu ok. 100 km od Paryża), związanych z końcową fazą wojny. Najlepiej zwiedzać je samochodem; niektóre leżą też przy ścieżkach rowerowych (jak trasa Compiègne – Memoriał Rozejmu).

LASY COMPIÈGNE

Polana Rozejmu, historyczny wagon i Memoriał Rozejmu – w lesie, 7 km od centrum miasta w kierunku Soissons. W muzeum prócz słynnego wagonu można obejrzeć uzbrojenie i mundury, a także kilkaset fotografii z lat 1914-18, tworzonych techniką stereoskopii (dającą wrażenie trzeciego wymiaru). Otwarte codziennie w godzinach 10.00-18.00.
www.musee-armistice-14-18.fr

LASY W POBLIŻU SOISSONS

Wieża obserwacyjna generała Mangina pod Villers-Cotterêts. Niedaleko jest cmentarz żołnierzy brytyjskich.
www.tourisme-villers-cotterets.fr



„Duchy” Landowskiego na miejscu drugiej bitwy nad Marną, czerwiec 2018 r.

PODZIEMNE KAMIENIOŁOMY-JASKINIE

(franc. *carrière* lub *creute*), głównie w departamencie Aisne. Większość jest obecnie prywatną własnością i na co dzień jest zamknięta. Orowadzanie po angielsku latem i jesienią organizuje biuro informacji turystycznej w Villers-

-Cotterêts; rezerwacja i płatność [online na www.tourisme-villers-cotterets.fr](http://online.na.www.tourisme-villers-cotterets.fr)

OKOLICE CHÂTEAU-THIERRY

Pomnik „Les Fantômes” (Duchy) z różowego granitu autorstwa Paula Landowskiego (1875-1961), miejsce zwane Butte Chalmont, koło Oulchy-le-Château – na polu walk drugiej bitwy nad Marną (lipiec 1918 r). Najbardziej „pacyfistyczny” hołd dla ofiar Wielkiej Wojny: monument wyobraża siedmiu poległych żołnierzy, a pomiędzy nimi widnieje naga męska postać.

CMENTARZ AMERYKAŃSKI W LESIE BELLEAU

Miejsce spoczynku 2300 Amerykanów poległych w czerwcu 1918 r. We wnętrzu wzniesionej tam wieży w stylu neoromańskim wyryte są nazwiska ponad tysiąca żołnierzy zaginionych w tych walkach. Blisko amerykańskiej nekropolii leży cmentarz 8600 niemieckich żołnierzy.

PÉRONNE

Muzeum Wielkiej Wojny (Historial de la Grande Guerre) – znajduje się na miejscu niebywale krwawej bitwy nad Sommą w 1916 r. Historial prezentuje konflikt z perspektywy trzech walczących narodów: Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, a patronują mu wspólnie badacze z tych krajów.
www.historial.fr © Wybrał Szt

Sto lat później

Dziś każdy odwiedzający Memoriał Rozejmu pod Compiègne może obejrzeć legendarny wagon. Znajduje się na miejscu epokowych zdarzeń: Polanie Rozejmu. W wagonie restauracyjnym zaznaczono każde miejsce przy stole przedstawicieli aliantów i Niemiec. Pomieszczenie zaaranżowano tak jak w chwili rokowań: są przedmioty należące do bohaterów wydarzeń, np. autentyczny aparat telefoniczny, kałamarz i cygarniczka Focha.

Nie każdy jednak wie, że pojazd oglądany w muzeum – wysoki na 4 metry, długi na 20 – jest rekonstrukcją. Oryginalny wagon spłonął w 1945 r. w Niemczech, zachowane szczątki są ekspozowane w jednej z gablot Memoriału w Compiègne. Ten obecny to jego „sobowtór”. Do złudzenia przypomina autentyk: też ma ponad 100 lat, bo wyprodukowano go w tym samym czasie i ma nawet zbliżony numer fabryczny. Muzeum otrzymało wagon w 1950 r. od międzynarodowego przewoźnika kolejowego za symbolicznego jednego franka.

Ciekawostką jest, że sto lat temu w rozmowach uczestniczył po stronie aliantów generał Maxime Weygand – ten, który stał później na czele specjalnej misji wojskowej ententy, doradzającej Polsce w wojnie z bolszewikami w 1920 r. Jak mówi „Tygodnikowi” Bernard Letemps z Memoriału Rozejmu, muzeum w Compiègne przechowuje dziś rewolwer подарowany Weygandowi przez Józefa Piłsudskiego.

W okresie międzywojennym wagon – jako symbol zwycięstwa – stał najpierw przez pół roku na dziedzińcu honorowym paryskich Inwalidów. Niszczyły go jednak wilgoć i deszcze. Dlatego postanowiono go przenieść w oryginalne miejsce, na Polanę Rozejmu, kryjąc go pod dachem. W pobliżu wagonu ustawiono wtedy także pomnik upamiętniający odzyskanie przez Francję Alzacji i Lotaryngii i w 1937 r. statuetę marszałka Focha.

Zemsta Hitlera

Po wkroczeniu przez Niemców do Paryża 14 czerwca 1940 r. i zajęciu połowy terytorium Francja skapitulowała. Adolf Hitler – sam weteran I wojny światowej – szukał sposobu na maksymalne upokorzenie wroga.

W tej właśnie chwili na arenę historii wrócił słynny wagon. Niemcy „reanimowali” symbol zwycięstwa ententy z 1918 r., aby pogrążyć Francuzów. Hi-

Słynny wagon z Compiègne jest dla Francji symbolem dwuznacznym.

Najpierw – zwycięstwa w I wojnie światowej.

Potem – klęski w 1940 r.

tler ze swoją świtą przybył na Polanę Rozejmu – i to tutaj 22 czerwca 1940 r. delegacja francuska z gen. Charles'em Huntzigerem na czele musiała podpisać zawieszenie broni. W przeciwieństwie do rozejmu z 1918 r. triumf hitlerowski odbył się z wielką pompą: przyglądał się jej tłum, w tym liczni dziennikarze niemieccy, grały fanfary.

To nie koniec zemsty. Dowództwo niemieckie wydało rozkaz zniszczenia Polany Rozejmu: budynek będący schronieniem dla wagonu wysadzono, eleganckie aleje i płyty pamiątkowe zdewastowano, a sam historyczny wagon wywieziono do Berlina. Operację niszczenia Polany przetrwał tylko samotny pomnik Focha. Nie przez przypadek. – Niemcy zostawili go tam specjalnie, aby były dowódca Wielkiej Wojny, zmarły w 1929 r., spoglądał z pomnika na pole zniszczeń i upokorzenie swojego narodu – tłumaczy Letemps.

Co stało się z oryginalnym wagonem? Wywieziony najpierw do stolicy Niemiec, trafił potem do lasów Turynii, w pobliżu obozu pracy w Ohrdrufie. Tam spłonął w 1945 r. w niewyjaśnionych okolicznościach. Obecnie raczej wyklucza się, aby spalili go sami Niemcy, gdyż stało się to już po wyzwoleniu obozu przez aliantów.

Inne wagony

Słynny wagon z Compiègne jest więc dla Francji symbolem dwuznacznym. Najpierw – zwycięstwa w 1918 r. Choć osiągniętego za straszliwą cenę ponad 1,3 mln poległych i 4,3 mln rannych, z których wielu pozostało inwalidami (dla porównania: podczas II wojny światowej zginęło niespełna ćwierć miliona francuskich żołnierzy). Potem – klęski roku 1940.

Tu można by postawić kropkę. A jednak, wracając z wycieczki na Polanę Rozejmu, zatrzymajmy się na chwilę na dworcu kolejowym w Compiègne. Przy jednym z peronów zobaczymy dwa historyczne wagony z czasów II wojny światowej. W nich nie przypominają salonki

Focha. To wagony bydłowe – używano ich do deportacji ludzi w latach 1942-44, w których swój udział miało kolaborujące z Niemcami państwo francuskie (od miasta, gdzie siedzibę miał jego rząd, nazwane Francją Vichy).

Wagony ustawiono tutaj, by upamiętnić to, co stało się 75 lat temu: z obozu internowania w Royallieu (dziś w granicach Compiègne) na rozkaz Niemców wywieziono pociągami do obozów koncentracyjnych, w tym do Auschwitz-Birkenau, ponad 45 tys. ludzi. Wśród deportowanych przeważali więźniowie polityczni i członkowie francuskiego ruchu oporu, ale byli też cywile (m.in. Amerykanie, Rosjanie) i ludność żydowska.

W aresztowaniach i deportacji brali udział funkcjonariusze i policjanci państwa Vichy. Ta czarna karta dziejów Francji, przez długie powojenne dekady – aż do epoki prezydenta Chiraca – była wstydliwie przemilczana przez władze państwowe.

Co jednak łączy mobilne biuro marszałka Focha z bydłowym wagonem? Z pozoru prawie nic – poza tym, że los rzucił oba wagony do prowincjonalnego miasta w Pikardii. Ale przecież każdy z nich to wagon pamięci. Wagon, który mieści w sobie dramat historii – Francji i Europy.

© SZYMON ŁUCYK

Dziękuję Caroline Fontaine za pomoc w dotarciu do mało znanych schronów z I wojny światowej, a Nicolasowi Beauprému – za życzliwą konsultację historyczną. Korzystałem m.in. z książek: N. Beaupré „Le traumatisme de la Grande Guerre 1918-1932/33”, „Chemins de mémoire 14-18” (red. Jean-Pascal Soudagne) i materiałów Memoriału Rozejmu i Muzeum Wielkiej Wojny w Meaux.

Józef Bek, nie Józef Beck

W tekście Remigiusza Okraski o Edwardzie Abramowskim (nr 26/2018) popełniłem przykry błąd podczas redagowania artykułu: z dwóch postaci – Józefa Beka i Józefa Becka (ministra spraw zagranicznych II RP) – uczyniłem jedną. Tymczasem byli to ojciec i syn. Ten drugi nie miał nic wspólnego z myślą Abramowskiego, natomiast ten pierwszy był jednym z „abramowszczyków” – uczniów i współpracowników myśliściela. Za błąd przepaszam Autora i Czytelników.

WOJCIECH PIĘCIAK
kierownik działu historycznego

ŚWIAT OCZAMI KOTA

MATEUSZ HOHOL, KINGA WOŁOSZYN-HOHOL

Nie tylko ludzie mają bogate życie wewnętrzne.
Wśród zwierząt, których umysł intensywnie próbujemy poznać, są także koty.

PRZEGLĄDAJĄC PIONIERSKĄ LITERATURĘ neurobiologiczną z przełomu XIX i XX w., można dojść do smutnego wniosku, że koty same w sobie nieszczerólnie interesowały naukowców. Raczej odgrywały rolę „królików doświadczalnych” w badaniu nad funkcjonowaniem układu nerwowego w ogóle. Wiązało się to zwykle z krojeniem lub podrażnianiem prądem kocih mózgów.

Amerykański fizjolog i neurolog Walter Cannon przypuszczał wówczas, że emocje powiązane z podstawową reakcją organizmu: „uciekaj albo walcz” nie zależą od pracy kory mózgowej, ale od głębiej osadzonych struktur mózgu, takich jak podwzgórze.

Aby zweryfikować tę hipotezę, jego student Philip Bard przeprowadził serię badań na kotach, którym najpierw oddzielał chirurgicznie podwzgórze od kory, a następnie prowokował zwierzęta. Pomimo uszkodzenia kory mózgowej koty wciąż wykazywały gniewne zachowania, takie jak gwałtowne ruchy kończyn, gryzienie, drapanie, syczenie czy charakterystyczne wygięcie grzbietu. Cannon określił je mianem „gniewu pozornego”, bowiem przekonany był, że emocjom tym nie towarzyszą żadne świadome uczucia. Tym samym Cannon i Bard zapoczątkowali dyskusję na temat natury emocji i uczuć, która toczy się do dziś.

Elektrody w mózgu

To oczywiście niejedynie badania, w których koty wystąpiły w roli zwierząt laboratoryjnych. Jedne z pierwszych w historii badań nad aktywnością elektryczną pojedynczych neuronów przeprowadzone zostały właśnie na tych zwierzętach. Wykorzystując mikroelektrody wszczepione bezpośrednio do tkanki mózgowej kotów, Birdsey Renshaw i koledzy jako pierwsi zarejestrowali w 1940 r. wyładowania tzw. komórek piramidowych w hipokampie, strukturze mózgu, która odgrywa ważną rolę w procesach pamięciowych i orientacji przestrzennej.

Przeprowadzonym na kotach badaniom Barda oraz Renshawa nie można odmówić istotnej roli w rozwoju neuronauki, dziś jednak trudno byłoby znaleźć komisję bioetyczną, która wydałaby na nie zgodę.

Współczesna nauka podchodzi do kotów zupełnie inaczej. Powodem tej zmiany są nie tylko rosnące standardy etyczne, ale także fakt, że koty są przecież drugimi, obok psów, najbliższymi przyjaciółmi człowieka (na całym świecie z ludźmi żyje ok. 600 mln kotów).

Zaglądając do kocih umysłów, możemy pośrednio dowiedzieć się czegoś o nas samych, a także lepiej zrozumieć potrzeby naszych podopiecznych i sprawić, że będą odwzajemniać naszą troskę.

Nie bez znaczenia była także rewolucja naukowa, która przyczyniła się do „odczarowania” umysłu. Dzięki narodzinom psychologii poznawczej i neurokognitywistyki umysł przestał być tajemniczą, niecielesną substancją, w którą – jak twierdził Kartezjusz – wyposażeni są tylko ludzie. Posiadanie zdolności poznawczych, które zbiorczo nazywamy umysłem, pośredniczących między bodźcami zmysłowymi a przejawianymi przez organizm reakcjami, z przedmiotu kontrowersji filozoficznej przerodziło się w dziedzinę badań określaną w języku angielskim jako *animal cognition*.

Zalety bogatego środowiska

Zacznijmy od tego, jak koty postrzegają świat. Są raczej dalekowidzami. Wąsy (tzw. wibrysy), pomagają im orientować się w ciemności i przy słabym oświetleniu, kompensując słabo rozwinięte widzenie krótkodystansowe. Kociaki zaczynają reagować na dźwięk dopiero w drugim, a na bodźce wzrokowe w trzecim tygodniu życia. Już od pierwszych dni po urodzeniu bardzo ważnym zmysłem jest natomiast węch. Kierując się zapachem, koty rozpoznają członków własnego gatunku, ludzkich towarzyszy oraz zasięg rewiru. Niektórzy naukowcy spekulują nawet, że to właśnie ten zmysł odgrywa kluczową rolę w konstrukcji kociego świata wewnętrznego.



Stasys Eidrigevicius „Oczy kota”, pastel, 2011 r.

nego. Warto jednak powiedzieć, że kształt tego świata w dużej mierze zależy od warunków, w których dorasta kot – nie jest prawdą, że kocię przychodzi na świat z całkowicie „zaprogramowanymi genetycznie” zdolnościami percepcyjnymi.

O plastyczności kociego mózgu świadczy dobitnie wynik badania przeprowadzonego przez Colina Blakemore’a i Grahama Coopera, który opublikowali w 1970 r. na łamach „Nature” w artykule o znamienitym tytule „Rozwój mózgu zależy od środowiska wzrokowego”. Zauważyli oni, że kocięta hodowane w pomieszczeniu pokrytym pionowymi liniami przejawiały trudności w wykrywaniu linii poziomych. Podobne trudności, ale dotyczące linii pionowych, przejawiały te osobniki, które wychowywały się w środowisku pokrytym liniami poziomymi. Co więcej, późniejsze badania przeprowadzone przez Polaka Bogusława Żernickiego pokazały, że w porównaniu z kociętami mogącymi przemieszczać się swobodnie, te z hodowli laboratoryjnej wykazywały pogorszoną reakcję na bodźce wzrokowe oraz uczyły się

wolniej kojarzyć takie bodźce (podobnie jak zresztą bodźce słuchowe). Wyniki te jasno pokazują, jak ważne dla naszych domowych towarzyszy jest odpowiednio bogate środowisko.

Kocia fizyka

Gdy przedmiot znika z naszego pola widzenia – za horyzontem albo za jakąś przeszkodą – jesteśmy nadal przekonani, że wciąż istnieje i nie zmienia swoich właściwości. Wiedza, że przedmioty nie rozplývają się w powietrzu i pomimo tego, że ich nie widać, są tym samym, czym były przed chwilą, jest jednym z podstawowych praw ludzkiej potocznej fizyki. Można spodziewać się, że podobne prawo powinien znać każdy łowca: gdy w trakcie pogoni za potencjalną zdobyczą ta w pewnym momencie znika (np. w norze), warto zapamiętać to miejsce – kto wie, może niedługo znów się tam pojawi. Założenie to było przedmiotem licznych badań, przeprowadzonych z udziałem wielu gatunków zwierząt, także kotów. Dla przykładu, kanadyjscy psychologowie Sylvain Fiset i François

Doré wykorzystali paradygmat eksperymentalny stosowany wcześniej w badaniach dzieci: koty widziały najpierw pożywienie, które następnie zniknęło za fizyczną przeszkodą. Zwierzęta przechodziły ten test pomyślnie, szukając przedmiotu tam, gdzie był on widziany po raz ostatni.

Nie oznacza to jednak, że cała kocia potoczna fizyka podobna jest do naszej. W 2009 r. brytyjska psycholożka Emma Whitt pokazała wraz ze współpracownikami, że koty nie radzą sobie z rozumowaniem na temat przyczyn. Ludziom, a także przedstawicielom kilku innych gatunków naczelnych, bez większego trudu przychodzi wywnioskowanie, że skoro jakieś zdarzenie prowadzi do określonego skutku, to podobne zdarzenie powinno powodować analogiczny skutek. Koty uczone były najpierw zdobywać pożywienie przy pomocy do krótkiego sznurka umieszczonego prostopadle pod pudełkiem. Następnie prezentowano im różne układy sznurków, przy czym nagroda była przyznawana tylko do jednego z nich. Gdy układ obejmował dwa skrzyżowane ➞

→ sznurki, koty nie potrafiły poradzić sobie z zadaniem. Badacze stwierdzili, że zwierzęta nie były w stanie uogólnić funkcji sznurka. Z drugiej strony, sami badacze zauważają jednak, że w naturalnych warunkach koty nie spotykają się z tego typu zadaniami, co oznaczać może, że tak ogólny wniosek o ich nieumiejętności rozumowania przyczynowego jest przedwczesny.

Zmysł liczby

Psychologowie i kognitywiści włożyli wiele wysiłku, by sprawdzić, jak daleko sięgają ewolucyjne korzenie „zmysłu liczby”. Wiadomo, że małpy, psy, ptaki, ryby, a nawet owady (w poprzednim numerze pisaliśmy o pszczołach), podobnie jak ludzkie noworodki, potrafią dostrzec różnicę między zbiorami przedmiotów o różnej liczbie. Paola Etel Pisa i Christian Agrillo pokazali w 2009 r., że również koty domowe wyposażone są w taki rudymmentarny zmysł liczby – potrafią rozróżniać prezentowane im dwu i trzejelementowe zbiory kropek. Zdolność ta nie ogranicza się tylko do wzroku, gdyż jak pokazały wcześniejsze badania, lwy potrafią rozróżniać nagrania ryków przez jednego lwa od odgłosów grupy trzech lwów. Wciąż nie wiadomo jednak, czy w powyższych zadaniach kocie umysły potrafią kodować liczebność abstrakcyjnie, a więc niezależnie od zmysłu, którym docierają do nich bodźce.

Badacz poznania matematycznego Wim Fias, zresztą podobnie jak niegdyś Immanuel Kant, przekonuje, że – przynajmniej u ludzi – ze zmysłem liczby ludzi ściśle powiązany jest zmysł czasu. Choć nikt jak dotąd nie pokazał, że u kotów mechanizmy percepcji liczb i czasu są tożsame lub powiązane, od lat 70. XX w. wiadomo, że zwierzęta te posiadają „wewnętrzne zegary”. I nie chodzi tu tylko o rozróżnianie pór doby czy czasu posiłku. Zegary te działają z większą precyzją: koty potrafią rozróżniać interwały czasowe, trwające 5 i 20 sekund, 5 i 10 sekund, a nawet 5 i 8 sekund (ostatni wynik przypomina ludzką czułość na czas).

Wielu kognitywistów uważa, że największe problemy, jakim musi podołać umysł, to te związane z życiem społecznym. Często spotkać można się wręcz z poglądem, wyrażanym choćby przez antropologa Robina Dunbara z Uniwersytetu Oksfordzkiego, że rozmiar mózgu (a więc i wyrażanie umysłu) danego gatunku idzie w parze z liczebnością osobników w grupie i związaną z tym liczbą interakcji społecznych, z którymi trzeba sobie poradzić (np. tworzyć koalicje, rozróżniać przyjaciół od rywali i troszczyć się o krewnych).

Kotowate w znakomitej większości są samotnikami, których życie społeczne ogranicza się w zasadzie do kojarzenia się osobników w pary oraz matczynej opieki nad potomstwem. Większe grupy tworzą

Koty domowe
**nie są zupełnymi
indywidualistami,**
przywiązującymi się bardziej
do rewiru niż do ludzi
czy innych członków
własnego gatunku.

jedynie lwy, gepardy oraz niektóre koty domowe żyjące na wolności. Jak pokazała Terry Curtis z Uniwersytetu Florydy wraz ze współpracownikami, kolonie tych ostatnich nie są luźnymi skupiskami tworzącymi się wokół źródła pożywienia, ale opierają się na przywiązaniu poszczególnych osobników.

Jak człowiek z kotem

W przypadku kotów żyjących jako zwierzęta towarzyszące ludziom intensywność więzi w ogromnej mierze zależy od sposobu wychowania pupila – mitem jest twierdzenie, że koty domowe są zupełnymi indywidualistami, przywiązującymi się bardziej do rewiru niż do ludzi czy innych członków własnego gatunku. Badacze twierdzą, że okres między drugim a siódmym tygodniem życia jest kluczowy dla socjalizacji kota. Osobniki, które w tym czasie doświadczają bogatych interakcji z człowiekiem, w późniejszym życiu są bardziej ufne i przyjazne wobec ludzkich opiekunów. Co więcej, jak po-

kazał Dennis Tuner z Uniwersytetu w Zurychu, kocięta, które doświadczały osobistego kontaktu z człowiekiem 40 minut dziennie, są bardziej przyjazne niż te, którymi zajmowano się 15 minut dziennie.

Komunikacja między człowiekiem a kotem obejmuje przede wszystkim wskazywanie gestami oraz wzrokiem. Przykładowo, węgierski etolog Ádám Miklósi pokazał, że śledząc ludzkie wskazówki pozawerbalne koty są w stanie zlokalizować ukrytą nagrodę. Co więcej, Isabella Merola z Uniwersytetu Lincolna wraz ze współpracownikami pokazała, że w nietypowych sytuacjach koty przenoszą raz po raz swoje spojrzenie z nieznanego przedmiotu na opiekuna, tak jakby chciały „wyczytać” z zachowania człowieka, czy jest się czego obawiać. Może to oznaczać, że domowe koty, które stereotypowo uznawane są raczej za stoików, potrafią rozpoznawać ludzkie emocje.

Istnieją zresztą badania, które ukazują korelację między ludzkim nastrojem a zachowaniem kota. Szwajcarscy badacze Gerulf Riegger i Dennis Turner pokazali, że koty wykazują wrażliwość na depresyjny nastrój właściciela, co przejawia się częstszym łaszeniem się do niego. Warto dodać, że komunikacja między kotem a człowiekiem jest mocno zindywidualizowana – choć, jak już pisaliśmy, koty rozpoznają ludzi po zapachu, reagują także selektywnie na głos obcych i właścicieli, a jeśli chodzi o tych ostatnich, wchodzą z nimi w zindywidualizowane interakcje.

Koty przeszły więc wraz z nauką długą drogę od zwierząt laboratoryjnych, które można badać jako ogólne modele ssaczego układu nerwowego, do istot interesujących samych w sobie – ciekawskich, obdarzonych czującym i poznającym umysłem. Niemal wszyscy naukowcy, których prace przywoływaaliśmy, w swoich artykułach podkreślają wstępne studium swoich badań. Etologia i psychologia domowych czworonogów to wciąż dyscyplina stawiająca swe pierwsze kroki. Wyjaśnianie kocich umysłów dopiero się zaczęło.

© MATEUSZ HOHOL,
KINGA WOŁOSZYN-HOHOŁ



MATEUSZ HOHOL będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 27 czerwca

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

DR MATEUSZ HOHOL jest kognitywistą, adiunktem w IFiS PAN, członkiem Centrum Kopernika, autorem książki „Wyjaśnić umysł”.

KINGA WOŁOSZYN-HOHOŁ jest psychologiem, przygotowuje doktorat w Instytucie Psychologii UJ, bada percepcję emocji.



Koko i dr Francine Patterson

Żegnaj, Koko

ŁUKASZ KWIATEK

**Najstynniejsza gorylica świata
zmarła we śnie 19 czerwca.
Miała 46 lat.**

J
EJ PIERWSZYMI SŁOWAMI BYŁY: „JEDZENIE”, „PIĆ” i „WIĘCEJ”. Francine Patterson, doktorantka psychologii na Uniwersytecie Stanforda, której marzyła się kariera badaczki zdolności językowych małp, uznała, że właśnie te słowa najłatwiej przyswoi sobie jej nowa podopieczna, gorylica o imieniu Koko. Był lipiec 1972 r. – „Projekt Koko” ruszył pełną parą.

Patterson chciała pracować z szympansamami, których zdolność do nauki Amerykańskiego Języka Migowego (ASL) potwierdzono kilka lat wcześniej, ale akurat żadnego odpowiedniego osobnika nie miała do dyspozycji. Pełna obaw zgodziła się więc na goryla. Małpy te cieszyły się znacznie gorszą opinią – bardziej agresywnych i głupszych od szympansov. Brała się ona z niewiedzy, której skalę dobrze ilustrują losy matki Koko, Jackie. Sprowadzono ją do ogrodu zoologicznego w San Francisco jako... Jacoba – sądzono, że jest samcem, który mógłby spłodzić potom-

stwo z samicą o imieniu Missus. Po pewnym czasie frustrującego oczekiwania, aż między parą małp zaiskrzy, pomyłkę odkryto, Jacob stała się Jackie, poznała samca Bwanę – i 4 lipca 1971 r. wydała na świat Koko.

Już drugiego dnia edukacji Koko zamiągała „jedzenie”. Wkrótce swobodnie używała wielu innych gestów do nazywania przedmiotów, odpowiadania na proste pytania (np. gdzie coś się znajduje) i formułowania prośb. Po miesiącu zaczęła łączyć znaki w dwuelementowe wypowiedzi, np.: „więcej jedzenie”, „więcej pić”, „tutaj usta”. Do końca życia nauczyła się ponad tysiąc znaków. Niektóre modyfikowała – gdy jej dłonie o małych kciukach nie pozwalały z taką łatwością jak dłonie człowieka artykułować pewnych gestów – lub sama tworzyła (łącząc dwa znaki – np. „trawa” i „świnia” – co oznaczało zieloną świnkę, jedną z jej zabawek).

Uwielbiała bawić się lalkami – do których czasem migała – i maskotkami, między innymi aligatorem, z którym w rękach czasem goniła opiekunów. Cieszyła się też, gdy sama była przez nich goniona w ten sposób. Zdjęcia aligatorów wprawiały ją w przerażenie.

Podobnie jak inne małpy uczone języka, zaczęła rozumieć mówiony angielski. W książce „The Education of Koko” Patterson wspomina, że czasem musiała literować, gdy mówiła do kogoś przy Koko i nie chciała, żeby gorylica zrozumiała treść wypowiedzi. Ta sztuczka nie zawsze jednak przy Koko działała – np. szybko nauczyła się, że *c-a-n-d-y* oznacza słodczyce, za którymi przepadała.

Umiała rymować. Zapytana, jakie zwierzę rymuje się z kapeluszem (ang. *hat*), sensownie odpowiadała (wykonując znak ASL): kot (ang. *cat*). – Co rymuje się z gęsią (ang. *goose*)? „Myślę to” – odpowiadała, pokazując na maskotkę łosia (ang. *moose*). Według Patterson miała świetne poczucie humoru i potrafiła żartować – np. droczyć się z nią, celowo używając niewłaściwych gestów i śmiejąc się z tego.

Nie wiemy, co dokładnie konkretne słowa dla niej znaczyły. Np. zwrotu „jeść jedzenie” używała dla każdego przedmiotu, jadalnego czy nie, który po prostu chciała wziąć do ust. „Słomka” oznaczała także gumowego węża, a nawet papierosa, długopis czy antenę samochodową. Niektóre znaki notorycznie myliła – np. oznaczający „mięso” i „kość” oraz „mydło” i „gąbkę” – tak jakby dokładne rozróżnianie pomiędzy nimi uznawała za ludzką fanaberię.

W zaprojektowanych dla dzieci testach na inteligencję (np. wskaż wszystkie żółte przedmioty, wybierz obrazek odpowiadający usłyszanemu zdaniu) osiągała wyniki tylko trochę poniżej średniej. Jej pierwsze odpowiedzi – także w abstrakcyjnym teście matrycy Ravena, który nawet od dorosłych wymaga nie lada wysiłku – często były poprawne, dopiero z czasem błędnie odpowiadała. Według Patterson dlatego, że szybko się nudziła i chciała po prostu, by dano jej spokój.

Została bohaterką kilku filmów dokumentalnych i niezliczonych tekstów i programów telewizyjnych, dwukrotnie trafiła na okładkę „National Geographic”. Za drugim razem w styczniu 1985 r. – ze swoim „adoptowanym” kotem, All Ballem (sama nadała mu to imię). Na wieść o tym, że All Ball zginął pod kołami samochodu, Koko powtarzała w kółko „źle”, „smutny”, „plakać”, po czym udała się do kąta i wydawała żałosne dźwięki (nagranie tej poruszającej sceny można zobaczyć na pwszech.net/koko).

Zapytana, gdzie goryle idą po śmierci, odpowiedziała: „wygodna dziura żegnaj”. A kiedy umierają: „kłopot stary”.

Przez lata wprawiała ludzi w konsternację, zwłaszcza tych filozofów i językoznawców, którzy zdążyli ogłosić, że to właśnie język czyni nas ludźmi. Pozostałych nauczyła nie patrzeć na wszystko zero-jedynkowo – że umysł, świadomość i zdolności językowe mogą występować w różnym nasileniu, i że między nami a nimi nie zionie wcale aż tak głęboka przepaść.

Sporo, jak na goryla.

©P

NIESŁUSZNE HISTORIE

ETGAR KERET, PISARZ:

Życie to taki duży pies, który biega dookoła. Jeśli zdecydujesz się go pogłaskać, być może zostanieie przyjaciółmi, jeśli go kopniesz, prawie na pewno będzie próbował odgryźć ci nogę.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Postać literacka znana jako Etgar Keret do tej pory występowała głównie w Pańskich książkach. Teraz to także bohater filmowy.

ETGAR KERET: To było trudne doświadczenie. W książkach sam jestem reżyserem, a w filmie „Etgar Keret. Oparte na prawdziwej historii” musiałem oddać tę rolę komuś innemu.

Trzeba było trzymać się scenariusza?

Na szczęście pozwolili mi mówić, co chcę. Ale doświadczenie było dziwne, bo po raz pierwszy znalazłem się w historii, której sam nie mogłem opowiedzieć od początku do końca.

„Oparte na prawdziwej historii” – przeczuwam tu żart.

Każda historia jest jak konstrukcja z lego – fakty i wydarzenia to pojedyncze klocki, więc możesz z nich zbudować samochód, statek kosmiczny albo zamek. Dokładnie to z moim życiem zrobili Stephane Kaas i Rutger Lemm.

Na czym więc polega „prawdziwość” tej historii?

Prawda każdej opowieści ma przewrotną naturę. Nie jest ważne, czy coś rzeczywiście się wydarzyło, ale to, że tę samą

historię można opowiadać na nieskończoną liczbę sposobów.

Statek z klocków lego nie jest ani prawdziwy, ani nie jest nieprawdziwy?

Dokładnie! Prawda o klockach lego jest taka, że statek możesz w każdej chwili przerobić na domek. Twórcom filmu spodobała się akurat taka wersja, co nie znaczy, że nie można tego opowiedzieć inaczej. I o to z grubsza w tej historii chodzi.

W Pańskich książkach występuje często też inny Keret – syn Lew, główny bohater „Siedmiu wspaniałych lat”. Jak się z tym czuje? Jeśli dobrze liczę, ma już 12 lat.

Poprosił mnie, żebym nie publikował „Siedmiu wspaniałych lat” w Izraelu. Oczywiście zgodziłem się, w końcu porównuję go tam do skorumpowanych polityków albo kapryśnych dyktatorów, a przecież nikt nie lubi być zestawiany z Donaldem Trumpem. Nie chciał też, żeby rówieśnicy znali intymne szczegóły z jego życia.

Ale polski egzemplarz mam w rękach.

O tym również z nim rozmawiałem. Zgodził się na publikację w innych językach. Zapytał tylko, czy mi za to zapłaci. Gdy odpowiedziałem, że tak, zgodził się



MAT. PRASOWE KFF

bez większych oporów. Ale żeby zamaskować swój pragmatyzm, dodał szybko, że i tak nie zna nikogo poza Izraelem.

Może kiedyś się zgodzi na publikację po hebrajsku.

Zobaczmy. Błogosławieństwo bycia dzieckiem polega na tym, że nie myśli się o „kiedyś”. Z kolei z rodzicami jest odwrotnie – trzeba planować kilkanaście ruchów do przodu. Jeszcze kilka lat temu zdarzało mi się zamieszczać na Facebooku krótkie filmy z rodzinnymi wycieczek, ale ostatnio sytuacja polityczna w Izraelu zgęstniała, a ja często zabieram głos w sprawach publicznych. Gdy piszesz fikcje, ludzie albo cię lubią, albo mają cię gdzieś. Sytuacja zmienia się diametralnie, gdy wkracza polityka. Dostałem nawet kilka listów z pogrozkami, niektóre z nich dotyczyły mojego syna i żony. Dlatego teraz uważam.

Cztery lata temu w wywiadzie dla „Tygodnika” dużo Pan opowiadał



Pisarz w filmie „Etgar Keret. Oparte na prawdziwej historii”, reż. Stephane Kaas, 2017 r.

o udrękach i ekstazach ojcostwa. Coś się zmieniło od tego czasu?

Z każdy rok jest trudniej. Do pewnego momentu rodzic to interfejs między światem a dzieckiem. Kiedyś tylko interpretowałem dla niego rzeczywistość dookoła, a teraz działamy razem, jako wspólna ekspedycja, która zapuszcza się na nieznane terytoria. Coraz częściej też się kłócimy, próbując wypracować wspólne stanowisko.

Pojawiają się trudne pytania?

Nieustannie muszę tłumaczyć, dlaczego ludzie zachowują się tak, a nie inaczej. A często sam nie mam zielonego pojęcia. To nieuniknione, gdy żyje się w kraju, który od 70 lat jest w stanie wojny. Ostatnio oglądaliśmy razem wiadomości, w których pojawiła się informacja o zamieszkach w strefie Gazy, gdzie 60 osób zostało zabitych. Dlaczego? Czy to było konieczne? Po co przenoszono amerykańską ambasadę z Tel Awiwu do Jerozolimy? Na

ETGAR KERET (ur. 1967) jest izraelskim prozaikiem, scenarzystą i reżyserem, wykładowcą Wyższej Szkoły Filmowej w Tel Awiwie. Laureat nagrody MTV. Doczekał się licznych przekładów, jego utwory posłużyły za podstawę scenariuszy do blisko 50 filmów. Wyreżyserowane przez Kereta i jego żonę Shirę Geffen „Meduzy” dostały Złotą Kamerę na Festiwalu w Cannes. W Polsce ukazało się siedem zbiorów jego opowiadań, ostatni „Siedem dobrych lat” w 2014 r. W 2016 r. otrzymał polskie obywatelstwo.

takie pytania nie potrafię już jednoznacznie odpowiedzieć.

Jest Pan znany z tego, że w takich sytuacjach pomaga sobie tworząc opowieści. W tym przypadku się nie da? Są dla Pana w ogóle granice tego, o czym można snuć historie?

Problemem nigdy nie jest temat, ale sam sposób opowiadania. Warunkiem każdej opowieści jest bezwarunkowa szczerość. Jeśli opowiadasz jakąś historię tylko dlatego, żeby inni myśleli, że jesteś zabawny albo błyskotliwy, to będzie słychać w tym fałsz. A sensu w polityce najlepiej szukać w małych, pozornie błahych historyjkach.

Niedawno miałem wykład na uniwersytecie w Michigan. Długo jechałem z lotniska, więc miałem czas na pogawędkę z młodym kierowcą. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach: o jedzeniu, o małżeństwie, spieraliśmy się nawet o ostatni odcinek „Breaking Bad”. W pewnym momencie zapytałem go, na kogo głosował w ostatnich wyborach. Odpowiedział, że na Trumpa, na co oczywiście zapytałem: dlaczego? Wyjaśnił mi, że pochodzi z bardzo biednej rodziny i całe życie mieszkał w sąsiedztwie college’u. Wszyscy dookoła byli szczupłymi, lewicowymi weganami. Przez lata gdy wychodził z domu najpierw do szkoły, potem do nienawidzonej pracy, →

→ słyszał ich radosne rozmowy i śmiechy. Doprowadzało go to do szału, więc zagłósował na Trumpa.

Jego życie stało się od tego lepsze?

Też go o to zapytałem. Odpowiedział: „Nie, ale tamci przynajmniej przestali się śmiać”. Ta prosta historia dobrze pokazuje motywację wielu ludzi dziś. To samo było w Wielkiej Brytanii z brexitem – ludzie czuli się zwyczajnie niedowartościowani, odsunięci na boczny tor. Ci, którzy nie dostali swojego kawałka ciastka, uznali, że sprawiedliwiej będzie, jeśli nie dostanie go nikt. Niestety, tę samą frustrację widzę teraz w Polsce.

Winni są ci, którzy dostali ciastko?

Do pewnego stopnia tak, sam mam wyrzuty sumienia.

Dlaczego?

Jako przedstawiciel frakcji lewicowo-liberalnej zawsze czułem dumę ze swoich życiowych wyborów. Ten rodzaj świętoszkowatej pychy, która towarzyszy nam, gdy w swoim mniemaniu działamy słusznie i postępowo. Skoro my robimy dobrze, to znaczy, że oni źle, więc trzeba ich pouczyć. Pomijając już fakt, że konsekwencje tego okazały się katastrofalne, to przecież fałszywa wizja świata! Czysta ideologia, która ma więcej wspólnego z kibicowaniem swojej drużynie piłkarskiej niż z prawdą, jakkolwiek rozumianą.

Dzielimy się na plemiona?

I decyzję podejmujemy tylko raz – wybieramy przynależność do jednej grupy, a potem nie musimy już myśleć. Nasze wybory polityczne rzadko mają związek z rzeczywistością, to raczej odzwierciedlenie wyznawanych wartości pomieszanego z lękiem, często nie w pełni uświadamianym. Nasze wybory ideologiczne nie pokazują, kim jesteśmy, ale to, kim pragniemy być. Głosuję na lewicę, czyli chcę być wrażliwy i empatyczny. Jeśli z kolei imponują mi ludzie twardzi i bezwzględni, chętniej zagłosuję na prawicę. A przecież to są tylko fantazje o sobie samym.

Dlatego literatura tłumaczy te mechanizmy najlepiej?

Zdecydowanie, bo wszystko rozbija się o to, jakie opowieści w życiu wybieramy. Weźmy przykład Ameryki czasów Obamy i czasów Trumpa. Ten pierwszy był naj-

bardziej inspirującym ze wszystkich dotychczasowych przywódców tego kraju. Ale to za jego czasów wypłynęły największe afery i przekręty Wall Street, mimo to żaden bankier nie trafił do więzienia. Wzrosła też drastycznie liczba ofiar ataków amerykańskich dronów. Nie znaczy to oczywiście, że Obama jest członkiem międzynarodowej finansowej szajki, ani tym bardziej, że jest mordercą. Po prostu jako przywódca zaprezentował oblicze, z którym łatwo mogłem sympatyzować. I to działa w dwie strony – Trump i jego administracja podejmuje wiele fatalnych i odrażających decyzji, ale system działa właściwie tak samo.

Czy to znaczy, że retoryka i styl sprawowania władzy są bez znaczenia?

Odpowiednio duże stężenie populizmu potrafi zmienić DNA naszej rzeczywistości. Na przykład wtedy, gdy upolitycznia się wymiar sprawiedliwości, jak to niestety dzieje się teraz w Polsce.

Skoro nasze decyzje polityczne opierają się na opowieściach, to może już czas najwyższy zacząć wymyślać inne, mniej destrukcyjne?

Dzień po ostatnich palestyńskich demonstracjach, w których, powtórzmy, zginęło 60 osób, kolejnych 200 zostało ciężko rannych, siedłem ulicą całkowicie zdruzgotany. Spotkałem sąsiada, który zapytał, co mnie tak gnębi. Odpowiedziałem mu, że jestem zszokowany wczorajszymi wydarzeniami. Sąsiad przytaknął i dodał oburzony: „Też nie mogę uwierzyć, że Ivanka Trump założyła taką sukienkę. Otwarcie ambasady, a ona w takim worku!”. Z kolei dla innego znajomego główną wiadomością tamtego dnia była wygrana Izraela na konkursie Eurowizji...

...chodzi Panu o społeczne znieczulenie czy o siećkę medialną?

Raczej o to, że żyjemy w równoległych światach, wytwarzanych poprzez konkurencyjne opowieści. Ale czy należy w ciemno potępić kogoś, kto zamiast dyskutować o masakrze podczas otwarcia ambasady woli cieszyć się ze zwycięstwa piosenkarki, którą lubi? Może w ten sposób chce pokazać, że świat nie jest wyłącznie przerażającym miejscem? Że Izrael nie jest tylko przemoc podsztytą nacjonalizmem? Każdy człowiek to osobna galaktyka, której kształt nadaje co innego, inna opowieść.

Czyli przekonywanie do własnej nie ma sensu?

Pokażę to przy pomocy opowieści, którą usłyszałem od ojca, gdy byłem mały. Dzięki niej uświadomiłem sobie, na czym polega moc opowiadania. Mój ojciec przeżył wojnę ukrywając się przez ponad 600 dni w dziurze w ziemi. Było tam tak mało miejsca, że nie mógł ani wstać, ani wyciągnąć nóg. Gdy sowieccy żołnierze wyciągnęli go w końcu, jego mięśnie były tak zwiotczałe, że nie mógł chodzić. Zapytałem go, jakim cudem nie oszalał przez ten czas. Odpowiedział, że każdy człowiek jest mistrzem świata w jakiejś dziedzinie. Niestety, niektórzy nigdy nie dowiedzą się w jakiej. Na przykład – ty mógłbyś być mistrzem świata w tenisie, ale jeżeli nigdy nie miałeś w rękę rakietę, nie przekonasz się o tym. Ojciec twierdzi, że w czasie wojny miał szczęście, bo odkrył swój wielki talent – umiejętność spania w każdy warunkach. Twierdził, że przez te dwa lata budził się tylko co jakiś czas i pytał swojego ojca, czy wojna się już skończyła. Gdy ten mówił mu, że jeszcze nie, zasypiał ponownie.

Uwierzył Pan?

Nawet dla kilkulatka to brzmiało podejrzanie. Ale najważniejsze było co innego. Mój ojciec za wszelką cenę nie chciał opowiadać o sobie jako o ofierze. Zawsze fascynowało mnie, że mimo traumatycznych doświadczeń, do końca życia pozostał radykalnym optymistą. Twierdził, że kiedy był dzieckiem, mnóstwo ludzi chciało go zamordować, a od tego czasu sytuacja nieustannie się poprawia, są więc powody do zadowolenia.

Wszystko dzięki historii, którą sam sobie opowiadał.

W ten sposób nie tylko nie czuł się ofiarą, ale na nowo mógł uwierzyć w ludzką dobroć. Dla mnie to najlepszy dowód na to, jak potężne potrafią być opowieści.

Optymizm jest z pewnością także Pańskim znakiem firmowym.

Różnica między optymizmem a pesymizmem polega na pewności siebie. Sukces prawicowych populistów w ostatnich latach w oczywisty sposób wziął się ze strachu. Jeśli się boisz, przekonują cię opowieści o budowaniu silniejszej armii, o wyrzucaniu z kraju obcych czy o budowaniu murów. I odwrotnie: liberalno-lewicowy światopogląd zasadza się na ogólnym przekonaniu, że inni ludzie nie chcą

cię skrzywdzić. I znowu, tego typu opowieści mają potężną moc samosprawdzających się przepowiedni. Jeśli bardzo boisz się psów, jest większa szansa, że któryś cię ugryzie. A życie to w zasadzie taki duży pies, który biega dookoła. Jeśli zdecydujesz się go pogłaskać, być może zostanieie przyjaciółmi, jeśli go kopniesz, prawie na pewno będzie próbował odgryźć ci nogę.

Myśli Pan, że to takie proste?

Nie jest to uniwersalna zasada, ale sprawdza się w najróżniejszych kontekstach. Weźmy na przykład pamięć o Holokauście. Każde prawo, które będzie próbowało zakazać mówienia o jakichś wydarzeniach, zadziała dokładnie odwrotnie. Dlaczego? Bo pokazuje, że jego twórca czuje się niepewnie.

Chodzi o awanturę wokół polskiej ustawy o IPN?

Oczywiście, ale nie tylko. Gdy Erdoğan wprowadził prawo zakazujące mówienia o tureckim ludobójstwie na Ormianach w czasie I wojny, z pewnością nikogo nie przekonał do swojej wersji historii. Co więcej, dopiero wtedy wiele osób na całym świecie po raz pierwszy usłyszało o tej tragedii.

W przypadku polskiej ustawy działa ten sam mechanizm. Relacje polsko-żydowskie w czasie II wojny były bardzo skomplikowane – to jedyna rzecz, jaką można z całą pewnością powiedzieć. Byli bohaterowie, którzy z narażeniem życia ratowali innych, byli też tacy, dla których była to wspaniała okazja, żeby dać upust antysemitickim żądom. Jak zawsze, nie ma jednej słusznej wersji historii. Każdy, kto uważa inaczej, robi to ze strachu.

Pan, jak i wszyscy Pańscy znajomi, służyliście trzy lata w armii. I nie mówimy tu o bieganiu po lesie czy robieniu pompek. Każdy z Was widział śmierć i piekło wojny na własne oczy. To musi zostawić ślad.

I zostawia. Szczególnie dobrze to widzę, gdy wyjeżdżam z kraju. Izraelskie społeczeństwo jako całość cierpi na szczególny przypadek rozdwojenia. Weźmy mojego dentystę, który uważa się za radykalnego lewicowca. Jest weganinem, bardzo kocha zwierzęta, nie pozwala też swoim dzieciom oglądać telewizji, bo jest w niej za dużo przemocy. Ale gdy służył w wojsku, był snajperem. Czyli jednego dnia strzelał ludziom między oczy, następnego zama-

ETGAR KERET:

Zgubą jest świętoszkowata pycha, która towarzyszy nam, gdy w swoim mniemaniu działamy słusznie i postępowo. Skoro my robimy dobrze, to znaczy, że oni źle, więc trzeba ich pouczyć. Konsekwencje okazały się katastrofalne – to przecież całkowicie fałszywa wizja świata!

wiał w restauracji makaron z tofu, bo nie chciał, żeby z jego powodu zginął kurczak. Takie rozdwojenie wcale nie jest rzadkie. Obywateli uczy się tu zabijać innych ludzi na dziesiątki sposobów, jednocześnie każąc im funkcjonować w pozornie normalnym, cywilizowanym społeczeństwie.

Rodzic, który musi postać swoje dziecko do wojska – ten wątek powraca wiele razy w Pańskiej prozie. Jeśli jesteś rodzicem jednego, możesz wnioskować o anulowanie służby?

Nie, ale możesz starać się, żeby nie trafiło do jednostki bojowej. A jeśli masz więcej niż jedno, możesz wybrać, które pójdzie na front.

Czyli rodzice mogą wybrać: życie którego dziecka cenią bardziej. Jak to możliwe, że panuje na to powszechna zgoda?

Jeśli żyjesz w danym społeczeństwie, musisz przestrzegać jego reguł – wszystkich, nie tylko wybranych. Jeśli żyjesz w społeczeństwie, które potrzebuje silnej armii, aby przetrwać... Oczywiście mam ogromne pretensje do polityków, że nie wkładają odpowiedniego wysiłku w działania pokojowe, do tego używają armii do własnych gier, ale niestety, nie ma tu dobrego rozwiązania.

Rozmawiał Pan o tym z synem?

Tak. Powiedziałem mu, że jeżeli ktoś nie chce służyć w izraelskiej armii, powinien wyjechać z tego kraju, w przeciwnym wypadku zachowuje się nieuczciwie.

Mam wrażenie, że bycie obywatelem Izraela, szczególnie o liberalno-lewicowych poglądach, polega na ciągłym podejmowaniu niemożliwych do podjęcia decyzji. Nie zgadza się Pan na żydowską kolonizację Zachodniego Brzegu, żona uważa nawet, że nie powinien Pan odwiedzać swojej siostry, która tam mieszka. Granicę tego, co etycznie akceptowalne, można przesunąć w nieskończoność – i to w obie strony.

Można powiedzieć, że oddychając zacierasz innym ludziom tlen, więc faktycznie te granice można przesunąć aż do absurdu. Każdy z nas sam musi ją sobie wyznaczyć. Zdecydować, z czym jest w stanie żyć dalej, a z czym nie.

Chodziło mi o to, że na przykład w Polsce konsekwencje podejmowanych na co dzień decyzji są nieporównywalnie łżejsze.

Wszystko jest względne. Obecny polski rząd też wymusza na swoich obywatelach wiele istotnych decyzji. Ma znaczenie, czy zostaniesz w domu na kanapie, czy raczej pójdziesz protestować w obronę wolnych sądów. Czy napiszesz wiersz o ptaszkach, czy raczej płomienny polityczny esej. Co gorsza – nigdy nie będziesz mieć pewności, czy wybrałeś słusznie.

Da się dziś w Izraelu być pisarzem apolitycznym?

Znam kilku artystów, którzy się w ten sposób definiują, ale sama taka deklaracja jest przecież skrajnie polityczna. Polityka nigdy nie jest eksterytorialna wobec życia, bo bazuje na ludzkich emocjach: strachu, nienawiści, ale też nadziei i chęci czynienia dobra. Z tego samego czerpie sztuka, więc każdy artysta jest źródłowo związany z polityką.

Nie boi się Pan, że pewnego dnia znudzi się Panu opowiadanie historii?

Mam tak, że potrzeba opowiadania opowieści pojawia się u mnie wtedy, gdy natykam w życiu na jakąś przeszkodę. Jeżeli więc dojdę do momentu, w którym nie będę potrzebował opowieści, to trudno – będzie to bowiem znaczyło, że osiągnąłem pełnię szczęścia.

Opowiadanie historii nigdy nie jest dla mnie celem samym w sobie. Potrzebuję ich wtedy, gdy życie okazuje się niewystarczające.

©P

Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Filozof i zakonnica

JAN TOKARSKI

„Bez piękna się umiera” – wyznawała w jednym z listów. On zaś, zgadzając się, odpowiadał: problem w tym, że „żaden śmiertelnik nie może długo wytrzymać na takich wyżynach”.

MELANIE VON NAGEL, MIESZKAJĄCA NA co dzień w klasztorze w Bethlehem w stanie Connecticut, była benedyktyńską mniszką. Nicola Chiaromonte – jednym z najwybitniejszych włoskich filozofów. Ona pisała do niego na przykład tak: „To ogród rozmyślań; są tam cztery pory roku, dzień i noc – słońce i deszcz, wszystkiego do woli, i żadnej pracy, jeśli nie liczyć zbierania kwiatów, ziół, owoców. O każdej porze roku można przysiąść, rozejrzeć się wokoło, zatrzymać na czymś wzrok. Wiele tam zapachów, są rzecz jasna i ptaszki, i pszczoły niezbędne dla drzew owocowych. I szmer wody, i szum wiatru pośród gałęzi. Choć z pozoru wygląda na skomplikowany, to po dłuższym pobycie okazuje się prosty. Spędziłam w nim już wiele czasu. I było mi dobrze. Raz po raz mam nadzieję, że mnie zaprosisz. I że będziesz tam szczęśliwy”.

O Nicoli Chiaromontem pisał Czesław Miłosz, że zajmie należne mu miejsce wśród XX-wiecznych tytanów dopiero po upływie długiego czasu, gdy zasługi zostaną sprawiedliwie rozdane. Chiaromonte urodził się w 1905 r. W latach 30. uczestniczył w ruchu antyfaszystowskim, a po wojnie wyemigrował na kilka lat do Stanów Zjednoczonych. W roku 1956 wspólnie z Ignaziem Silonem założył „Tempo Presente” – jeden z najlepszych periodyków intelektualnych, jakie wydawano w tym czasie w zachodniej Europie. Pod koniec lat 60. pismo rozwiązano, a Chiaromonte nie mógł odnaleźć dla siebie miejsca. Za życia opublikował tylko jedną książkę – będący zapisem serii wykładów w USA „Paradoks historii”. Zmarł w 1972 r. na zawał serca, podczas udzielania radiowego wywiadu. Do jego najbliższych przyjaciół należeli m.in. Gustaw Herling-Grudziński i Hannah Arendt.

Melanie von Nagel urodziła się trzy lata później niż on. Młodość spędziła w Monachium, gdzie wyszła za mąż za malarza

Halila-bega Mussayassula. Po wojnie mieszkała przez jakiś czas w Nowym Jorku. Była m.in. tłumaczką Celana, Montalego, Trakla. Władała biegle pięcioma językami. W roku 1957 zdecydowała się zostać zakonnicą w klasztorze benedyktynek Regina Laudis. Tam spędziła resztę życia.

Chiaromonte i von Nagel poznali się w połowie lat 50. Spotkali się zaledwie kilka razy, niemniej połączyła ich bardzo głęboka, intymna więź. Przez ostatnich pięć lat życia Chiaromontego wymienili między sobą około 1200 listów. Z niezwykłą czułością i prostotą dzielili się w nich uczuciami i przemyśleniami. On wyjaśniał jej meandry myśli Platona, ona przysyłała mu zebrane w ogrodzie liście. Dyskutowali o historii, kulturze, społeczeństwie. Bez żadnych wzajemnych oczekiwań, bez woli przekonania drugiej strony do swoich racji. Dla obojga – agnostyka i zakonnica – była to prawdziwa rozmowa, w której można powiedzieć, co się samemu myśli, jak i wysłuchać innego. „Gdybyś znalazła w moich listach jakieś niejasności czy powikłania – pisał Chiaromonte – chciałbym, żebyś mi to powiedziała bez ogródek i określiła, na czym one polegają. Wiem świetnie, że często rozwijam nitki, których początki tkwią... w mojej głowie. I jeśli inny (a szczególnie Ty) nie zwróci mi na to uwagi, pozostanę zaplątany w moich powikłanych myślach, zamiast być zmuszonym do wyjaśniania ich, to znaczy do wystawiania ich na próbę innego”.

Wybór listów Chiaromontego do Muszki (jak pieszczotliwie określał mniszkę myśliciel) ukazał się właśnie po polsku nakładem gdańskiego wydawnictwa słowo/ obraz terytoria. Ta książka to znakomita okazja, aby przyjrzeć się nie tylko tej wysoce nietypowej „historii miłosnej”, ale i zastanowić się nad możliwością przyjaźni w czasie marnym.



ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Melanie von Nagel podczas wizyty na Kapitolu, Waszyngton, 1928 r.

W ogródku i za płotem

O jakim ogrodzie pisała w swoim liście Muszka? Czy tylko o ogrodzie przy jej klasztorze w Bethlehem? Czy to miejsce wytchnienia? Ławeczka pośród zieleni, w cieniu rozłożystego dębu, na której można przysiąść i odpocząć? Czy czas spowalnia tu swój bieg, zgiełk przycicha i nagle można usłyszeć i zobaczyć to, co na co dzień niesłyszalne, niewidoczne?

A może raczej chodzi o raj duchowych obfitości? Prostej radości życia? O przestrzeń, w której odnajdujemy zagubioną harmonię rzeczy? Ogród własny, prywatny, intymny. W końcu nie jest on (przynajmniej w tym przypadku) symbolem przyrody. To natura zhumanizowana, przykrojona do ludzkich potrzeb i oczekiwań. Pielęguje się w nim nie rośliny, lecz duchowe uniesienia – niejako przeciwko zgiełkowi i głupocie zewnętrznego świata.

„Bez piękna się umiera” – wyznawała pisarzowi w jednym z listów Muszka. On zaś, zgadzając się, odpowiadał: problem w tym, że „żaden śmiertelnik nie może długo wytrzymać na takich wyżynach”. Życie, powtarzał za Plotynem, zawsze jest więc upadkiem, utratą skrzydeł.

Rozmowa między Chiaromontem i Muszką ma w sobie coś z azylu, chęci

ucieczki od coraz bardziej rozpędzonego, zdziczałego od postępu świata. Człowiek nie odnajduje w nim siebie. Przeciwnie, „gubi się w labiryncie, miejscami nawet cudownym, złudzeń i pokus”. To świat, który atakuje nas wciąż nowymi możliwościami, skłania do przeskakiwania od jednej do drugiej atrakcji bez chwili wytchnienia; wreszcie: w którym nie ma jasnej idei piękna czy pięknego życia. „Czego brak naszym współczesnym?” – pyta Chiaromonte. I odpowiada: „Właśnie pewności, że Nicość nie unicestwia – że śmierć nie jest największym złem – i że to, czego człowiek jest wart, przetrwa”. Dlatego czasy współczesne są przede wszystkim wielkim wyścigiem – wyścigiem z nieznośnym poczuciem nudy, braku sensu i celu. „Prawdziwe współczesne barbarzyństwo to inteligencja, która przypisuje sobie natychmiastową i niezawodną skuteczność, czyli przeobraża się natychmiast w taką czy inną formę przemocy”.

Ogród Muszki ma więc być dla niej i dla Chiaromontego miejscem wytchnienia, w którym nie doskwiera nam to, co (choć przez większość czasu nie zdajemy sobie z tego sprawy) doskwiera nam nieustannie: poczucie braku. Tu nie trzeba oswajać pustki ani szukać utraconej więzi z rzeczami czy ludźmi. Zachwyt naturą jest jakby tylko zapisem, skrótem symbolizującym mityczne miejsce sprzed wygnania. Miejsce, w którym nareszcie – chociaż przez moment – możemy poczuć się u siebie. Szczęśliwi.

Szczęście, czyli co?

Tylko czym właściwie jest szczęście? Chiaromonte wyznaje Muszce w jednym z listów, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. „Szczęście? Wiem, czym jest jego przeciwieństwo, bycie nieszczęśliwym: to poczucie beczynności, bezużyteczności, nudy, zubożenia. Lecz wiem na przykład, że ból nie oznacza bycia nieszczęśliwym. Wiem także, że szczęście, które by trwało, byłoby formą głupoty. Poznałem ludzi, których w tym znaczeniu można było określić jako »szczęśliwych«: nie byli wiele wari. Oczywiście świadomość tego – więcej: można powiedzieć, świadoma rezygnacja z bycia szczęśliwym w takim znaczeniu, w jakim ludzie pojmują szczęście (to znaczy pełne zaspokojenie pragnień i ambicji) – taka świadomość (...) wpędza niewątpliwie w melancholię – »oddziała« zbyt często w sposób bolesny od



Nicola Chiaromonte w swoim rzymskim mieszkaniu, 1968 r.

innych. Ale z drugiej strony wydaje mi się, że za każdy prawdziwy czyn (to znaczy za wszystko, czego prawdziwie chcemy czy nie chcemy) płacimy jakąś cenę i równocześnie otrzymujemy rekompensatę”.

Ideał szczęśliwego życia jest więc ideałem zakłamanym. Ma w sobie coś z konformizmu, pospolitości, może nawet zewszierzenia. Im dłużej przeżywamy radosne uniesienia, tym mniej mamy w sobie krytycznego osądu, trzeźwego spojrzenia z zewnątrz. Szczęście długotrwałe przemienia się niepostrzeżenie w ekstatyczny taniec dzikich wokół ognia, względnie

– ultranowoczesną formę znieczulenia, *happiness pill*.

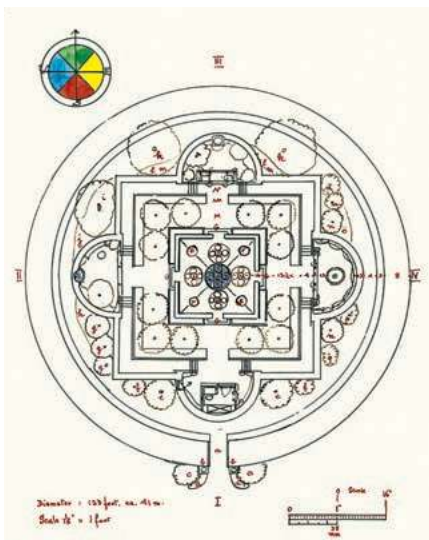
W jednym z listów Chiaromonte wyjaśnia Muszce, co kryje się dla niego pod tym złowrogo brzmiącym słowem: „Pytasz mnie, co rozumiem przez »negację, którą nosimy w sobie«. Powiedziałbym właśnie, niemożność dla nas, ludzi i śmiertelników, bycia »szczęśliwymi« (»szczęśliwy« to w poezji greckiej przymiotnik zarezerwowany dla bogów) dłużej niż przez chwilę czy dzień, to znaczy niemożność niedostrzegania »tego, czego brakuje« (do szczęścia, tak jak do piękna →

→ czy do sprawiedliwości na tym świecie) (...). Dlatego, jak mi się wydaje, tak wielką wartość ma prawdziwa miłość: wymazuje ona błędy czy ułomności, czy niedociągnięcia, czy nawet winy – ten, kto kocha, jest skłonny bowiem o p ł a c i ć to, czego brakuje ukochanemu, powiedziałbym: opłacić z własnej kieszeni, czuć się samemu winnym przewiny drugiego – tak jak zresztą w rzeczywistości odpowiada się zawsze za ciężkie przewiny. (Jak można by się czuć »niewinnymi« czy »sprawiedliwymi« bez faryzeuszostwa?)”.

A więc miłość zbawia. Daje upragnione wytchnienie. Nie hen, tam – gdzieś w zaświatach. Ani nawet nie w pocałunku, dotyku ciał, ekstazie erotycznego uniesienia. Zbawia, bo kiedy kocham i odpłacam *in blanco* czyjeś niedoskonałości, wznoszę się ponad własne ograniczenia. Kiedy zaś jestem kochany, ktoś inny mnie usprawiedliwia. Słowem, rozgrzesza z tego, że jestem. Miłość nie jest więc żadnym „spełnieniem”. „Kochać – pisze Chiaromonte – znaczy nieskończenie pragnąć – pragnąć nieskończoności – i nie móc jej osiągnąć”.

Iluzje postępu

„Twoje listy pomagają mi żyć, a nawet oddychać” – pisze w innym z listów Chiaromonte. Korespondencja jest dla nich codziennym niemal rytuałem – wysyłają sobie średnio dwa, trzy listy tygodniowo. Ten rytuał pozwala oddzielić w codzienności blizhtr i blagę od spraw ważnych, rzetelnych. Stwarza szansę, by podzielić się – ze szczodrości, nadmiaru, bogactwa ducha – wszystkim tym, co oboje noszą w sobie. Stanowi też rodzaj schronienia przed światem; miejsca, do którego można się bezpiecznie wycofać. Gdzie jest się z dala choćby od współczesnego artysty, „pajaca albo linoskoczka, mającego bawić luksusowe towarzystwo, które wcale się nie bawi, tylko udaje, podobnie jak oni udają, że uprawiają sztukę”. Ale również – od współczesnego polityka, uwiedzionego iluzją swojej potęgi. Dla dzisiejszych rządzących władza „jest po prostu władzą – zaspokojeniem Ego, największym z możliwych. Nie ma nic wspólnego ze szczęściem; w ogóle nie wiedzą, co ono oznacza. Ważne, żeby znaleźć się na szczycie piramidy, a stamtąd... co robić? Dzisiaj bardzo często – powiem więcej: zawsze – władcy, których znamy (...) są miernotami, biurokratami, którzy zrobili karierę. To całe zagadnienie władzy przypomina dziś zagadnienie luksusu. Nie można patrzeć na



RYŚ. MELANIE VON NAGEL / BIBLIOTECA GINO BIANCO

Z LISTU MELANII VON NAGEL:

„Skończyłam ogród. Pomysł, żeby zrobić dla Ciebie ogród, przyszedł mi do głowy, kiedy mi napisałeś o pasku ogrodu przy ulicy Adda, i było mi tak przykro, że musieliście się wyprowadzić. Zazwyczaj potrafię narysować ogród tylko wtedy, gdy mogę go dostosować do jakiegoś konkretnego miejsca, znam jego położenie i użytkowanie. Tutaj problem był odmienny: mogłam pominąć aspekty praktyczne, ale potrzebny był rysunek. Szukałam *jardin interieur* [ogrodu wewnętrznego] – ale w którym byłyby drzewka oliwne, zwykłe róże, pomarańcze, cytryny. W książce o mandalach indyjsko-tybetańskich, tych obrazach medytacyjnych, zobaczyłam jedną, która przypominała ogród, i stąd wziął się pomysł.

Wymiary są podane w stopach, ale starałam się dać również skalę metryczną. Trzy stopy to około jednego metra (95 cm). Ogród jest nieduży. Liczą się proporcje. Jest dość miejsca, żeby wszędzie przejść, ale jednostką podstawową są mniej więcej wymiary mojej celi (w St. Francis) – nie ma zbędnej przestrzeni, jest na ludzką miarę”.

4 lipca 1967, wieczór

(przeł. Alina Kreisberg)

nie ani go doświadczać bez obrzydzenia, a także nienawiści. Przez jego próżność, brutalność, brzydotę i głupotę”.

Jak się przed tym wszystkim uchronić? Nicola Chiaromonte szczególnie mocno odrzuca – rzecz na przełomie lat 60. i 70. XX w. rzadka – wizję dokonującego się w historii postępu. Nie wierzy w to, że wydarzeniami rządzą głęboko ukryte, a jednak niezawodne „spisowe prawa dzie-

jów”. Przeciwnie, jest przeświadczony, że w swojej najgłębszej warstwie historia jest chaosem – lub, co na jedno wychodzi, odbiciem chaosu, który tkwi w ludzkiej naturze: „Historia jest wynikiem wszystkich ludzkich działań. Jak można w niej odnaleźć jakąkolwiek przyczynowość? Mnie się wydaje, że należy w niej raczej dostrzegać pozostałość wszystkich bezsensownych czynów, które składają się na tak zwaną »historię« (polityczną, gospodarczą, społeczną). Ruiny, które zostawia po sobie kataklizm – albo śmieci, które nie się potok. Nie umiem tego lepiej wyrazić”. Również globalizacja – medialne i gospodarcze połączenie całego globu w jeden organizm – okazuje się raczej siedliskiem chaosu niż porządku. „Ludzkość wkroczyła w erę gigantycznej »diaspory«. Stał się już tylko mrowiem tułaczy, których jedynym wiatykiem była Księga (Biblia i Ewangelie) i książki. I nie odnaleźliśmy jeszcze ojczyzny – z wyjątkiem tych małych narodów, które Ty, i słusznie, tak bardzo kochasz”.

Gdzie w takim świecie miejsce na religię czy wiarę w Boga? Chiaromonte byłby zdecydowanym przeciwnikiem sformułowanej już po jego śmierci tezy o renesansie *sacrum*. W rzekomym powrocie do wiary widziałby chyba raczej antidotum na specyficzne bóle współczesnego człowieka aniżeli przejaw autentycznej potrzeby duchowej. Celem religii – pisał Muszce – „jest zapewnienie społeczeństwu – wówczas, kiedy w danych okolicznościach jest to możliwe – zachowania pewnego »porządku«, pewnych »rytmów«, stałości pewnych »wibracji«. Reszta, rzekłbym, to przesady, arogancja intelektualna i chęć panowania. Z tego powodu, pozwolę sobie dodać, odrzucam ustaloną religię – choć wiem dobrze, że religia nie jest sprawą osobistą – sprawą indywidualnego wyboru”. Nie można jej zamknąć w sferze ściśle prywatnych, jednostkowych wierzeń, bo domaga się zawsze zewnętrznej, a więc publicznej artykulacji. A domaga się jej, bo jest więzią, która łączy ludzi ze sobą. Więzią szalenie mocną, gdyż dotyczy wspólnej wiary w to, co fundamentalnie ważne, acz niewidoczne gołym okiem.

Według niego mamy raczej do czynienia z „narodzinami nowej, bezkształtnej religii czy bałwochwalstwa. Religii zakorzenionej w rzeczach doczesnych – w chwili obecnej – w zapominaniu o samym sobie, w ciągłym pragnieniu, spo-

wodowanym oderwaniem od istnienia jakiegos świata – od tego, że jest się śmiertelnym – a nawet od głębokiej radości – radość bowiem potrzebuje »drugiego«». Gdyby poznał internet i media społecznościowe, Chiaromonte utwierdziłby się w tym przekonaniu. Bez względu na to, ile „lajków” w sieci dotyczy Pana Boga.

Czysta miłość?

Czytając „Listy do Muszki”, trudno nie zadać sobie pytania: czy ta korespondencja to miłość w czystej postaci? A więc miłość pozbawiona cielesnych namietności, nieuchronnie w nie wpisanej gry o władzę między płciami? Nie znajduję tu śladu tęsknoty innej aniżeli duchowa. Nic nie wydaje się w tych listach zrodzone z braku, osamotnienia czy desperacji. Nawet gorycz zdaje się mieć źródło w duchowym bogactwie.

Zaraz jednak pojawia się we mnie wrażenie odwrotne. Czy przesyłane przez benedyktyńską mniszkę filozofowi liście nie stanowią namiastki zmysłowości? I czy można kogoś kochać, tęsknić za kimś, nie mając przed oczyma twarzy tej osoby? Piśze Chiaromonte: „Ty przysyłasz mi trochę jesieni z New England: jak cenne są te liście, które Ty wybrałaś, a które ja oglądam jeden po drugim. Nasuwają mi się na myśl wysiłki, jakich dokonuje pewien odłam nowoczesnego malarstwa (kiedy nowoczesne malarstwo jest jeszcze malarstwem...), żeby uwolnić kolor od wszelkich odniesień do przedmiotów naturalnych. To znaczy nie dochodzi ono do głębi tych liści. Mówię »głębi« wizualnej w znacze-

niu prawie »konsystencji«, która oferuje się oczom – kolor nasycony, zarazem przejrzysty i bogaty”. Ten fragment to przecież czysta (ale właśnie czysta!) zmysłowość.

A jak na fakt prowadzenia przez włoskiego filozofa tej korespondencji reagowała jego żona Miriam? Pojawia się w tych listach niejednokrotnie, przysyłając Muszce za pośrednictwem męża pozdrowienia. Czytając te fragmenty, pytałem sam siebie: czy o zażyłość tak bliską można nie być zazdrosnym, kiedy się kogoś kocha? Lecz może to nie brak zazdrości powinien nas tu zastanawiać – ale raczej głębokie zrozumienie najbliższej osoby? To przecież niezmiernie rzadkie zjawisko – żeby ludzie, którzy są ze sobą, faktycznie się rozumieli i akceptowali; opłacali *in blanco* niedostatki czy słabości drugiej strony.

Jeżeli postawa Miriam Chiaromonte stanowi jedno tło opisywanej tu korespondencji, wewnętrzna walka Nicoli stanowi tło drugie. To walka z narastającym poczuciem osamotnienia i życiowej przegranej. (Filozof ma w tych latach za sobą serię dotkliwych porażek, z zamknięciem wydawanego wspólnie z Ignaziem Silonem pisma „Tempo Presente” na czele.) Z własną pesymistyczną, melancholijną naturą. W jednym z listów do Muszki Chiaromonte stwierdza bez ogródek: „Nie mogę zaakceptować żadnej idei pocieszającej”. Walczy też ze starością, która coraz wyraźniej wdziera się do codziennego życia i obejmuje nad nim panowanie: „Czuję upływ lat głównie wtedy, kiedy odkrywam w sobie obszary martwe”. „Jeśli

idzie o Ciebie – dodaje – jesteś najmłodszą istotą, jaką znam”.

Coraz mocniejsze jest w nim poczucie niemocy, słabość, wyczerpanie. Czasami wydaje mi się wręcz, że duchowe bogactwo, o którym pisałem wcześniej jako o źródle tej korespondencji, jest jakby tylko przerywnikiem w długich ciągach zwątpienia i poczucia pustki. Repetytywność, rytuał pisanego do Muszki zyskuje w ten sposób wymiar wewnętrznego ćwiczenia duchowego. Staje się czymś w rodzaju heroicznej obrony przed niemocą i osłabieniem. A także przed osamotnieniem, jakie wynika z faktu, że „życie przeżywa się w liczbie pojedynczej, zawsze”.

Czy zatem miłość może dać ukojenie? Ależ tak. To ona sama jest przecież owym ogrodem duchowych bogactw, w którym wszystko jest wspólne zakochanym i nikt niczego nie posiada na wyłączność. Można się tu dzielić ze sobą wszystkim, nie będąc niczego pozbawionym. Można zdradzić każdy swój, najgłębszy nawet sekret, nie będąc narażonym na moralne potępienie. Można wsłuchać się w drugą osobę, nie tracąc ani na moment siebie. Szczęście jest tu dane w całej przelotności swego absolutu. Czy nie dlatego wszędzie poza ogrodem tęsknimy do ogrodu? Zupełnie jak gdyby wszystkie najwznioślejsze dzieła ludzkiego ducha powstały właśnie tam.

© JAN TOKARSKI

Melanie von Nagel i Nicola Chiaromonte,
LISTY DO MUSZKI, przeł. Alina Kreisberg,
słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2018

REKLAMA



ALBUM INSPIROWANY TEKSTAMI KS. JÓZEFA TISCHNERA

KAYAH / MIROSŁAW KOWALIK
MATEUSZ POSPIESZAŃSKI
JORGOS SKOLIAS / ZYGMUNT STASZCZYK
TREBUNIE-TUTKI / WOJCIECH WAGLEWSKI



Hanoch Levin „Wyjeżdżamy”, reż. Krzysztof Warlikowski, Nowy Teatr w Warszawie.

Tragedie drobnoustrojów

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Niegdysiejsi skandaliści i eksploratorzy powierzchownie zabliźnionych ran dają sygnały własnej bezradności. Krzysztof Warlikowski w rozgrywaniu poczucia, że teraz już będzie nic, jest najuczciwszy i teatralnie po prostu najlepszy.

PRZEDSTAWIENIE „WYJEJŹDZAMY” W REŻYSERII Krzysztofa Warlikowskiego zostało pokazane po raz pierwszy w Nowym Teatrze dzień przed „megaweekendem superpremier” (15-16 czerwca), kiedy polskie teatry na wypródkę prezentowały nowe przedstawienia, by zagrać je trzy-cztery razy przed wakacjami i odhaczyć w sprawozdawczości. Kilka innych znaczących premier wciąż jeszcze jest zapowiadanych. Ta gorączka to symptom schorzeń polskiego teatru, o których warto by kiedyś porozmawiać.

Niemniej przedstawienie Warlikowskiego jakoś ten sezon zamyka i podsumowuje jako sezon oczekiwań i rozczarowań, związanych przede wszystkim z czołowymi przedstawicielami tego, co kiedyś nazywało się „nowym teatrem”,

a dziś dojrzało i weszło w przesyconą gorącą smugę cienia. Z wnętrza tej smugi niegdysiejsi skandaliści, poeci wypartych win i eksploratorzy powierzchownie zabliźnionych ran dają sygnały własnej bezradności, zagubienia, braku porozumienia z otaczającym światem.

Czasem udają, że rozumieją wiele, bardzo dużo machają rękami i głośno krzyczą o swoim politycznym zaangażowaniu. Ale koniec końców wyziera spod ich słów bezsilność.

„Artyści są na bocznym torze” – mówi Krzysztof Warlikowski w rozmowie z Piotrem Gruszczyńskim, opublikowanej w programie „Wyjeżdżamy”. I wszystko staje się jasne – z bocznego toru już nigdzie się nie jedzie; na bocznym torze pociągi już tylko rdzewieją,

pokrywając się kolejnymi warstwami graffiti.

Cul-de-sac

„Wyjeżdżamy” oparte jest na dramacie Hanocha Levina znanym dotąd w Polsce pod tytułem „Pakujemy manatki”. Warlikowski wraz ze swoim dramaturgiem Piotrem Gruszczyńskim dodali do tego tekstu fragmenty wielu innych (głównie także Levina), zachowali jednak zasadniczą konstrukcję „komedii na osiem pogrzebów”, mnożąc, jak wskazuje sam tytuł, kolejne śmierci w taki sposób, że każda następna ceremonia żałobna staje się coraz śmieszniejsza.

Levin jest bezlitosny w odsłanianiu tego, co usiłuje ukryć „majestat śmierci”: marności i pustki życia, któremu pogrzeb bezskutecznie ma nadać znaczenie i powagę. Scenę wypełniają małe dramaty kolejnych nierozróżnialnych postaci, tworzące obraz codzienności biegunowo różny od tego, jaki wytwarzają telenowełe, będące dziś wszak najważniejszym medium jej przedstawiania i wytwarzania wyobrażeń o niej.

Żadnych wciągających fabuł, żadnego suspense, żadnych dramatycznych kulminacji. Życie bohaterów Levina i Warlikowskiego nie jest „dobrze skrojone”. To raczej prująco się materiał, z którego wylażą kolejne nici, by płać się bez ładu w daremnym usiłowaniu zaznaczenia swego

szlaku. Żyją tym, co nazywa się „zwykłym życiem”: umawiają się na randki, zakładają rodziny, o które próbują dbać i w których się męczą, gdzieś pracują, mają jakieś rozrywki. Ale wszystko to nie ma większego znaczenia, skoro nawet pogrzeby nie są tu wielkimi wydarzeniami.

Życie, jakie wiedzie się w małej społeczności izraelskiego miasta, jest nieznośnie ciche, więc kolejne postacie co chwila mówią o wyjeździe do Austrii, Włoch, Londynu, „Szwajcarii”... Albo chociaż o przeprowadzce o kilka ulic lub wysłaniu starej matki do domu opieki. Zmiana miejsca ma przynieść zmianę życia. Jednak gdy garbaty Avi (Zygmunt Malanowicz) wyprowadzi się w końcu od brata (Marek Kalita), to wkrótce popełni samobójstwo. A Munia Globczik (Wojciech Kalarus) sam umrze, zanim uda mu się w końcu pozbyć z domu starej matki (Jadwiga Janowska-Cieślak). Może zatem rozsądniej zachowuje się Dani (Jacek Poniedziałek), który o wyjeździe do Szwajcarii tylko mówi, zachowując przynajmniej złudną nadzieję?

Choć ktoś, jak Nina (Jaśmina Polak), Bella (Magdalena Popławska) czy Prostytutka (znakomita Agata Buzek), rzeczywiście wyjedzie (co ciekawe, na stałe wyjeżdżają tylko kobiety, bo Zigi – Piotr Polak – jednak wraca na pogrzeb matki), ktoś inny jak Amacja (Bartosz Gelner) wróci, a ktoś jak Angela (Magdalena Cielecka) przejedzie nie wiadomo po co, wnosząc w ten zamknięty świat pozorny ruch turysty i gadaninę ajfonowej transmisji, to jedyna droga wyjścia prowadzi przez krematorium, którego obraz niemal kończy przedstawienie.

Warlikowski idzie dalej niż Levin i dopisuje kolejne śmierci, ostatecznie informując także o zgonie wszystkich tych, którzy w dramacie izraelskiego pisarza pozostawali żywi. Jako ostatnia „ginie” Angela grana przez Cielecką – jej nekrolog widzimy na zakończenie filmu pokazującego, jak aktorka jedzie przez Warszawę na Okęcie, by wsiąść w samolot. Nie ma ucieczki – wszystko jedno: z Izraela czy z Polski. Znikąd donikąd. A czekające na wszystkich teatralne „niebo” znika jak lody, które wszystkie postacie liżą na końcu, stając przed nami do ukłonów.

Anus mundi

Pomiędzy kolejnymi scenami śmierci i (nie)wyjazdów Warlikowski pokazuje życie, które jednoznacznie oznaczone

jest jako życia zaprzeczenie. „Napiszcie mi na grobie: umarła w wieku ośmiu lat” – mówi do syna Henia Geletner (Ewa Dałkowska), przekonana, że wszystko, co nastąpiło potem, nie było życiem, ale egzystencją w martwocie. Żywe trupy wypełniają scenę zabiegami pozbawionymi nie tylko sensu, ale też osadzenia w imitujących go tradycyjnych ramach dramatycznych. Warlikowski w swojej inscenizacji „zwykłego, codziennego życia” likwiduje to, co w codzienności najważniejsze – czas i przestrzeń. Jeśli liczyć według dat kolejnych śmierci wyświetlanych na ekranie, w ciągu trzech i pół godziny spektaklu przelewają się przez scenę zdarzenia z kilkudziesięciu lat, od przeszłych (pierwsza śmierć następuje w 1998 r.) po przyszłe (ostatnia data to bodaj 2035 r.). W czasie scenicznym te śmierci następują niemal jedna po drugiej, a dni i prace, które wypełniały czas między nimi, znikają.

Podobnie jest z przestrzenią stworzoną przez Małgorzatę Szcześniak: wielki pusty kwadrat sceny pozbawiony wszelkich znamion lokalności i oswojenia stał się niemiejscem, które w zależności od sytuacji może być domem kolejnych rodzin, nocnym klubem, szpitalem. Cechy stałe mają tylko dwie przestrzenie specjalne: wysuwana szklana klatka z muszlą klozetową po prawej i zamykające scenę wielkie, też przeszklone akwarium domu pogrzebowego, gdzie żegnani będą kolejni zmarli. I choć oba te fragmenty sceny pełnią też inne funkcje (inteligentnie zagęszczone zwłaszcza w przypadku ubikacji, która służy jako burdel z neonowym napisem „lody” nad jednym z wejść), to jako miejsca w przedstawieniu Warlikowskiego istnieją tylko te dwa: ubikacja i sala z piecem do palenia zwłok, oba przeznaczone do wydalania tego, co martwe i zbędne. Scena to *anus mundi* – odbyt świata zżerany przez mnożące się bez sensu komórki rakowe.

Wszystko to pokazane jest z chłodną precyzją doskonałego teatralnego rzemiosła: świetnie rozplanowane inscenizowanie i wyreżyserowane, rewelacyjnie oświetlone (Felice Ross), porywająco umuzykowane (Paweł Mykietin). I zagrane znakomicie, w sposób pozornie nieefektowny, bez popisów, na potencjometrach aktorskiej ekspresji ściągniętych przez większość przedstawienia do poziomów minimalnych. Nawet groteska jest tu delikatna, a skojarzenia z tradycją Beckettow-

skich klaunów (świetnie uruchamiane zwłaszcza przez Poniedziałka i Kalitę) pojawiają się jedynie jak dalekie echo czegoś, co kiedyś miało znaczenie.

Jest tu wprawdzie kilka scen szczególnie efektownych (np. wdowi brydż rozgrywany przez supertrio: Ewa Dałkowska, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Dorota Kolak), jest wiele ról zasługujących na osobny opis (Maja Ostaszewska, Andrzej Chyra i Rafał Maćkowiak), ale wszystkie te teatralne atrakcje, zdolne uczynić z tego przedstawienia spektakl może nawet kultowy (sam chętnie niektóre z nich obejrzałbym jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze), przykrywa tonacja goryczy, zmęczenia i depresji. Ta sama, która brzmi w przewrotnej piosence „Party Girl”, śpiewanej w nocnym klubie przez Agatę Buzek (posłuchajcie oryginalnego wykonania Chinawoman, a będziecie wiedzieć, o co idzie). Zwykłe życie zamienia się w tym przedstawieniu w nieżycie w niemiejscu i nieczasie. I właśnie to sprawia, że przy całej jego znakomitości nie mogę się z nim pogodzić.

Płacz AA

Polski teatr współczesny (czy tylko polski? czy tylko teatr? czy tylko współczesny?) ma kłopot z codziennością i ze „zwykłymi ludźmi”. Świetnie daje sobie radę z „wykluczonymi” i strauatyzowanymi. Ale „zwykli” mu nie wychodzą. O „zwykłych” niewiele zdaje się wiedzieć, jakby żyli w jakimś innym świecie. Może dlatego tak często lubi powtarzać, że „zwykli ludzie” to pocieszająca projekcja albo fantazja; że coś takiego po prostu nie istnieje. Zapewne ma w jakiejś mierze rację, ale nie docenia zwykłości jako konstruktu pożądanego.

Nie rozumie, że można pragnąć „zwykłego życia” i życie to aktywnie wytwarzać, nadając mu przy tym znamiona niezwykłości poprzez codzienne rytuały (wcale nie puste) oraz silne przeżywanie spraw, które są oznaczone jako drobne, świadomie odcięte od wielkich problemów świata. Nie rozumie, że można chcieć żyć w małym mieście, którego lokalna historia sprowadza wielkość do rozmiarów dających się ośwoić, a ostre opozycje przytępia tak, że stają się serią uników w trakcie rodzinnego obiadu. Wielu ludzi, którzy w takich miastach mieszkają, wcale nie chce nigdzie wyjeżdżać, bo czują się u siebie, i życie ich w tych miastach, życie większości Polaków, wcale nie jest jałowe. Ani nie odczuwają go jako tragedii, ➔

→ ani nie uważają siebie za drobno-ustroje. I umierają naprawdę, żegnani solennie rytualnymi pogrzebami i długo odwiedzani na cmentarzach.

W takich miastach nie ma stałych teatrów zawodowych, więc ludzie je tworzą, choć niektórzy sami z takich miast – z Żarek, z Nowego Targu – pochodzą, albo nie znają ich życia, albo patrzą na nie z dystansem tych, którzy już dawno wyjechali, albo – co w sumie najłatwiejsze – mówią o nim „krytycznie”. Skupiają się na jego wadach, łatwiej dostrzegających z oddali, z pasją „demaskują” iluzję zwykłości, której wartości zdają się nie rozumieć i nie cenić. W efekcie powstaje fałszywy obraz, który na dodatek pokazywany jest w teatrach wielkich miast, mieszczańskiej publiczności umacniającej w ten sposób w swoim dystansie do „zwykłego życia”.

I choć w Nowym Teatrze ta sama publiczność bezlitośnie jest wyśmiewana w wątku vlogującej wszystko Angeli i w monologu o nicości wycieczki *all inclusive*, to (nie)życia pokazanego na scenie nie tylko nie uznają za swoje, ale obawiam się, że potraktuje wręcz jako sposób na wzmocnienie samoafirmacji. To nie my tak żyjemy. To oni.

Rzecz w tym, że na jakimś poziomie albo wszyscy tak żyjemy – zmierzając ku śmierci, która nieuchronnie pozbawia sensu wszystkie nasze działania – albo nikt z nas tak nie żyje, bo tym, co robimy na co dzień, śmierci się przeciwstawiamy. Wytwarzana zbiorowo i potwierdzana codzienną rutyną zwykłość chroni przed rozpaczą świata i staje się glebą, na której może wyrosnąć tworzona przez nas nieustannie i złożona z rzeczy bardzo drobnych własna niepowtarzalność. W „Wyjeżdżamy” zwykłość zamienia się w jałowość i martwość, a niepowtarzalność zostaje przejęta przez znakomitość tetralnego rzemiosła. W efekcie powstaje niezwykle piękny lament, nieróżniący się jednak zbyt od żałobnego, nocnego płaczu Mroźkowego inteligenta.

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

Hanoch Levin, **WYJEŹDŻAMY**, reżyseria Krzysztof Warlikowski, Teatr Nowy w Warszawie, premiera 14 czerwca 2018 r.



Fototerapia

ANITA PIOTROWSKA

Oto film bezwstydnie „dziewczyński”, choć adresowany raczej do niegrzecznych dziewczynek. Jeśli ktoś wolałby nie oglądać, o czym śnią nastolatki potwornie wkurzone na świat, a jednocześnie żartoczenie go ciekawe, powinien sobie odpuścić seans „Avy”.

G DYBY TEN FILM NAKRĘCIŁ DOJRZAŁY mężczyzna, zapewne posądzano by go o zaburzenie seksualne zwane nimfilią. Sposób, w jaki fotografowana jest tu trzynastoletnia bohaterka, nawet jeśli gra ją prawie pełnoletnia Noée Abita, ociera się chwilami o podglądactwo. Ale to tylko pierwsze, powierzchowne wrażenie. Przystępując do realizacji „Avy”, francuska reżyserka Léa Mysius miała zaledwie 26 lat i całkiem świeże wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w nadatlantyckim regionie Médoc. W swoim debiucie odwiedza rodzinne strony i ożywia zmysłowo-emocjonalny klimat „ostatniego takiego lata”. Jej film jest niczym nadmorski piasek: złoty i cie-

pły, choć wcale nie tak przyjemny, kiedy wgrzyza się we wrażliwe miejsca.

Jakże poręcznym chwytem scenariuszowym wydaje się moment, w którym Ava dowiaduje się, że zaczyna ślepnąć. Dla dojrzewającej, sensualnie rozbudzonej dziewczynki, w dodatku zaniedbywanej przez matkę zajętej nowym kochankiem i opieką nad niemowlęciem, musi to oznaczać walkę z uciekającym czasem czy desperacki skok w nieznanne. Mysius jako współscenarzystka rozgrywa jednak ten problem po swojemu – utrata wzroku jest tu synonimem zbliżającej się nieuchronnie dorosłości. W cieniu sierpniowego słońca, które za chwilę zajdzie dla Avy na zawsze, dziewczyna



GUTEK FILM

Kadr z filmu „Ava”

ćwicz się w ostrzeniu zmysłów, zapisuje w pamiętniku uciekające doznania, ale przede wszystkim buntuje się. Gdzieś obok toczy się hedonistyczny „plażing”, lecz tym, co przyciągnie uwagę bohaterki, będzie jedyna ciemna plama na tym kolorowym obrazku. Błąkający się wśród wczasowiczów czarny kundel okaże się nie tylko kolejną, trochę nazbyt oczywistą figurą nadciągającej ciemności, ale i kolejnym wehikułem narracyjnym, który zaprowadzi Avę na spotkanie z tajemniczym Juanem. I choć w druku może brzmieć to wszystko niczym fantazje znudzonej kanikula trzynastolatki, na ekranie nabierają one zaskakujących barw, zaczynają pachnieć i wibrować.

Tak, jest to film bezwstydnie „dziewczyński”, choć adresowany raczej do niegrzecznych dziewczynek. Jeśli ktoś wołałby nie oglądać, o czym śnią nastolatki potwornie wkurzone na świat, a jednocześnie żarłocznie go ciekawe, powinien sobie odpuścić seans „Awy”. Mysius dokłada do tego swoje osobiste przemyślenia, chociażby na tematy rasowe. Kręcący się po okolicy *gitanos* traktowani są w miasteczku jak „czarni”, matka bohaterki łamie tabu spotykając się z młodszym od siebie Afrykańczykiem, a miejscowa kawałeczka rozprawia o zbliżającym się „końcu

cywilizacji”. Nie trzeba dodawać, po której stronie bije serce reżyserki – wystarczy wsłuchać się w ścieżkę dźwiękową, na której kilkakrotnie rozbrzmiewa motyw „Naci en Alamo”, znany z filmu „Vengo” Tony’ego Gatlifa, opowiadającego o życiu „szczęśliwych Cyganów”. Najwyraźniej jego dużo młodszą koleżankę również pociąga taka romantyczna wizja, a jej film przenika podobny anarchistyczno-awanturniczy ton. Tu także łobuzerska sielanka z udziałem szybkiego motocykla i naładowanej strzelby pozwala na chwilę zapomnieć, że los kochanków jest z góry przesądzony: ona pewnie już za chwilę stanie się inwalidką, a chłopak wpadnie w ręce policji. Ale czy ma to jakieś znaczenie? „*Bisogna morire*” – przypomina Mysius w innym miejscu, kiedy słychać zza kadru barokową „Passacaglię della vita” w delikatnym, chciałoby się rzec dziewczęcym wykonaniu Rosemary Standley.

Pomimo wspomnianej już słabości do metafor, epatowania dosłowną cielesnością i nazbyt oczywistym fatalizmem, „Ava” zwiastuje narodziny świadomego siebie filmowego talentu. Biorąc pod uwagę płeć i metrykę reżyserki, bardzo łatwo wpaść w protekcyjny ton wobec niej, doszukując się w filmie naiwnego dziewczynskiego manifestu lub co najwyżej filmowego *vanitas*, martwej natury z młodymi ciałami. Swą młodzieńczą energią i szczyptą młodzieńczego patosu film wymyka się jednak prostemu klasyfikowaniu. Dla reżyserki miał być rodzajem fototerapii, formą sztucznego doładowania – jeśli by przyrównać koniec dzieciństwa do zgaśnięcia „naturalnego” słońca. Z zatrzymanych pod powiekami obrazów udało jej się stworzyć przypowieść o brutalności dorastania, a zarazem uciec w świat zuchwałej wyobraźni od nostalgicznie wypłowiałych klisz. ©

AVA – reż. Léa Mysius. Prod. Francja 2017.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 29 czerwca.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [30 VI – 6 VII]

1. Grace Jones



Dokumentalny,
reż. Sophie Fiennes,
Irlandia/Wielka
Brytania 2017, Canal+
Discovery, 30 VI, 14.00

Mimo skończonych

niedawno 70 lat nadal uważana jest za ikonę kultury popularnej. Brytyjska reżyserka próbuje odświeżyć mniej znane oblicze Jones. Towarzyszy jej za kulisami koncertów, ale także w sytuacjach osobistych, na przykład podczas podróży na Jamajkę, skąd pochodzi charyzmatyczna artystka.

2. Blade Runner 2049



Science fiction, reż. Denis Villeneuve, USA 2017,
HBO, 1 VII, 20.10, 2 VII,
15.30, 4 VII, 20.10,

Trzydzieści pięć lat po nakręceniu kultowego

filmu Ridleya Scotta kolejny twórca androidów wyrusza w mroczną podróż do granic człowieczeństwa. Twórca „Sicario” przedstawia wizję przyszłości jeszcze bardziej zdehumanizowaną i jeszcze bardziej spektakularną. Występują m.in. Ryan Gosling, Harrison Ford i Robin Wright.

3. Szalom na Szerokiej



Koncert, Polska 2018,
cz. 1, TVP2, 1 VII, 23.35

Najbliższy sobotni wieczór to, jak co roku, trwający siedem godzin finał Festiwalu Kultury

Żydowskiej w Krakowie, którego 28. edycja odbywa się pod hasłem „Syjon”. Przed nami skrócona retransmisja tego wydarzenia, gromadzącego na scenie najciekawszych wykonawców muzyki żydowskiej z Polski i zagranicy.

4. Mistrz świata



Dokumentalny,
reż. Kacper Lisowski,
Polska 2017, Cineman
VOD

Ci, których zafascynowała historia

opowiedziana w filmie fabularnym „Najlepszy” Łukasza Palkowskiego, mogą teraz skonfrontować ją z dokumentalnym portretem Jerzego Górskiego. Wybitny triathlonista opowiada przed kamerą o swojej walce z natęgiem, ale także o nowym „uzależnieniu”, jakim stała się dla niego aktywność sportowa.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 252/17 postępowanie z wniosku Alicji Cajmer o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Dostatniej, zm. 15 sierpnia 2012 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej jest nieznan.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, w sprawie sygn. akt I Ns 34/18, toczy się postępowanie z wniosku Asekuracja Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, z siedzibą w Sopocie, o stwierdzenie nabycia spadku po Krzysztofie Józefie Banaszku, s. Andrzeja i Bożeny, ur. 11 października 1981 r. w Lublinie, zm. 1 lipca 2016 r. w Lublinie, ostatnio stale zamieszkałego w Lublinie przy ul. Hutniczej 26/16.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach, pod sygn. I Ns 107/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Świstunie, zm. 10 marca 2018 r., ostatnio stale zamieszkałym w Rzepinie.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku toczy się, z wniosku Jana Durkiewicza, sprawa o zasiedzenie nieruchomości położonej w Trawnikach, gm. Trawniki, stanowiącej działki: o nr. ewidencyjnym 1042 i powierzchni 0,44 ha oraz o nr. ewidencyjnym 149 i powierzchni 0,035 ha.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w szczególności zaś właścicieli powyższych działek, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazali swoje prawa, w przeciwnym bowiem razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione. Sygn. akt I Ns 792/17.



**Book's
not dead**

Jacek Dukaj gościem podcastu „Tygodnika Powszechnego”



Moje licealne doświadczenie z polskim przekładem Conrada było takie, że uznałem jego tekst za styropian słowny, który zatyka wyobraźnię i nic więcej. Lektura oryginału „Heart of Darkness” po latach była odkryciem, jakbym czytał zupełnie inną książkę.

Zadziałała na mnie wtedy tak – choć nie do końca rozumiem dlaczego – jakbym spotkał przyjaciela, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy ani nie słyszałem, ale od pierwszego zetknięcia, wymiany spojrzeń poczułem, że istnieje tu pokrewieństwo, łączność duchowa, że on przez samo swoje istnienie wypowiada więcej o mnie, niż sam jestem w stanie o sobie powiedzieć – mówi pisarz Jacek Dukaj, gość nowego odcinka podcastu „Book's not dead”.

Odcinka mogą Państwo wysłuchać na stronie www.TygodnikPowszechny.pl lub na soundcloud.com/booksnotdead.

By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „OBSERWUJĘ/FOLLOW”

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Sluchaj w
Apple Podcasts

SOUNDCLOUD

Odpowiedź ministrowi kultury

W „TP” nr 22 napisałam: „Minister kultury otwarcie przyznaje, że na kulturę szkoda mu czasu: nie śledzi ani polskiej kinematografii, ani telewizji – nawet tej, którą nadzoruje”.

Rzeczniczka prasowa Ministerstwa zażądała od redakcji sprostowania: „Nieprawdą jest, że minister kultury Piotr Gliński powiedział, iż szkoda mu czasu na kulturę”. W uzasadnieniu zaś czytamy: „Autorka artykułu nie podała daty, miejsca ani okoliczności, kiedy miałyby paść takie słowa”.

Sprostowanie opublikowaliśmy w poprzednim numerze. Zgodnie prawem prasowym możemy odnieść się do niego dopiero teraz.

Rzeczniczka zdaje się nie zauważać, że nie cytowałam konkretnej wypowiedzi ministra, a jedynie podsumowywałam jego wypowiedzi medialne, dotyczące kinematografii i telewizji. Poniżej lista cytatów, na których się opierałam.

20 października 2017,
„Dziennik Gazeta Prawna”:

PIOTR ZAREMBA: A pana zdanie o kondycji polskiej kinematografii?

PIOTR GLIŃSKI: Ja niestety nie oglądam regularnie filmów, nie mam czasu, to obowiązek moich współpracowników; kieruję się w wielu wypadkach opiniami i recenzjami.
(...)

PIOTR ZAREMBA: Ale większość polskich filmów jest mniej skrajna niż deklaracje ich twórców.

PIOTR GLIŃSKI: Przyjmuję ten argument, bo nie oglądam tyłu filmów co pan. Ale ich tematykę znam z lektur.

(...)

PIOTR ZAREMBA: Siądzie pan do stołu z artystami?

PIOTR GLIŃSKI: Pewnie, ale muszę mieć więcej czasu, żeby obejrzeć wszystkie produkcje.

PIOTR ZAREMBA: A na czym pan był ostatnio w teatrze, w kinie?

PIOTR GLIŃSKI: Panie redaktorze, litości, ostatnio zaliczyłem sympatyczne czytanie pierwszego aktu »Wesela« w parku Saskim. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, tak, przyznaję, zupełnie się zapuściłem.

23 marca 2017, „Gość Wydarzeń”, Polsat:

BEATA LUBECKA: A co panu się nie podoba w TVP?

PIOTR GLIŃSKI: Wie pani, ja rzadko oglądam, więc trudno mi powiedzieć”.

11 maja 2016, „Kontrwywiad” RMF FM:

PIOTR GLIŃSKI: Chciałbym powiedzieć, że w pracy nie oglądam telewizji. Wielu polityków ma wstawione [telewizory], ja nie mam na to możliwości i czasu”.

Nie jestem pierwszą dziennikarką, od której minister Gliński domaga się sprostowania i przeprosin. Słynna była sprawa z „Rzeczpospolitą” z sierpnia 2016 r. Wicepremier oskarżył Roberta Mazurka o opublikowanie wywiadu bez wprowadzenia całości autoryzacji, a Mazurek przeprosił na łamach za pomyłkę, która „naraziła Pana Wicepremiera na zarzuty, iż jest człowiekiem dowcipnym i ma poczucie dystansu do siebie”.

Ten sam dziennikarz w lutym 2018 r. na antenie RMF FM usłyszał od ministra: „to, co pan mówi, jest beczelne” oraz „Pana pytania są aroganckie i nie na temat”.

Lista dziennikarzy i mediów, do których pracy wicepremier odnosił się negatywnie, jest długa i różnorodna: od Karoliny Lewickiej po Łukasza Warzechę, od „Faktu” po Discovery Polska. Nie pamiętam innego polskiego ministra, który miałby tak poważny problem z wolnymi mediami.

A przecież, gdyby wicepremier mniej czasu i energii poświęcał walce z dziennikarzami, miałby go więcej na oglądanie polskich filmów i seriali. Co jest zajęciem bliższym obowiązkowi ministra kultury niż karłowate próby prostowania publicystyki.

© P KALINA BŁAŻEJOWSKA

REKLAMA

 **Kraków**

**Summer
Jazz
Festival**
24.06–5.08.2018 Kraków


23
EDYCJA

**12.07
2018**

QUARTET
Pharoah
SANDERS

KIJÓW.CENTRUM | GODZ.19.00

bilety: ul. Karmelicka 52/1 (-10%), goout.net, eventim.pl,
biletywkrakowie.pl, ticketmaster.pl, InfoKraków ul. Św. Jana 2

JAN

Klata: Szafa gra



W FUTBOLU OGROMNĄ ROLĘ ODGRYWA PRZYPADEK, ale jednak nie przesadzajmy naiwnie, że niby przypadkiem wszystko obróciło się wbrew – bo nie. Miliony Polek i Polaków bardziej się przykładają w pracy, setki tysięcy Polek i Polaków trenują wymagające dyscypliny, a tu tradycyjnie: najpierw monetyzacja, później klops. Polcy i Polaki, macie prawo być wnerwieni! Szczęście trzeba pomóc, ale „nasi” nie mieli ochoty nawet honorowo przegrać, widocznie czymś innym zajęci. Co było do zdyskontowania, już zdyskontowali, jeszcze tylko odstać swoje na boisku, i zasłużone wakacje.

Żeby uchylić się od zarzutu zaocznego kopania leżących, od razu bez bicia przyznam, że heroicznie obejrzałem mecz otwarcia. Tu i ówdzie – czyli wszędzie – ziały dziury. Ziały i spacerowały po murawie, czasem machając rękami. Między dziurami przemylkali z piłką Senegalczycy. Mecz, mecz i po meczu: oni tańczą, my stoimy. Ale przecież Polacy nie kończą mistrzostw świata na pierwszym spotkaniu z przeciwnikiem. Kończą do-

piero na drugim. Przeczuwałem oczywiste, więc zamiast się denerwować, dawać się emocjonalnie szantażować, udawać biało-czerwoną drużynę – tuż przed dwudziestą pojechałem do sklepu na cztery litery. Kupić szafę.

Już po drodze wiedziałem, że dokonałem dobrej selekcji, że obrałem właściwą taktykę: chodniki wyludnione, ulice odsamochodzone, wszyscy rodacy w strefach kibica. Parking przestronny jak okiem sokołim sięgnąć. W sklepie też puściutko, a sklep wielkopowierzchniowy. Panie z obsługi miłe, natomiast panowie najpierw troszkę rozkojarzeni, z czasem coraz smutniejsi. W Rosji trwała pogoń „naszych” za Kolumbijczykami, a w sklepie ujutno. Klopsiki smaczne, bez kolejki. Do kasy też nikt się nie pchał. Życie było gdzieś indziej – ale co to za życie.

Reprezentanci zrobili ojczyźnie reklamę na cały świat. Co prawda Polacy mają prawo czuć się kompletnie wyiskikowani stylem tej katastrofy, ale w ramach rekompensaty możemy kompulsywnie wsuwać batony i zagryzać paróweczką, obficie polewając się szamponem. Możemy bezpłatnie popatrzeć na tysięczne reklamy z udziałem narodowych gwiazd oraz narodowej myśli trenerskiej. A tam może nie mistrzostwo świata, ale gra zdecydowanie lepsza. Widać, że wola i ochota są, pełne poświęcenie, nawet jeśli wykonanie drewniane. Na jakże lajfstajlowych okładkach postawa naszych piłkarzy i ich partnerek odpowiednia. Jak słusznie na gorąco zauważył najpierw pan Nawalka, a następnie pan Prezydent: jutro też jest dzień. A ja już od dziś mam szafę. Na pamiątkę. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – czego i naszym reprezentantom oraz ich selekcjonerowi życzę. A że wstyd? Ludzie zapomną, jak zawsze. ©

Lektor: Powroty z niepamięci



■ **PRZECIEŻ ICH NIE ZOSTAWIĘ.
O ŻYDOWSKICH OPIEKUNKACH
W CZASIE WOJNY**

Pod redakcją Magdaleny Kicińskiej i Moniki Sznajderman. Posłowie Hanna Krall.
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2018, ss. 212.

„MIAŁA JASNĄ TWARZ I JASNE, grube warkocze. »Hendusiu, chodź! – zawołałem do niej. – Jutro wyjdiesz na aryjską stronę«. »Mam tu sto pięćdziesięcioro dzieci, przecież ich nie zostawię. Nie mogą same iść do wagonów!« – krzyczała do mnie z okna suterenu”.

To scena z książki Marka Edelmanna „I była miłość w getcie”. Teraz Hendusia Himmelfarb, pracująca

w miedzeszyńskim sanatorium Medema, powraca w tekście Moniki Sznajderman o historii i zagładzie tego sanatorium. Powraca razem z doktor Tolą Minc i nauczycielką Rozą Ejchner, które także zginęły w Treblince. I z innymi żydowskimi kobietami, które poświęciły się opiece nad dziećmi, zwykle za cenę życia. Niewiele z nich przetrwało. Felicja Czerniaków, o której

pisze Beata Chomętowska, żona zmarłego śmiercią samobójczą prezesa warszawskiego Judenratu, przeżyła męża tylko o kilka lat. Sportretowana przez Sylwię Chutnik Luba Blum, wedle słów jej wychowanki Aliny Margolis-Edelman „pielęgniarka o kostycznych zasadach zakonnic”, po wojnie i stracie męża, powstańca z getta, całkowicie poświęciła się pracy. Lekarka Zofia Zamenhof, córka twórcy esperanta, pojechała z pacjentami do Treblinki. Zapewne w tym samym dniu, co Korczak, jednak jej śmierć nie stała się legendą (szkic Karoliny Sulej). Nie wiemy, jak zginęła doktor Anna Braude-Heller, lekarka naczelna Szpitala im. Bersohnów i Baumanów, która do końca walczyła o chorych, prowadząc równocześnie badania kliniczne nad chorobą głodową (szkic Agnieszki Witkowskiej-

Krych). Pani Rechtman z lubelskiej ochronki nie ma nawet imienia. Ona i jej koleżanki, zamordowane wraz z podopiecznymi, dosłownie i symbolicznie „zapadły się pod ziemię”, pisze Magdalena Kicińska. Patrycja Dołowy próbuje „zobaczyć Lunię” – Łucję Gold, uczennicę Korczaka i Stefani Wilczyńskiej, ale także inne pracownice łódzkiego sierocińca, i przypomina to pracę archeologa. W kronice wojennych losów krakowskich Żydów autorstwa Katarzyny Zimmerer przykuła moją uwagę postać Anny Feuerstein, dyrektorki sierocińca w getcie. Poszła z wychowankami w ostatnią drogę, choć mogła się ratować. Moje miasto o niej zapomniało. Teraz Karolina Przewrocka-Aderet odtwarza jej biografię, przywraca wyraziste rysy „przezroczytej” dotąd postaci. Nadzwyczaj ważna to jest książka! ©©

PAWEŁ

Bravo:

Kto, nie co



STO PIĘCDZIESIĄT. TO ZNANA WSZEM WOBEC liczba Dunbara, czyli hipoteza postawiona przez oksfordzkiego psychologa ewolucyjnego o tym nazwisku, że tyle mniej więcej relacji społecznych nasz mózg jest w stanie – jak to się dzisiaj mówi – „ogarnąć”. To

wszystko, co z życia w grupie i na kupie czerpie ludzka istota, ma sens w takiej właśnie skali. Powyżej niej możemy, owszem, czuć się częścią np. Dumnego Narodu (chwilowo zranionego np. po przekłuciu balona złudzeń zdeponowanych na barkach jedenastu nieszczęśników, którym zaszkodziły parówki i piwo), Wielkiej Firmy albo Kościoła Powszechnego. Ale na realne interakcje z bliznami i ich zbawienny skutek dla naszego dobrostanu psychicznego to już nie ma wpływu.

Ależ po co aż sto pięćdziesiąt! Dajcie mi chociaż osób pięć, to bezpieczna liczba, żeby ktoś żyjący bez rodziny mógł liczyć na codzienne towarzystwo choćby jednej pary oczu przy stole. W kulturach, które słusznie są uznawane za macecznik dobrej kuchni i sztuki biesiady, jest oczywiste, iż jedzenie samemu to stan wręcz z pogranicza cywilnej śmierci. Inne kultury potrzebują tzw. twardych danych – np. cyklicznego badania za pieniądze sieci supermarketów Sainsbury's na 8 tys. Brytyjczyków, które podaje wartość „indeksu dobrego życia”. Obecnie wynosi on na Wyspach 60 pkt. na 100 możliwych, a wśród najważniejszych czynników decydujących o jego wartości jest kwestia jedzenia w towarzystwie. Jadanie samemu może wartość indeksu obniżyć aż o 8 pkt.

„Nie wiemy, dlaczego dokładnie ludzie jedzący w towarzystwie są szczęśliwsi” – komentuje ostrożnie badania tenże sam Robin Dunbar. Ale dodaje, że to, co zwykle zachodzi między ludźmi wokół stołu, wspomaga zapewne wydzielanie endorfin, podobnie jak ocieranie, tulenie i iskanie w stadzie małp.

Sto pięćdziesiąt – tyle zapewne bym umiał wymienić całkiem praktycznych powodów, dla których *table for one* to zły pomysł również w wymiarze praktycznym i ograniczający radość gotowania. Owszem, w samotnej kuchni odpadają konieczności negocjowania np. stopnia posolenia potraw oraz tego, czy cebulka ma być przysmażona na złoto, czy spalona na węgiel. Jednak złych aspektów jest więcej. Starczy pomyśleć, ile dobrych rzeczy nie da się zrobić w jednej porcji. Na skraju kawalerskiego spektrum jest oczywiście jajko sadzone – najbardziej skalowalna ciepła potrawa świata, przy której nie ma różnicy, czy smażymy jedno, czy dziesięć. Ale

np. porządna *frittata*, czyli pulchny omlet z dodatkami – z powodu pewnych procesów, których nie rozumiem, wychodzi tylko, gdy jest więcej masy, zwłaszcza gdy robimy ją w wersji z pieca, a nie z patelni.

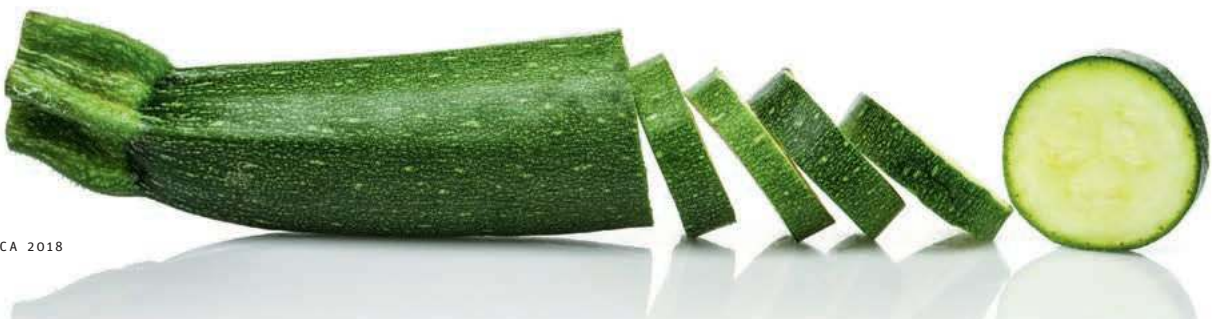
To samo się tyczy sałat, które dopiero po przekroczeniu pewnej masy krytycznej macerują się porządnie z sosem. Lasagna tak samo, jeden kawałek o wymiarze dziesięć na dziesięć nigdy nie osiągnie tej syntezy warstw, dla której warto się namęczyć przy pracochłonnych przygotowaniach.

Regularnie mijam w jatkach przy Długiej stoisko z urodziny kurczakami i po cichu snuję coraz bardziej perwersyjne pomysły, czym by je nafaszerować, podlać i garniować – i pozostanie to w sferze ćwiczeń duchowych, dopóki czeka mnie kolacja we własnym towarzystwie. Toż samo pieczenie. Na pociechę proszę rzeźnika o jeden plaster rostbefu na befszytk, chociaż i w tej materii nie można zejść poniżej jakichś czterdziestu deko, żeby się to nam ładnie zesmażyło. Nigdy mi się nie zdarzyło skopać risotta dla tuzina, za to gdy parę razy próbowałem gotować je dla siebie solo – uciekało mi, za szybko chłonąc płyn i ciepło, z oplakany, przypalony nieraz skutkiem.

Wszystko lub prawie wszystko, powiecie, można odkroić i zostawić resztę na potem. Sam czasem to robię. Pamiętam pewien tydzień pod znakiem wołowiny po burgundzku, szóstego dnia jej smaki były pięknie przegryzione nawzajem, a dla minimalnej chociaż odmiany były do niej raz kluski, raz kuskus, raz ryż, a raz chleb. Ale w tym „na potem” zawiera się jakiś odruch zamrażania czasu, zgoda na to, że życie nas raczej dzisiaj niczym nie zaskoczy. Nie jest to chyba egzystencjalnie zdrowe, tym bardziej że jedzenie nasze powszednie jest i tak powtarzalnym rytuałem – w kółko te same piętnaście dań i te same rozmowy o pracy i dzieciach. O ile mamy z kim gadać.

Kiedy myślę o namacalnych obliczach alienacji, o tym heideggerowskim „się”, które za nas urządzi mi egzystencję w zapomnieniu bycia, to staje mi przed oczami ta brytfanka lasagni, która czeka od soboty na wykończenie. Jedząc dziś w wesołej kompanii kolację pomyśleć o tych, którym łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie „co”, ale nie „kto” przy stole. ©P

*Z przepisów, które za mną chodzą, a nie zrobię ich, bo nie warto się męczyć dla jednej gęby, są cukinie w sosie pizzaiola. Kruszymy 3-4 kromki **jasnego chleba** i wrzucamy do miseczki z **mlekiem**. Siekamy 250 g **cukinii** na talarki, dusimy ją na oliwie na średnim ogniu kilka minut, aż będzie miękka. Po wystudzeniu miksujemy je z odcisniętym chlebem i garścią **liści bazylii**. Dodajemy do masy 150 g **bułki tartej** i 1 **jajko**, dalej miksujemy chwilę, aż do uzyskania gładkiej masy, solimy. Robimy małe kulki wielkości orzecha, odkładamy je na tacy do lodówki na pół godziny. Przygotowujemy w szerokiej patelni dość rzadki **sos pomidorowy** (na oliwie, z czosnkiem). Kiedy wrze, wrzucamy kulki (uwaga, żeby się nie stykały!). Dusimy pod przykryciem ok. 5 minut, na koniec na każdą kładziemy po kawałku mozzarelli i jeszcze dusimy krótko, aż ser się roztopi.*





W YELLOWSTONE JAK POD KUTNEM

TOMASZ SKRZYDŁOWSKI, LEŚNIK I EDUKATOR:

Najlepszy wskaźnik tego, czy krajobraz jest naturalny, to kozy.
Jak są kozy – to lipa.

ADAM ROBIŃSKI: Jak kiedyś wyglądały lasy Tatr i Podhala?

TOMASZ SKRZYDŁOWSKI: Prowadzę na ten temat wykłady dla leśników. Zanim opowiem im o lasach współczesnych, zaczynam o historii. Dokładnie – 5 mln lat temu. Z wykopalisk prowadzonych na Podhalu przez botanika prof. Władysława Szafra wiemy, że występowały tu tulipanowce, miłorzęby, magnolie. Cuda!

Potem przyszła epoka lodowcowa i wszystko zniszczyła. Jedno, drugie, trzecie zlodowacenie. W przerwach były okresy międzylodowcowe – każdy z nich cieplejszy niż czasy obecne, czyli holocen. A potem znowu przychodziło zlodowacenie, które niszczyło florę. Każde kolejne – bardziej. To, co mamy teraz, to stan mocno zubożony.

Ale holocen trwa raptem 10 tys. lat, a te interglacjały kilkadziesiąt lub nawet ponad sto tysięcy lat. Więc kto wie, co by się stało, gdyby obecne warunki utrzymywały się jeszcze długo? Może wróciłyby w nasze strony także gatunki południowe? Np. jesion mанныy. A gdyby ociepliło się jeszcze bardziej, to za dwieście lub trzysta lat w dolne partie Tatr mógłby przyjść dąb burgundzki. Nie wiem, czy do nas, na północną stronę, ale na pewno na południową. Te dęby rosną niedaleko, raptem kilkadziesiąt kilometrów od Zakopanego. Bardzo egzotyczne drzewa, nie ma ich nawet na polskim niżu.

Składowe siedliska, które decydują o gatunkach, to gleba i klimat. A jak ważny jest czynnik ludzki?

Niestety bardzo ważny. Górnictwo, hutnictwo, pasterstwo czy masowe nasadzenia świerka – tak było w przeszłości. Mnie bardzo razi schematyczna gospodarka leśna, która jest prowadzona na Słowacji, nawet w słowackim Tatrzańskim Parku Narodowym. Nie mogę się nadziwić, jak udaje im się pogodzić ochronę przyrody z wielkopowierzchniowymi zrębami zupełnymi, jak

w Dolinie Raczkowej. Sprzeczność jest oczywista, ponieważ wraz z wyciętymi drzewami miejsca do życia tracą przecież gatunki roślin i zwierząt wrażliwych na gwałtowne zmiany środowiska.

Ta wędrówka drzew trwa?

To zależy od gatunku. Np. w przypadku buka, który potrzebuje sumy opadów powyżej 600 mm rocznie – raczej nie. I nie chodzi o to, że między Warszawą i Poznaniem, gdzie buk ledwo zipie, robi się cieplej. Jest po prostu za sucho. Po ustąpieniu lodowców, według wszelkiej logiki, z południa powinny ruszyć najpierw świerki, potem buki i jodły, a dopiero po nich dęby, które są bardziej ciepłolubne. Tymczasem dęby ruszyły szybciej od buków, bo im nie przeszkadzało to, że jest sucho. Dopiero w okresie poatlantyckim, gdy klimat zaczął się ochładzać, zrobiło się wilgotniej, i buki mogły przejść do ofensywy.

Wracając do wpływu człowieka: czy w ogóle możemy mówić o lasach pierwotnych?

Obiektywnie rzecz biorąc, chyba nie. Niby człowiek też jest częścią przyrody, więc na upartego można by dowodzić, że i budowa fabryki będzie elementem przyrodniczym. Ale połączmy arbitralną granicę. W skali makro nie da się odciąć człowieka od wpływu na przyrodę.

Nie chodzi nawet o wpływ na klimat. Weźmy jelenie. Naruszenie struktury populacji tych zwierząt wpływa na drzewostany. Najwięcej szkód powodują łanie. Las wizytowany przez jelenie i las bez jeleni to dwa różne miejsca. Zjadają jodły, zjadają jesiony, buków unikają. Tworzy się więc lita buczyna. Czy to jest naturalne? Jeleń jest oczywiście elementem naturalnym. Ale liczba tych zwierząt i struktura płciowa z uwagi na brak wrogów naturalnych i łowiectwo już naturalne nie są. Na po-



Pogórze Przemyskie

trzeby naukowe nie mówi się więc o lasach pierwotnych, lecz o lasach o charakterze pierwotnym. Tak bezpiecznie.

Zdefiniujmy więc las naturalny.

Naturalny różni się od pierwotnego tym, że może istnieć duża ingerencja, drzewostan może być nawet wycięty, ale nowy wyrósł z odnowień naturalnych właściwych dla siedliska. Funkcjonuje według własnych zasad.

Z taką sytuacją mamy do czynienia w Tatrach. Tuż ponad Drogą pod Reglami rośnie piękna buczyna, w zasadzie nie do odróżnienia od znanych buczyn o charakterze pierwotnym. Brak w niej może jedynie okazałych drzew. A jeszcze w XIX w. w ogóle nie było w tym miejscu drzew. Wszystko było wycięte w pień.

Ile czasu zajmuje takie unaturalnienie?

Mówi się, że pełna odbudowa lasu trwa trzysta–czterysta lat, czyli będą w nim starzejące się i obumierające drzewa. Ale wizualnie znacznie krócej. Niedaleko miejsca, gdzie rozmawiamy w Zakopanem, rośnie niepozorny Las Chałubińskich. Mamy zdjęcie z 1903 r., kiedy odsłanianio pomnik Sabały i Chałubińskiego, na którym w tle widać monokulturę świerka. Na innym zdjęciu, wykonanym ileś lat później, z tyłu widać młode buki. A dziś ten las wygląda już na naturalny. Nikt tych buków nie sadził, że świerków sadzonych sto lat temu nie rośnie już właściwie ani jeden. Ingerencja człowieka znikła. Wszystko się uregulowało. Runo doszło do stanu równowagi. Las naturalny jak się patrzy.

Po czym poznać rękę człowieka?

Każdy typ lasu, czy to buczyny, czy świerczyny, czy jakiegokolwiek inne naturalne siedlisko, ma swój zestaw gatunków charakterystycznych. Chodzi o zakres tolerancji – jedne lubią sie-

dliska suche, inne wilgotne. Np. lasy jodłowe mają przytulinę okrągolistną. Mówi się, że dla żyznej buczyny karpackiej takim gatunkiem jest żywiec gruczołowaty. Oczywiście można go spotkać w różnych typach lasu, ale podstawowym miejscem występowania jest właśnie taka buczyna. Z kolei dla jaworzyny to paproć jęczyznik zwyczajny i miesięcznica trwała. Po tych gatunkach możemy się zorientować, co na danym siedlisku powinno rosnąć nawet wtedy, gdy w drzewostanie dominuje posadzony świerk.

Dodam, że skład gatunkowy drzewostanów różnych typów lasów – mam na myśli lasy naturalne – jest zmienny. Pewna buczyna mierzona przez nas w 2003 r. miała 70 proc. buka, a teraz ma 90 proc.

A co, gdyby z tej tatrzańskiej układanki wyjąć człowieka?

Upraszczając, w reglu dolnym mielibyśmy wtedy osiem typów lasów. Największą powierzchnię zajmowałaby właśnie żyzna buczyna karpacka, gdzie teraz dominują świerki, efekt świerkomanii z XIX w. Poza tym byłyby lasy jodłowe, jaworowe, bory świerkowe na granicie. Nad wodą olszyny, gdzieś na skałkach reliktowe laski sosnowe. Byłoby tak samo jak 500 czy 700 lat temu.

Jest takie miejsce w Dolinie Suchej Wody, przy szlaku, gdzie z jednej strony jest morena granitowa, z drugiej żyzne siedlisko na dolomitach. Po roślinach runa widać, że z prawej strony szlaku, idąc od Cyrhli, powinna rosnąć buczyna, choć w drzewostanie są wyłącznie świerki. Kiedyś to musiał być fantastyczny widok, buki zaczynające się jak od linijki!

Pana książka, napisana wspólnie z Beatą Słamą, nosi tytuł „O drzewach, które wybrały Tatry”. Trochę przewrotnie, bo zastanawiam się, kto kogo wybrał.

→ Nie lubię antropomorfizować drzew. Jakiś czas temu głośno było o książce „Sekretne życie drzew” Petera Wohllebena. Napisałem jej krytyczną recenzję, bo pełno w niej błędów merytorycznych. Niby pisał ją leśnik, ale bez doświadczenia naukowego. Na podstawie własnych obserwacji lub wyczytanego w literaturze pojedynczego zjawiska wysuwał zbyt daleko idące wnioski.

Przykład: żyrafa zjada w Afryce akację, więc do innych akacji idzie sygnał zapachowy, by mogły wytworzyć substancje zniechęcające tę żyrafę do dalszej konsumpcji. I dotyczy tylko tego przypadku, a nie tysięcy innych na całym świecie. Wohlleben przedstawił to tak, jakby był to dowód na to, że drzewa generalnie planują, czują. To oczywiście nie jest kwestia inteligencji, jak sugeruje autor, tylko mechanizmu utrwalonego w toku ewolucji. To, co napisał, to zwykła infantylizacja przyrody. Pisanie o przyjaźni między drzewami? To dla mnie nieporozumienie.

Antropomorfizując drzewa, czyni się je bliższym ludziom.

Jasne, gdyby jego książka była *stricto* naukowa, mało kto by ją kupił. Ale nie można przesadzać. Stąd moja krytyka. Choćby potem ktoś inny postawił podobne zarzuty mnie. No, ale ja nie piszę o miłości między drzewami! Skala jest inna.

To wyjaśnijmy Pana tytuł i koniec z antropomorfizowaniem. Kto wybierał – Tatry czy drzewa?

Po hekatombie lodowcowej w Tatrach wytworzyły się takie, a nie inne warunki siedliskowe, w efekcie czego wróciły w nie takie, a nie inne gatunki drzew. A inne jeszcze nie zdążyły wrócić.

Lasów naturalnych szuka Pan nie tylko w Tatrach. Skąd się wzięło to jeżdżenie po świecie?

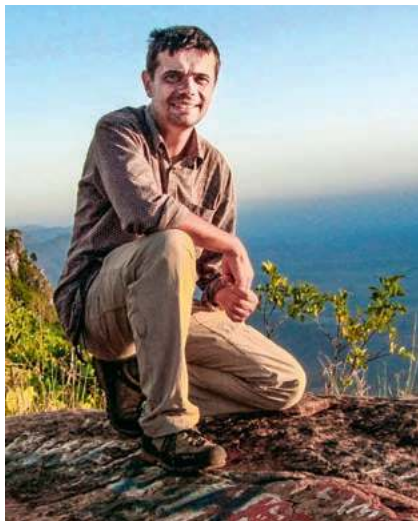
Nie chodzi wyłącznie o lasy, raczej o naturalne ekosystemy. Od zawsze interesowałem się przyrodą. Najpierw były ptaki i Stawy Milickie, potem doszła botanika. Jak się w tym siedzi głęboko, to siłą rzeczy chciałoby się zobaczyć kwintesencję natury. Nie tylko monokultury czy plantacje eukaliptusów.

Jak Pan szuka takich miejsc?

Banalnie, w internecie.

Dużo ich jest?

Czym krajobraz bardziej pustynny, tym bardziej naturalny, bo tam niewiele więcej da się zniszczyć. A jeśli chodzi o lasy, to najwięcej jest ich w górach, tam zawsze było najciężej dotrzeć, więc nie dawały się tak łatwo dewastować. U nas w Tatrach jest taka powierzchnia w Suchym Żlebie. To tylko półtora hektara, ale można mówić w jej przypadku o ciągłości istnienia od czasów polodowcowych. Z kolei w reglu górnym jest lepiej. W Dolinie Pyszniańskiej są rozległe fragmenty takich świerczyn. Nawet za „Murowańcem” na Hali Gąsienicowej są



TOMASZ SKRZYDŁOWSKI jest doktorem nauk leśnych, przewodnikiem tatrzańskim, od 2003 r. pracuje w Tatrzańskim Parku Narodowym. Autor „Przewodnika przyrodniczego po Tatrach Polskich”, współautor wydanej niedawno książki „O drzewach, które wybrały Tatry”.

świerki, które mają ponad 500 lat. Choć nie wiem, czy wciąż stoją, czy już ich korzeń nie zjadł. Na Słowacji czy w Rumunii takich powierzchni naturalnych jest więcej, w Serbii – bardzo dużo.

A na niżu?

Fenomen Puszczy Białowieskiej, a może raczej rezerwatu ścisłego, polega na tym, że jest to jeden z ostatnich takich lasów na niżu. Mowa tu o lesie zajmującym dużą powierzchnię. Bo takich pomniejszych fragmentów lasów, chronionych w rezerwatach i parkach narodowych, jest oczywiście sporo.

A dalej na zachód?

Europy Zachodniej nie znam, ale biorąc pod uwagę stopień jej uprzemysłowienia, na dużo bym nie liczył. Za to mam spore wyobrażenie o lasach z wielu innych rejonów świata. Niedawno wróciłem z Ghany, gdzie pojechałem przede wszystkim po to, żeby zobaczyć słynny Park Narodowy Mole. Jest przedstawiany jako sawanna,

ale to są ewidentnie suche lasy. Mówiłem nawet tamtejszym parkowcom, że na stronie internetowej ściemniają, i przyznali, że to chwyt marketingowy. Sawanna zaczyna się dopiero w Burkina Faso, w Mali. Gdyby mówili otwarcie, że chronią suche lasy, to mało kto by przyjeżdżał do nich na oglądanie zwierząt.

Ale byłem też w innym parku, Ankasa. Kapitalne miejsce, mało o kto o nim wie, infrastruktura beznadziejna, dojazd problematyczny, płaci się nie wiadomo komu za wstęp, nikt się na niczym nie zna – ale wszystko jest pod ochroną. Wokół parku masakra, wszystko wycięte, przerobione na plantacje kakao, a wewnątrz nic nie ruszone. Ale jak długo to potrwa, to nie wiem.

Ale las ładny?

Ten akurat idealny. Choć nie wszystko, co naturalne, musi wyglądać spektakularnie. Lasy są bardzo różne. Opracowałem na własne potrzeby sześciostopniową „skalę Skrzydłowskiego”. Ranking jest oczywiście bardzo subiektywny. To nie jest stopniowanie naturalności, raczej ocena widowiskowości. Więc najładniejsza formacja, jaką widziałem, to lasy araukariowe w Chile. To w ogóle piękny kraj, bardzo różnorodny, z paroma strefami klimatycznymi, a ta leśna jest po prostu zachwycająca.

Szóstka w „skali Skrzydłowskiego”?

Las araukariowy Parku Narodowego Huerquehue – mrowane sześć! Za to dość nisko będzie Yellowstone, bo tamtejsze lasy wizualnie są mało atrakcyjne, choć bez wątpienia naturalne.

Największe rozczarowanie?

Nowa Zelandia. To kraj potwornie zniszczony. Lasy powycinane, ponasadzane obce gatunki. Tragiczna gospodarka leśna. Drzewostany uprawiane jak zboże. Poza parkami narodowymi Nowa Zelandia to dla mnie chyba największe rozczarowanie

na świecie. Choć mają też ładny park Abel Tasman, lasy zwrotnikowe wilgotne wiecznie zielone, z paprociami drzewiastymi jak z karbonu.

Zawsze da się poznać, że dane miejsce jest nieprzekształcone przez człowieka?

Najlepszy wskaźnik tego, czy krajobraz jest naturalny, to kozy. Choćby nie wiem jak dziewiczo wyglądała okolica, a kręcą się kozy – to lipa. Przykładem takiego miejsca jest Etiopia. Tam nawet nie wyciągają aparatu.

Jasne, w wielu przypadkach nie da się tego jednoznacznie powiedzieć. Weźmy lasy bieszczadzkie, gdzie w latach 20. XX w. przyszła ekstremalnie mroźna zima. Tamtejsze buki popękały, zaowocowały i zamarły. W ich miejscu powstało coś na kształt monokultury buka. Na pierwszy rzut oka drzewostan nienaturalny, a jednak naturalny do bólu. Albo Yellowstone – przecież to jest sośnina i świerczyna jak z Puszczy Noteckiej, sosenki jak spod Kutna! Tylko, że to są lasy ulegające pożarom, to naturalny mechanizm, i odnawiające się na pożarzysku na rozległych obszarach. W efekcie wyglądają jak monokultura. Ale nie sadzone jak nasze.



Buk w Puszczy Karpackiej

Drzewa mają z jednej strony piękne liście, z drugiej ciernie i kolce. Co się koło tego przejdzie, to na nogach zostaje krwawy ślad. Pełno pijawek.
Oto las równikowy.

Lasy w południowej Azji kojarzą się z plantacją palmy oleistej.

W Malezji jest jej zatrzęsienie. Ale mają też fantastyczny Park Narodowy Taman Negara, którym chwalą się, że to najstarsza formacja leśna na świecie. Podobno ma 130 mln lat, bo nigdy nie podlegał żadnym drastycznym fluktuacjom, nawet naturalnym. Nigdy nie zniszczył go żaden lodowiec oraz nie został dotknięty skutkami ocieplenia klimatu. Jeżdżąc po świecie nauczyłem się, że jeśli w jakimś kraju są np. dwa parki narodowe, i są chronione dobrze, to od reszty nie oczekuję za wiele.

A czy zakładanie parków narodowych nie jest jak malowanie trawy? Nie próbujemy nimi przestronić przykry reszty?

Staram się nie denerwować tym, na co nie mam wpływu. Nie oczekuję, że z całej Ghany zrobi się park narodowy. Nie jestem zwolennikiem tworzenia ich na siłę. Mało tego, uważam, że – przynajmniej w polskich realiach – rezerwat przyrody w obrębie Lasów Państwowych jest skuteczniejszą formą ochrony niż tworzenie kolejnego biednego parku narodowego. Tatrzński może biedny nie jest, ale wiele innych tak. Zresztą ludzie utożsamiają parki narodowe z rezerwatami, z czymś, w co się nie ingeruje, a to nie to samo. Park ma strefę ochrony ścisłej, ale także np. krajobrazową, którą się użytkuje. To jest *de facto* gospodarka leśna.

A jak jest z turystyką w parkach na innych kontynentach?

Poza Europą i Ameryką Północną parki na ogół mają bardzo słabą infrastrukturę turystyczną. Często ludzie mieszkający

w ich okolicy nie wiedzą, że obok jest jakiś park. Tak np. jest w Brazylii. Albo wytyczona jest jedna ścieżka edukacyjna. Chodzenie na dziko w zasadzie odpada. Nawet w rezerwacie białowieskim poruszanie się wśród powalonych drzew jest utrudnione. A lasy równikowe to już w ogóle są dla przeciętnego turysty niedostępne. Drzewa mają z jednej strony piękne liście, z drugiej ciernie i kolce. Co się koło tego przejdzie, to na nogach zostaje krwawy ślad. Pełno pijawek. W porze deszczowej dramat.

Najlepsza możliwa ochrona przed człowiekiem.

Ale nie przed rabunkową gospodarką. Choć rzeczywiście, przed turystą, który często zostawia po sobie śmieci, jak u nas w Tatrach, lasy równikowe chronią się same. Jeśli ktoś sobie wyobraża, że z maczetą pójdzie na wycieczkę w taki las, to życzę powodzenia. Po 50 metrach mu się odechce. W naszej strefie klimatycznej nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić tej temperatury i wilgotności. Jak ktoś chce doświadczyć warunków panujących w lesie równikowym, niech wejdzie w lipcowy dzień do szklarni i spróbuje jakiegoś wysiłku. Dopiero wtedy zrozumie, na co się pisze.

Gdyby miał Pan napisać raport o stanie lasów na świecie, byłaby to smutna

lektura?

Najgorzej byłoby w strefie tropikalnej, bo im dalej na południe, tym większy dramat. W Szwecji jak wytną sosnę, to czy posadzą nową, czy nie, i tak wyrośnie kolejna. Taki mają klimat – mało gatunków się do niego przystosowało, niewiele da się nabroić. Bliżej równika jest odwrotnie, warunki klimatyczne sprzyjają rozrabianiu. Sadzą więc to, co rośnie szybko, bez oglądania się na to, czy to gatunek rodzimy, czy dostosowany do siedliska.

Jest tak od dawna. Na wyjazd do RPA wziąłem ze sobą „Rowem i pieszo przez Czarny Łąd” Kazimierza Nowaka. 110 lat po jego podróży miałem te same spostrzeżenia! Nowak nie był leśnikiem, ale zauważył, że wielkie plantacje niszczą naturalny krajobraz. Nie są rozwiązaniem. Poza tym przykre jest to, że w wielu rejonach Afryki, jak np. w koszmarnie zdewastowanym przyrodniczo Zanzibarze, w zasadzie trudno się domyślić, po co lasy są wypalane i wycinane, skoro w ich miejsce nic nie jest sadzone. Nie powstaje nawet żadna plantacja.

To dokąd Pan teraz jedzie?

Jesienią do Australii, mają tam ponad pięćset parków narodowych. Chciałbym też zobaczyć południowo-wschodnie Chiny i Japonię, bo to miejsca, z których przywędrowały do nas nasze gatunki. Wiele drzew, które rosną w Polsce, ma tamtejszy rodowód. Chętnie bym odwiedził tę kolebkę naszej roślinności.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Kraj bez drobnych



NASZE GLOBALNE DOŚWIADCZENIA W PEWNEJ drobnej sprawie są skromne, ale kilka wyników ankiet wśród globtroterów dało nam jasność, że mianowicie kraj nasz jest znowuż jedyny w świecie. Oto mamy pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi. Nie

jest to zagadnienie dotyczące wyłącznie tak lubianych przez nas zjawisk w sferze psychologii, zmian w kulturze, w tym w tzw. kulturze osobistej czy też kluczowej dla nas kulturze picia. Nie dotyczy ono problemu zamkniętego tylko w sferze ekonomii, choć dotyczy wymiany handlowej i obrotu pieniądza. Nie jest to również zjawisko sportowe, choć elementy tej dziedziny w naszym pytaniu znajdujemy. Nie jest to także czysta teologia, choć owszem, coś teologicznego w owym zagadnieniu mieszka. Oto – pytamy wprost i na serio – dlaczego w Polsce elementem dowolnej transakcji jest pytanie o drobne czy też ściślej: o tzw. końcówkę? Dlaczego w czterdziestomilionowym kraju nikt nie może wydać bezproblemowo reszty? Dziewięć na dziesięć prób kupienia tu czegośkolwiek za gotówkę wymaga drobnych i nie- sie groźbę unieważnienia transakcji.

Zjawisko to może wynikać z kilku powodów. Zaczniemy od banalnych, a więc: z niekompetencji banku centralnego wydającego nietrafione dyspozycje, ograniczające emisję bilonu, możliwe też, że – jak to u nas – mennica zajmuje się zgoła czymś innym niż biciem pieniądza, produkuje bowiem głównie pamiątkowe medale, ale też – i ta teza wydaje się nam najbliższa – sytuacja w sklepach nie bierze się z niedoboru bądź znikania bilonu, ale raczej z rytualnych potrzeb ludu, z konieczności wzbogacenia wulgarniej z gruntu czynności, jaką jest wymienianie towaru na pieniądź. Być może tej powszech-

nie zbanalizowanej czynności – z powodów, dajmy na to, czysto etnograficznych bądź religijnych – musi po prostu towarzyszyć specjalny obrzęd, pieśń, recytacja, zaklęcie, być może o charakterze magicznym, bo bez magii, jak wiemy, nic tu się obejść nie może. Możliwie więc, że oczekiwanie drobnych przez dowolnego kasjera w dorzeczach Odry i Wisły jest elementem metafizycznym, a nie fizycznym. Z metafizyką oczywiście nie walczymy, łąco bowiem, to wiemy, możemy skończyć jako suchy element ozdobny w jakimś pogańskim gaju, których ten kraj jest pełen. Rzec trzeba, że domniemań na ten temat jest ocean, mający swe płycizny i niezbadane głębie.

Idźmyż dalej. Oto w polszczyźnie funkcjonuje zwrot o charakterze frazeologicznym, będący jakże blisko naszego problemu, określający pewne sytuacje bądź to czynności, mówiący o rozmięnianiu ważnych rzeczy „na drobne”. „Na drobne” rozmięnamy głównie dorobek w każdym sensie. Jest to zwykle „dorobek pokoleń” bądź dowolne osiągnięcia kogokolwiek, w każdej sferze. Można też oczywiście samemu „rozmięnić się na drobne”, co plus-minus oznacza to samo, czyli skupienie się na drobnostkach zamiast sprawach ważnych. Tak jak i my teraz – ktoś powie – ale to pozór. Rozmięnienie na drobne oznacza więc zmarnowanie czy też pozbawienie wartości – wiadomo.

Skoro rozmiana nie przynosi chwały, skąd ta magia drobnego i jego pożądanie na granicy manii? Może prawda jest inna, może właśnie drobne są podstawowym elementem charakteryzującym tutejszość? Oto Lewica rozmięniła już dawno na drobne wszystko. Prawica jakby inaczej – w spółkach skarbu państwa rozmięnia na grube dorobek Myśliciela, co *de facto* oznacza, że rozmięnia się jednak na drobne. Sam Myśliciel, którego tu zwykle zwiemy Gospodarzem – popatrzmy – krząta się teraz wokół spraw najdrobniejszych, odchudza sprawy najgrubsze, słowem: rozmięnia na drobne wszystko, co miał kiedykolwiek grube. Kościół rozmięnia dorobek Wiadomo Kogo, sportowcy rozmięniają dorobek Trenera Górskiego, Czołowe Medium ma podobno się skupić na budowie etosu handlu popcornem, co jest widomym znakiem totalnego braku tzw. reszty i rozmiany totalnej, my zaś bezustannie rozmięnamy na drobne banknoty, by zrobić dowolne sprawunki. To nas zaczyna grubo drażnić. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ

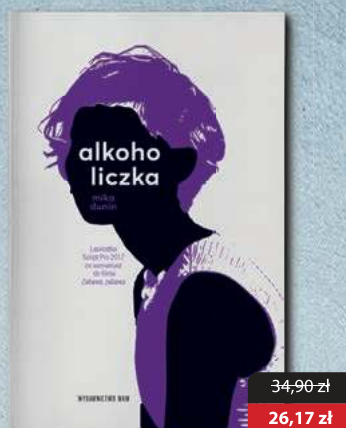


POZNAJ NOWOŚCI **WYDAWNICTWA WAM**RABAT DO **25%**

29,90 zł

22,42 zł

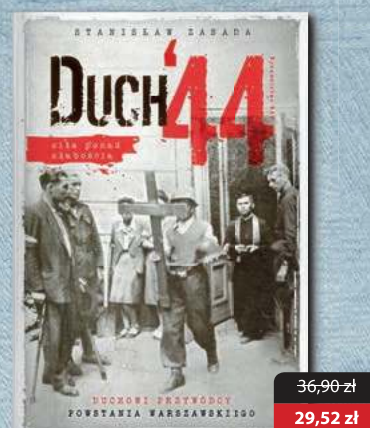
Od dawna żaden dokument papieski nie wzbudzał takich kontrowersji jak adhortacja Amoris Laetitia. Kardynał Gerhard Ludwig Müller i Rocco Buttiglione w książce, stanowiącej istotny wkład w dyskusję, której stawką jest jedność Kościoła.



34,90 zł

26,17 zł

Jak to jest, gdy musisz wciąż udawać: dzielną dziewczynkę, zbuntowaną nastolatkę, cyniczną seksbombę, nowoczesną, korzystającą z uroków życia singielkę? Jak to jest, gdy zaczynasz wierzyć we własne rojenia? Co się dzieje, gdy wreszcie przestajesz?



36,90 zł

29,52 zł

Porywające portrety dziesięciu kapelanów Powstania Warszawskiego, księży, którzy towarzyszyli powstańcom roku 1944 i sami walczyli. Ich życiorysy są dowodem na to, jak potężna jest siła Ducha. Nawet w obliczu klęski.



59,90 zł

44,92 zł

Mystyk, malarz i grzesznik. Fascynująca opowieść o Jerzym Nowosielskim, w którego sztuce cała rzeczywistość podlega uświeleniu.



39,90 zł

29,92 zł

Wizjoner, który wymyślił życie. Nie tylko swoje. Pierwsza pełna biografia Piotra Skrzyneckiego.



39,90 zł

31,92 zł

Ropa. Niektórzy wróżą jej rychły koniec, jednak ona ciągle pojawia się na salonach, bryluje, potem siada do dyskretnych rozmów. Wiodła życie gwałtowne. Czy wreszcie się ustakowała?



Camino de Santiago. Między historią, legendą i mitem

Historia i legenda, które wzajemnie się przenikają. Poczuj wyjątkową atmosferę Camino i odkryj fenomen jednego w swoim rodzaju szlaku.

34,90 zł

26,17 zł

Camino Português

Wszystkie informacje potrzebne do zaplanowania i przejścia najchętniej wybieranej przez Polaków drogi do Santiago de Compostela, uwzględniając różne warianty trasy.

44,90 zł

33,67 zł

Camino de Santiago

Nowe, zaktualizowane wydanie najdokładniejszego i najbardziej kompletnego polskiego przewodnika po Camino de Santiago.

44,90 zł

33,67 zł

ZAMÓWIENIA
WYDAWNICTWOWAM.PL



zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP48**
Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**



Wystawa

.....

22.06.2018

→ → → → →

02.06.2019

KRAKÓW

1900

Muzeum Narodowe w Krakowie

Kamienica Szolajskich im. Feliksa Jasieńskiego

pl. Szczepański 9 • mnk.pl